

Romantyczna i zabawna opowieść o miłości
silniejszej niż wszystkie przeciwności

Prawo przyciągania



SIMONE ELKELES


AMBER

Prawo przyciągania

SIMONE ELKELES

Przekład
Beata Horosiewicz



Korekta
Halina Lisińska
Jolanta Kucharska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© whiteisthecolor/Thinkstock

Tytuł oryginału
Rules of Attraction

Copyright © 2010 by Simone Elkeles
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp.
z o.o.

ISBN 978-83-241-5491-3

Warszawa 2015. Wydanie I
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

juras@evbox.pl

agnieszka

*Karen Harris, niesamowitej przyjaciółce,
mentorce, wspaniałemu krytykowi, pisarzowi i
znacznie, znacznie więcej. Przez ostatnie siedem
lat twoje rady i przyjaźń wytyczały mi drogę.
Dziękuję ci milion razy za to, że towarzyszyłaś mi
w tej podróży.*

agnesa

1. Carlos

Chcę żyć po swojemu. Ale jestem Meksykaninem i *mi familia* wciąż prowadzi mnie za rączkę i mówi, co mam robić, czy tego chcę, czy nie. „Mówi” to niedopowiedzenie. Po prostu mi dyktuje.

Mi'amá wcale nie pytała, czy chcę wyjechać z Meksyku i w ostatniej klasie ogólniaka przeprowadzić się do Kolorado do mojego brata Aleksa. Sama zdecydowała, że wyśle mnie z powrotem do Ameryki „dla mojego dobra” – to jej tekst, nie mój. Reszta *mi familia* ją poparła, więc było po sprawie.

Czy rodzinka naprawdę myśli, że wystarczy wysłać mnie do Stanów, żebym nie skończył dwa metry pod ziemią albo w więzieniu? Dwa miesiące temu wylali mnie z roboty w cukrowni i od tamtej pory prowadzę szalone życie, *la vida loca*. I nic nigdy tego nie zmieni.

Patrzę przez okienko, jak samolot leci nad ośnieżonymi szczytami Gór Skalistych. Zdecydowanie nie jestem już w Atencingo... ani na przedmieściu Chicago, gdzie mieszkałem od urodzenia aż do drugiej klasy liceum, kiedy *mi'amá* kazała nam się pakować i jechać do Meksyku.

Samolot ląduje. Inni pasażerowie przepychają się do wyjścia. Nie śpieszę się i próbuję ogarnąć tę całą sytuację. Za chwilę po raz pierwszy od prawie dwóch lat zobaczę brata. Do diabła, nawet nie wiem, czy w ogóle chcę go widzieć.

Prawie wszyscy już wysiedli, więc nie mogę się dłużej ociągać. Chwytam plecak i idę za drogowskazami po odbiór bagażu. Kiedy wychodzę z terminalu, Alex czeka za barierkami. Myślałem, że może go nie rozpoznam albo będę się czuć tak, jakby był obcy. Ale nie ma mowy, żebym pomylił starszego brata z kimś innym... Jego twarz znam tak dobrze jak własną. Mam radochę, że jestem

teraz wyższy od niego i nie wyglądam już jak tamten chudy dzieciak, którego zostawił.

– *Ya estás en Kolorado* – mówi i ściska mnie w objęciach.

Kiedy mnie puszcza, zauważam ledwie widoczne blizny nad jego brwiami i przy uszach. Ostatnio ich nie miał. Wygląda na starszego, ale stracił tę czujność, którą osłaniał się zawsze i wszędzie jak tarczą. Chyba odziedziczyłem to po nim.

– *Gracias* – odpowiadam beznamiętnie. Wie, że nie chcę tu być. Wuj Julio nie odstępował mnie na krok i wcisnął siłą do samolotu. I odgrażał się, że poczeka na lotnisku, aż moja dupa oderwie się od ziemi.

– Nie zapomniałeś angielskiego? – odzywa się mój brat, gdy idziemy po bagaż.

Przewracam oczami.

– Przecież mieszkamy w Meksyku dwa lata, Alex. A właściwie nie my, tylko ja, *mamá* i Luis. Ty nas zostawiłeś.

– Wcale nie zostawiłem. Chodzę do college’u i wreszcie robię coś sensownego ze swoim życiem. Sam kiedyś spróbuj.

– Nie, dzięki. Lubię moje bezsensowne życie i nie chcę go zmieniać.

Biorę worek z taśmy bagażowej i idę za Alekssem do wyjścia.

– Po co ci to coś na szyi? – pyta mój brat.

– To różaniec – odpowiadam, obracając w palcach krzyż wysadzany czarno-białymi koralikami. – Zrobiłem się religijny, jak się rozstaliśmy.

– Religijny, gówno prawda. Przecież to symbol gangu – stwierdza, kiedy podchodzimy do srebrnej beemki cabrio. Mojego brata nie stać na taki wypasiony wóz; musiał go pożyczyć od swojej dziewczyny, Brittany.

– A jeśli nawet, to co z tego?

Alex sam należał do gangu w Chicago. A przed nim *mi papá*. I nieważne, czy Alex chce to przyznać, czy nie, przynależność do gangu jest

moim dziedzictwem. Próbowałem żyć według zasad. Nie narzekałem nawet wtedy, kiedy zarabiałem mniej niż pięćdziesiąt pesos dziennie i harowałem po szkole jak wół. Gdy wywalili mnie z roboty, zacząłem się zadawać z *Guerreros del barrio* i wyciągałem ponad tysiąc pesos w ciągu jednego dnia. Nieważne, że to były brudne pieniądze, skoro mieliśmy co do garnka włożyć.

– Niczego się nie nauczyłeś na moich błędach?
– pyta.

Cholera, kiedy Alex należał w Chicago do Latynoskiej Krwi, czciłem go jak bożka.

– Nie chcesz znać odpowiedzi.

Kręcąc głową z rozczarowaniem, Alex bierze ode mnie worek i wrzuca do bagażnika. I co z tego, że udało mu się wyrwać z Latynoskiej Krwi? I tak do końca życia będzie miał na skórze ich tatuaże. Obojętnie, co sobie myśli, na zawsze będzie związany z LK, nawet jak nic dla nich nie robi.

Przyglądam się bratu przez dłuższą chwilę.

Zdecydowanie się zmienił. Wyczułem to od pierwszej chwili. Może i wygląda dalej jak Alex Fuentes, ale widzę, że stracił ducha walki. Jest w college'u i myśli, że może grać według reguł i zrobić ze świata lepsze miejsce do życia. Nie mogę się nadziwić, że tak szybko zapomniał o slumsach na przedmieściu Chicago, w których jeszcze niedawno mieszkaliśmy. Niektóre części świata nigdy nie będą błyszczeć, nawet jak wypucujesz z nich cały brud.

– ¿Y mamá? – pyta Alex.

– Dobrze.

– A Luis?

– Też dobrze. Nasz młodszy brat jest prawie taki przemądrzały jak ty, Alex. Myśli, że zostanie astronautą jak José Hernández.

Alex przytakuje jak dumny tata i chyba naprawdę wierzy, że Luis może spełnić swoje marzenie. Obaj są fantastami... moi dwaj bracia to marzyciele. Alex uważa, że zbawi świat, jeśli wymyśli lekarstwa na choroby, a Luis się ludzi,

że porzuci Ziemię, żeby odkrywać inne światy.

Skrećamy na autostradę. W dużej odległości przed nami widzę ścianę gór. Przypomina mi to surowy krajobraz Meksyku.

– To pasmo to Front Range – wyjaśnia Alex. – U jego stóp jest uniwersytet. – Pokazuje na lewo. – Tamte nazywają się Flatirons, bo skały są płaskie jak deska do prasowania. Kiedyś cię tam zabiorę. Czasami chodzimy tam z Brit na spacer, kiedy chcemy wyrwać się z kampusu.

Zerka na mnie, a ja patrzę na niego tak, jakby wyrosła mu druga głowa.

– Co jest? – pyta.

Żartuje sobie? – *¿Me está tomando los pelos?*

– Zastanawiam się, kim jesteś i co, do diabła, zrobiłeś z moim bratem. Mój brat był buntownikiem, a teraz gada o górach, deskach do prasowania i spacerkach ze swoją dziewczyną.

– Wolałbyś, żebym mówił o chlaniu i ćpaniu?

– Tak! – mówię i udaję, że się tym jaram. –

Powiedz mi lepiej, gdzie się mogę upić i naćpać, bo nie wytrzymam długo bez nielegalnych substancji w organizmie – kłamię. *Mi'amá* pewnie mu powiedziała, że podejrzewa, że biorę dragi, więc mogę odgrywać swoją rolę.

– Tak, jasne. Te gówniane kawałki możesz wciskać *mamá*, Carlos. Ja tego nie kupuję, tak jak ty sam.

Opieram stopy o deskę rozdzielczą.

– Nie wiesz, o czym gadasz.

Alex spycha moje nogi.

– Weź je, okej? To samochód Brittany.

– Ale cię oswoiła, stary. Kiedy rzucisz w cholere tę *gringa* i zaczniesz się zachowywać jak normalny facet z college'u? – pytam go. – Powinien cię otaczać wianuszek dziewczyn.

– Ani Brittany, ani ja nie chodzimy na randki z innymi.

– Czemu nie?

– Tak to bywa, kiedy się ma dziewczynę albo chłopaka.

– Tak to bywa, kiedy się jest *panocha*. To nienormalne, żeby facet był z jedną dziewczyną, Alex. Jestem wolnym strzelcem i nie mam zamiaru tego zmieniać.

– No to mamy jasność, *Señor Wolny Strzelec*, ale nie przelecisz żadnej w moim mieszkaniu.

Może i jest moim starszym bratem, ale nasz ojciec umarł dawno temu. Niepotrzebne mi jego główniane zasady. Pora ustalić kilka własnych.

– Skoro walisz prosto z mostu, to powiem ci, że zamierzam, kurwa, robić, co mi się podoba.

– Zrób przysługę sobie i mnie i słuchaj, co mówię. Może to cię czegoś nauczy.

Wybucham krótkim śmiechem. No jasne. A czego mogę się od niego nauczyć? Jak wypełnić wniosek o przyjęcie do college'u? Jak robić doświadczenia termiczne z chemii? Nie mam w planach ani jednego, ani drugiego.

Jedziemy w milczeniu przez następne czterdzieści pięć minut, a góry przybliżają się z każdym kilometrem. Wjeżdżamy na teren

kampusu Uniwersytetu Kolorado w Boulder. Z krajobrazu wyskakuje nagle budynek z czerwonej cegły, a dookoła kręci się mnóstwo studentów z plecakami. Czy Alex naprawdę myśli, że może pokonać przeciwności i znaleźć dobrze płatną pracę? Myśli, że nie będzie biedny do końca życia? Akurat w to uwierzę. Wystarczy, że ludzie spojrzą na jego twarz i tatuaże, a natychmiast wywalą go na zbity pysk.

– Za godzinę muszę być w pracy, ale najpierw pokażę ci mieszkanie – mówi, parkując samochód.

Wiem, że pracuje w jakimś warsztacie samochodowym, bo potrzebuje kupy forsy na szkołę i spłatę pożyczki rządowej.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia i pokazuje na budynek, przed którym stoimy. – *Tu casa.*

Okrągłe ośmiopiętrowe szkaradztwo wygląda jak gigantyczna kolba kukurydzy i może być wszystkim, tylko nie domem. Wyciągam worek z bagażnika i idę za Alekssem do środka.

– Mam nadzieję, Alex, że to biedna dzielnica miasta – mówię. – Bo wśród bogaczy dostaję pokrzywki.

– Nie żyję w luksusie, jeśli o to ci chodzi. To dotowane mieszkania dla studentów.

Jedziemy windą na czwarte piętro. Na klatce śmierdzi starą pizzą, poplamiony dywan pamięta lepsze czasy. Mijają nas dwie seksowne dziewczyny ubrane w ciuchy do biegania. Alex uśmiecha się do nich. Robią maślane oczy i nie zdziwiłbym się, gdyby nagle padły na kolana i zaczęły całować ziemię, po której stąpa.

– Mandi, Jessica, to mój brat Carlos.

– Hej-ka, Carlos... – Jessica omiata mnie spojrzeniem od stóp do głów. Nareszcie czuję, że jestem w centrum napalonego college'u. – Dlaczego nam nie powiedziałaś, że takie z niego ciacho?

– Chodzi do liceum – ostrzega je Alex.

Co on sobie myśli? Że jest stróżem mojego fiuta?

– Jestem w ostatniej klasie – wyrzucam z siebie. Mam nadzieję, że to osłabi ich rozczarowanie, że nie chodzę do college’u. – Za dwa miesiące mam osiemnastkę.

– Urządzimy ci przyjęcie urodzinowe – mówi Mandi.

– Super – odpowiadam. – Dacie mi siebie w prezencie?

– Jeśli Alex nie ma nic przeciwko – żartuje Mandi.

Alex odchodzi i przeczesuje ręką włosy.

– Okej, koniec dyskusji, bo wpakuję się w kłopoty.

Tym razem dziewczyny się śmieją. Ruszają biegiem, ale odwracają się, żeby pomachać na pożegnanie.

Wchodzimy do mieszkania Aleksa. Faktycznie, nie można powiedzieć, żeby żył w luksusie. Przy ścianie stoi podwójne łóżko przykryte cienkim wełnianym kocem, po prawej jest stół z czterema krzesłami, a w pobliżu drzwi

wejściowych znajduje się kuchnia, taka mała, że z trudem zmieściłyby się w niej dwie osoby. Trudno to nawet nazwać apartamentem z jedną sypialnią. To kawalerka. Ciasna jak diabli.

Alex pokazuje na drzwi koło łóżka.

– Tam jest łazienka. Możesz schować swoje rzeczy do tej szafy naprzeciwko kuchni.

Wciskam plecak do szafy i wchodzę w głąb pokoju.

– Hm, Alex... a gdzie mam spać?

– Pożyczyłem dmuchane łóżko od Mandi.

– *Está buena*, jest słodka. – Znowu oglądam pokój. W naszym domu w Chciago dzieliłem mniejszy z Alekssem i Luisem. – Gdzie jest TV? – pytam.

– Nie mam.

Cholera. To niedobrze.

– To co, do diabła, mam robić, żeby się nie nudzić?

– Poczytaj książkę.

– *Estás chiflado*, zwariowałeś. Nie czytam.

– Od jutra zaczniesz – mówi i otwiera okno, żeby wpuścić świeże powietrze. – Przysłali już twoje papiery. Jutro masz być w liceum Flatiron.

Szkoła? Mój brat gada o szkole? Rany, to ostatnia rzecz, o której ma ochotę myśleć siedemnastolatek. Myślałem, że da mi chociaż tydzień na przyzwyczajenie się do życia w Stanach. Pora zmienić kurs.

– Gdzie chowasz trawę? – pytam. Wiem, że wystawiam jego cierpliwość na ciężką próbę. – Lepiej mi powiedz, bo będę musiał przeryć całe mieszkanie.

– Nie mam trawy.

– Okej. To kto jest twoim dilerem?

– Nie kumasz, Carlos. Nie używam już tego gówna.

– Powiedziałeś, że pracujesz. Nic nie zarabiasz?

– Tak. Starcza na jedzenie i college. Resztę wysyłam *mamá*.

Kiedy trawię tę wiadomość, otwierają się

drzwi wejściowe. Staje w nich blond dziewczyna mojego brata, z kluczami do jego mieszkania i torebką w jednej ręce oraz brązową papierową torbą w drugiej. Wygląda jak chodząca lalka Barbie. Mój brat odbiera torbę i całuje swoją dziewczynę. Zachowują się jak małżeństwo.

– Carlos, pamiętasz Brittany.

Brittany otwiera szeroko ramiona i obejmuje mnie mocno.

– Carlos, świetnie, że przyjechałeś! – tryska entuzjazmem. Zdążyłem zapomnieć, że w liceum była cheerleaderką, ale gdy tylko otwiera usta, natychmiast sobie przypominam.

– Dla kogo świetnie? – mówię sztywno.

Odsuwa się.

– Dla ciebie. I dla Aleksa. Brakuje mu rodziny.

– Założę się.

Chrząka i patrzy z lekkim niepokojem.

– Hm... okej, no dobrze, przyniosłam wam, chłopcy, chińszczyznę na lunch. Na pewno

jesteście głodni.

– Jesteśmy Meksykanami – odpowiadam. –
Dlaczego nie przyniosłaś meksykańskiego
żarcia?

Brittany ściąga idealnie wyskubane brwi.

– To był żart, tak?

– Nie całkiem.

Odwraca się w stronę kuchni.

– Alex, pomożesz mi?

Alex wyłania się z papierowymi talerzami i
plastikowymi sztućcami.

– Carlos, o co ci chodzi?

Wzruszam ramionami.

– O nic. Zapytałem tylko twoją dziewczynę,
dlaczego nie przyniosła meksykańskiego żarcia.
Nie moja wina, że bierze wszystko do siebie.

– Nie bądź burakiem i podziękuj, zamiast ją
wdeptywać w ziemię.

Mam już absolutną jasność, po czyjej stronie
jest mój brat. Alex powiedział kiedyś, że
przyłączył się do Latynoskiej Krwi, żeby jego

bracia nie musieli wstępować do gangu. Ale teraz widzę jak na dłoni, że rodzina głównie dla niego znaczy.

Brittany podnosi rękę.

– Nie chcę, żebyście się kłócili przede mną. – Poprawia torebkę na ramieniu i wzdycha. – Lepiej sobie pójdę. Będziecie mieć czas, żeby się na nowo poznać.

– Nie odchodź – mówi Alex.

Dios mío, mój brat chyba zgubił jaja gdzieś między Kolorado a Meksykiem. Albo Brittany wcisnęła je do tej swojej fikuśnej torebki.

– Alex, niech sobie idzie, jeśli chce.

Pora poluzować smycz, na której go trzyma.

– Nic się nie stało. Naprawdę – mówi i całuje mojego brata. – Smacznego. Do zobaczenia jutro. Na razie, Carlos.

– Mhm. – Gdy tylko znika, biorę papierową torbę z kuchennego blatu i stawiam na stole. Czytam naklejki na pojemnikach. Kurczak chow mein... wołowina chow fun... zestaw pu-pu. –

Zestaw pu-pu?

– To różne przystawki – wyjaśnia Alex.

Nie tknę niczego, co ma w nazwie „pu-pu”.
Wkurza mnie, że Alex w ogóle wie, co to jest.
Odstawiam pojemnik, nakładam na talerz furę niezidentyfikowanej chińszczyzny i zaczynam szuflować.

– Nie jesz? – pytam Aleksa.

Patrzy na mnie jak na obcego.

– ¿*Qué pasa?* – pytam.

– Brittany nie zniknie.

– I w tym problem. Nie rozumiesz?

– Nie. Ale widzę, że mój siedemnastoletni brat zachowuje się jak pięciolatek. Pora dorosnąć, *mocoso*.

– Żebym był takim cholernym nudziarzem jak ty? Nie, dzięki.

Alex bierze kluczyki.

– Gdzie jedziesz?

– Przeprosić moją dziewczynę, a potem do pracy. Czuj się jak w domu – mówi, rzucając mi

klucze do mieszkania. – I nie pakuj się w kłopoty.

– Jak będziesz rozmawiał z Brittany – odpowiadam, odgryzając koniec egg rolla – to poproś ją, żeby ci oddała twoje *huevos*.

agnesa

2. Kiara

Kiara, nie wierzę, że cię rzucił esemesem – mówi mój przyjaciel Tuck i czyta trzy krótkie zdania z ekranu komórki, siadając przy biurku w moim pokoju: „Nie wyszło. Sry. Nie wkurzaj się na mnie”. – Rzuca mi telefon. – Mógł się bardziej wysilić. Nie wkurzaj się na mnie? Jasne, że się wkurzysz.

Kładę się na łóżku i gapię w sufit. Wspominam nasz pierwszy pocałunek. To było w lecie, na plenerowym koncercie w Niwot, za automatem do lodów.

– Lubiałam go.

– A ja nie. Nie można ufać komuś, kogo się poznało w poczekalni u terapeuty.

Przekręcam się na brzuch i opieram na łokciach.

– To był logopeda. A Michael tylko podrzucił brata.

Tuck, który od początku nie lubił chłopaka, z którym chodziłam, wyjmuję z szuflady biurka zeszyt w różowe trupie czaszki. Celuje we mnie wskazującym palcem.

– Nie ufaj chłopakowi, który mówi na pierwszej randce, że cię kocha. Raz tak miałem. To było totalne nieporozumienie.

– Dlaczego? Nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

– Nie. Wierzę w pożądanie od pierwszego wejrzenia. I przyciąganie. Ale nie w miłość. Michael powiedział ci, że cię kocha, żeby się dobrać do twoich majtek.

– Skąd wiesz?

– Jestem facetem, to wiem. – Tuck marszczy czoło. – Chyba tego z nim nie zrobiłaś?

– Nie – mówię i kręcę głową, żeby było dobitniej. Chodziliśmy ze sobą, ale nie chciałam przechodzić na kolejny poziom. No nie wiem... Nie byłam gotowa.

Nie rozmawiałam z Michaelem od dwóch

tygodni, od rozpoczęcia roku szkolnego. Wymieniliśmy kilka esemesów, jasne, ale ciągle powtarzał, że nie ma czasu i że zadzwoni, jak znajdzie chwilkę. Jest w ostatniej klasie liceum w Longmont, jakieś dwadzieścia minut stąd, a ja chodzę do szkoły w Boulder, więc myślałam, że ma dużo nauki. Ale teraz wiem, że to nie był powód milczenia. Po prostu chciał ze mną zerwać.

Czy dlatego, że poznał inną dziewczynę?

A może nie jestem dość ładna?

Czy przez to, że nie miałam ochoty uprawiać z nim seksu?

Na pewno nie dlatego, że się jąkam. Ćwiczyłam wymowę przez całe lato i od czerwca ani razu się nie zająknęłam. Raz w tygodniu chodziłam do logopedy, codziennie trenowałam przed lustrem. Gdy wypowiadam słowa, robię to świadomie. Wcześniej ciągle się denerwowałam, kiedy miałam coś powiedzieć. Wiedziałam, że ludzie najpierw się dziwią, potem przychodzi

ośnienie: „Ach, rozumiem, dziewczyna ma problem”, a na końcu pojawia się na ich twarzach wyraz współczucia. I wreszcie przekonanie: „Musi być głupia”. A niektóre dziewczyny ze szkoły nabijały się ze mnie.

Ale już się nie jąkam.

Tuck wie, że w tym roku mam zamiar pokazać wszystkim w szkole nową twarz – pewną siebie dziewczynę, jakiej wcześniej nie znali. Przez pierwsze trzy lata liceum byłam nieśmiała i zamknięta w sobie, bo okropnie bałam się ludzi, którzy naśmiewali się z mojego jąkania. Teraz będzie inaczej. Nie zapamiętają Kiary Westford jako bojaźliwej osoby. Od dzisiaj zapadnie im w pamięć jako przebojowa i rozmowna.

Nie sądziłam, że Michael ze mną zerwie. Myślałam, że pójdziemy razem na bal absolwentów i bal maturalny...

- Nie myśl o Michaelu – rozkazuje Tuck.
- Był słodki.

– Owłosiona fretka też jest słodka, ale nie poszedłbym z nią na randkę. Stać cię na kogoś lepszego. Nie sprzedawaj się tak tanio.

– A kim ja jestem? – pytam go. – Spójrz prawdzie w oczy, Tuck. Nie wyglądam jak Madison Stone.

– No i chwała Bogu. Nienawidzę Madison Stone.

Dzięki Madison pojęcie „podła laska” nabrało nowego znaczenia. Wychodzi jej wszystko, czego się tknie, i bez trudu uzyskuje tytuł najbardziej popularnej dziewczyny w szkole. Każda chce należeć do jej paczki. To Madison Stone decyduje, kto jest super.

– Przecież wszyscy ją lubią.

– Bo się jej boją. W głębi duszy każdy jej nienawidzi. – Tuck zaczyna coś skrobać w zeszyte, potem mi go podaje.

– Masz – mówi i rzuca mi długopis.

Gapię się na kartkę. Na górze napisał tytuł „Prawo przyciągania”, a na środku kartki

narysował linię biegnącą przez całą długość.

– Co to ma być?

– W lewej kolumnie zapisz to, co jest w tobie super.

Żartuje sobie?

– Nie.

– No dalej, pisz. To będzie ćwiczenie pewności siebie. Przekonasz się, że dziewczyny takie jak Madison Stone nie są nawet atrakcyjne. Dokończ zdanie: „Ja, Kiara Westford, jestem super, bo...”

Wiem, że Tuck nie odpuści, więc piszę coś głupiego i oddaję mu zeszyt.

Czyta i się krzywi.

– „Ja, Kiara Westford, jestem super, bo... umiem rzucać piłkę, wymieniać olej w samochodzie i wspinać się na czternastki”. No weź, facetów to nie kręci. – Wyrywa mi długopis, siada na brzegu łóżka i zaczyna wściekle gryzmolić. – Wyjaśnijmy sobie, o co chodzi. Musisz zmierzyć swoją atrakcyjność za pomocą trzech kryteriów, żeby osiągnąć końcowy

rezultat.

– Kto wymyślił to prawo?

– Ja. To Prawo przyciągania Tucka Reese’a. Zaczynamy od charakteru. Jesteś bystra, zabawna i sarkastyczna – zapisuje w zeszycie.

– Nie jestem pewna, czy to dobre cechy.

– O tak. Uwierz mi. Ale jeszcze nie skończyłem. Jesteś lojalna w przyjaźni, lubisz wyzwania bardziej niż większość facetów i jesteś wspaniałą siostrą dla Brandona. – Zapisuje i na koniec podnosi wzrok. – Druga część to twoje umiejętności. Umiesz naprawiać samochody, uprawiasz sport, wiesz, kiedy się zamknąć.

– To ostatnie to żadna umiejętność.

– Skarbie, zaufaj mi. To wielka umiejętność.

– Zapomniałeś o mojej niepowtarzalnej sałatce ze szpinaku i włoskich orzechów. – Nie umiem gotować, ale sałatka to mój popisowy numer.

– Jest zabójcza – mówi i dopisuje do listy. – Okej, teraz ostatnia część: walory fizyczne.

Przyjaciel taksuje mnie wzrokiem z góry na dół.

Wydaję jęk i czekam na koniec tego upokorzenia.

– Czuję się jak krowa na aukcji.

– Tak, tak, nieważne. Masz skórę bez skazy i zadarty nos, i sterczące cycki. Gdybym nie był gejem, tobym się skusił...

– Blee. – Odciągam jego dłoń od kartki. – Tuck, nie mów tak i nie zapisuj tego słowa.

Ruchem głowy strząsa długie włosy z oczu.

– Którego? Cycki?

– Uhm. Dokładnie. Powiedz lepiej biust albo piersi. To słowo na „c” jest takie... dosadne.

Tuck prycha i przewraca oczami.

– Okej, sterczące... piersi. – Śmieje się, rozbawiony. – Przepraszam, Kiara, ale te piersi kojarzą mi się z nazwą potrawy z menu. – Udaje, że mój zeszyt to karta dań i czyta z angielskim akcentem. – Poproszę o grillowane piersi z surówką coleslaw.

Rzucam go w głowę moim dużym niebieskim misiem, którego nazywam Mojo.

– Nazwij je intymnymi częściami ciała i skończmy temat.

Mojo odbija się od niego i spada na podłogę. Ale mój najlepszy przyjaciel nie odpuszcza.

– Wykreślić sterczące cycki. Wykreślam sterczące cycki. – Rozwodzi się nad prostą czynnością. – Wpisuję... sterczące intymne części ciała – wypowiada każde słowo, które zapisuje. – Długie nogi i długie rzęsy. – Zerka na moje ręce i marszczy nos. – Nie obraż się, ale mogłabyś zrobić manikiur.

– To wszystko? – pytam.

– Nie wiem. Coś ci przychodzi do głowy?

Kręcę przecząco.

– Okej, teraz już wiemy, że jesteś bajeczna. Musimy jeszcze zapisać, jakie cechy ma mieć twój facet. Po prawej stronie kartki. Zacznijmy od charakteru. Chcesz, żeby twój facet był... wypełnij puste miejsce.

– Chcę, żeby był pewny siebie. Naprawdę pewny siebie.

– Dobra. – Tuck zapisuje.

– Chcę, żeby był dla mnie miły.

– Miły facet – pisze.

– Chciałabym, żeby był bystry – dodaję.

– Bystry życiowo czy bystry książkowo?

– Jedno i drugie? – odpowiadam pytaniem, bo nie mogę się zdecydować.

Klepie mnie w głowę, jakbym była małym dzieckiem.

– Dobra. Przejdźmy do umiejętności. – Ucisza mnie, bo nie chce, żebym tworzyła. I dobrze. – Sam to za ciebie wymyślę. Chcesz faceta, który umie to samo co ty, i trochę więcej. Kogoś, kto lubi sport, kogoś, kto potrafi przynajmniej docenić to, że bez przerwy dłubiesz w tym swoim głupim starym samochodzie i...

– Prawie bym zapomniała. – Zeskakuję z łóżka. – Muszę pojechać do miasta i odebrać coś z warsztatu.

– Tylko mi nie mów, że pluszowe kostki do lusterka.

– Nie żadne kostki, tylko radio. Staroświeckie.

– Rewelacja! Staroświeckie radio do staroświeckiego samochodu! – mówi ironicznie Tuck i klaszcze kilka razy w dłoń z udawanym entuzjazmem.

Przewracam oczami.

– Jedziesz ze mną?

– Nie. – Zamyka zeszyt i wrzuca go do szuflady. – Nic mnie bardziej nie nudzi niż słuchanie, jak gadasz o samochodach z ludźmi, których to interesuje.

Podrzucam Tucka do domu i po piętnastu minutach jestem pod warsztatem McConnella. Parkuję pod sklepem i idę do Aleksa, jednego z mechaników. Stoi pochylony nad silnikiem garbusa. Alex był studentem mojego taty. W zeszłym roku po sesji tata dowiedział się, że pracuje w warsztacie samochodowym. Powiedział mu, że zajmuję się renowacją monte

carlo z 1972 r. Od tamtej pory Alex pomaga mi zdobywać części do auta.

– Hej, Kiara. – Wyciera dłonie w szmatę i mówi, że zaraz mi poda radio. – Proszę. – Otwiera pudełko. Wyjmuje radio i odwija je z folii bąbelkowej. Kable sterczą z tyłu jak chude nogi, ale radio jest rewelacyjne. Wiem, że nie powinnam się podniecać czymś takim, ale dopiero teraz kokpit będzie wyglądał super. Wprawdzie kupiłam samochód z radiem, ale nie działało, a plastikowa obudowa była pęknięta.

– Nie miałem okazji go sprawdzić – wyjaśnia i wygina druciki, żeby skontrolować połączenia. – Musiałem odebrać brata z lotniska i spóźniłem się do pracy.

– Przyjechał w odwiedziny z Meksyku? – pytam.

– Nie w odwiedziny. Jutro zaczyna naukę w ostatniej klasie we Flatiron – mówi i wypisuje fakturę. – Chodzisz tam, prawda?

Potakuję.

Wkłada radio do pudełka.

– Umiesz je sama zamontować?

Myślałam, że dam sobie radę, ale po obejrzeniu radia już nie jestem pewna.

– Nie wiem. Kiedy ostatnio lutowałam druciki, wszystko poplątałam.

– To jeszcze nie płąć. Wpadnij jutro po szkole, jeśli masz czas. Zamontuję radio i sprawdzę, czy działa.

– Dzięki, Alex.

Podnosi wzrok i stuka długopisem w ladę.

– Wiem, że to zabrzmii *loco*, ale zgodziłabyś się oprowadzić mojego brata po szkole? Nikogo nie zna.

– Mamy program pomocy koleżeńskiej – mówię, dumna, że mogę pomóc. – Spotkam się z wami rano w gabinecie dyrektora i zgłoszę się na przewodniczkę twojego brata.

Dawna Kiara byłaby zbyt nieśmiała, żeby to zaproponować, ale nowa nie ma z tym problemu.

- Muszę cię ostrzec...
- Przed czym?
- Mój brat bywa trudny.

Uśmiecham się szeroko, bo jak zauważył Tuck lubię trudne wyzwania.

agnesa

3. Carlos

Nie potrzebuję przewodnika.

To pierwsze słowa, które wypływają z moich ust, kiedy pan House, dyrektor liceum Flatiron, przedstawia mi Kiarę Westford.

– Jesteśmy dumni z naszego programu pomocy koleżeńskiej – mówi pan House do Aleksa. – Pomaga uczniom w adaptacji.

Mój brat przytakuje.

– Nie musi mnie pan przekonywać. Podoba mi się ten pomysł.

– A mnie nie – mamroczę.

Nie potrzebuję żadnego przewodnika, bo po pierwsze: z tego, jak Alex przywitał się z Kiarą kilka minut temu, wynika, że ją zna; po drugie: dziewczyna nie jest seksowną laską; ma koński ogon, skórzane buty do pieszych wędrowek, spodnie trzy czwarte ze stretchu, z wystającym ze spodu logo Under Armour i na dodatek cała

tonie w za dużym T-shircie z napisem „Alpinistka”; po trzeciej: nie potrzebuję niańki, zwłaszcza załatwionej przez brata.

Pan House siada w dużym brązowym fotelu ze skóry i podaje Kiarze ksero mojego planu lekcji. No świetnie, teraz będzie wiedziała, gdzie mnie znaleźć o każdej sekundzie dnia. Gdyby nie to, że czuję się upokorzony, to miałbym z tego bekę.

– To duża szkoła, Carlos – mówi House, jakbym sam nie umiał sprawdzić na mapie. – Kiara jest wzorową uczennicą. Pokaże ci twoją szafkę i przez pierwszy tydzień będzie cię odprowadzać do klas.

– Gotowy? – pyta dziewczyna i uśmiecha się szeroko. – Już był dzwonek na pierwszą lekcję.

Czy mogę prosić o zmianę przewodnika? Wolałbym kogoś, kto nie cieszy się z tego, że musi przyjść do szkoły na siódmą trzydzieści.

Alex machnięciem ręki każe mi iść. Kusi mnie, żeby mu pokazać środkowy palec, ale

pewnie dyrekcji by się to nie spodobało.

Wychodzę za wzorową uczennicą na opustoszały korytarz i czuję się, jakbym trafił do piekła. Pod ścianami stoją długie rzędy szafek, a na ścianach wiszą plakaty. Z jednego krzyczy hasło: „Damy radę! Megan Kahn na przewodniczącą szkoły! Głosuj z nami!”, na drugim jest napis: „Jason Tu – Zawsze tu i teraz! Twój kandydat na skarbnika samorządu”, a wśród nich podpisy ludzi, którzy popierają postulat: „Zdrowsze jedzenie dla uczniów jako norma! – głosuj na Norma Reddinga”.

Zdrowsze jedzenie dla uczniów?

Do diabła, w Meksyku jadło się to, co człowiek przyniósł z domu albo co mu dali, nawet najgorszy chłam. Nie było wyboru. Tam, gdzie mieszkałem, je się, żeby przeżyć, i nikt nie zawraca sobie głowy liczeniem kalorii i węglowodanów. Jasne że niektórzy żyją jak królowie. W każdym z trzydziestu jeden stanów Meksyku są bogate rejony, tak samo jak w

Ameryce, ale moja rodzina nie mieszka w żadnym z nich.

Nie pasuję do Flatiron i niech mnie diabli wezmą, jeśli mam ochotę snuć się przez cały tydzień za tą dziewczyną. Ciekawe, ile wzorowa uczennica da radę znieść, zanim odpuści i zostawi mnie w spokoju.

Pokazuje mi szafkę. Upycham rzeczy do środka.

– Moja szafka jest kawalek dalej – oznajmia, jakby to była dobra wiadomość. Kiedy kończę, studiuje mój plan i rusza przed siebie korytarzem.

– Klasa pana Henneseya jest piętro wyżej.

– *¿Dónde está el servicio?* – pytam.

– Co? Nie rozumiem po hiszpańsku. *Je parle français* – mówi po francusku.

– Po co? Czy w Kolorado mieszka dużo Francuzów?

– Nie, ale na ostatnim roku college’u chcę pojechać na jeden semestr do Francji, tak jak

moja mama.

Moja nie skończyła nawet liceum. Zaszła w ciążę, wyszła za męża za tatę i urodziła Aleksa.

– Uczysz się języka, który ci się przyda przez jeden semestr? – Dla mnie to głupota. Zatrzymuję się, gdy docieramy do drzwi z namalowaną figurką mężczyzny. Wskazuję kciukiem. – *Servicio* to toaleta... Pytałem, gdzie jest toaleta.

– Aha. – Wydaje się trochę zmieszana. Nie wie chyba, jak ma potraktować to odstępstwo od planu. – No dobra, poczekam tu.

Mam okazję ponabijać się trochę z mojej przewodniczki.

– Chyba że chcesz wejść i mi pokazać... No bo nie wiem, jak daleko chcesz się posunąć w tym całym oprowadzaniu.

– Nie aż tak daleko. – Krzywi usta, jakby połknęła kwaśną cytrynę, i kręci głową. – Idź sam. Poczekam.

Wchodzę do toalety, opieram dłonie na

umywalce i biorę głęboki oddech. W lustrze widzę faceta, którego rodzina uważa za totalnego zasrańca.

Może trzeba było powiedzieć *mi'amá* prawdę: że wywalili mnie z cukrowni, bo broniłem Emilie Juarez, którą molestował jeden z przełożonych. Jakby mało było tego, że musiała rzucić szkołę, żeby pomóc rodzinie zarobić na chleb. Kiedy szef pomyślał, że tylko dlatego, że jest *el jefe*, może jej dotykać swoimi brudnymi łapami, wkurzyłem się jak diabli. Tak, przez to straciłem pracę... ale było warto i zrobiłbym to po raz drugi, nawet gdybym wiedział, jakie będą konsekwencje.

Pukanie do drzwi przywraca mnie do rzeczywistości. Przypominam sobie, że mam iść do klasy pod eskortą laski ubranej jak na górską wycieczkę. Taka dziewczyna jak Kiara raczej nie potrzebuje faceta, który by jej bronił, bo gdyby któryś ośmielił się ją tknąć, to zadusiłaby go tą wielką koszulką.

Drzwi się uchylają.

– Jesteś tam? – Głos Kiary odbija się echem w łazience.

– Tak.

– Skończyłeś?

Przewracam oczami. Po minucie wychodzę z toalety i idę do schodów. Eskorta gdzieś zniknęła. Stoi w pustym korytarzu, wciąż z tym samym kwaśnym uśmiechem przyklepionym do twarzy.

– Wcale ci się nie chciało – mówi jakby poirytowana. – Robisz uniki.

– Jesteś genialna – odpowiadam beznamiętnie i wchodzę po dwa stopnie.

Punkt dla Carlosa Fuentesesa.

Słyszę jej kroki za plecami. Próbuje mnie dogonić. Schodzę na drugie piętro i myślę, jak się jej pozbyć.

– Dzięki, że przez ciebie spóźnię się na lekcję bez powodu – mówi, kiedy mnie dogania.

– Nie moja wina. Nie prosiłem się o niańkę. I

żeby było jasne, bez problemu sam wszędzie trafię.

– Naprawdę? Bo właśnie minąłeś klasę pana Henneseya.

Cholera.

Punkt dla wzorowej uczennicy.

Wynik 1:1. Rzecz w tym, że nie lubię remisów. Lubię wygrywać... dużą przewagą.

Wkurza mnie zdziwienie w oczach mojej przewodniczki.

Podchodzę bliżej, bardzo blisko.

– Urwałaś się kiedyś z lekcji? – pytam tonem podrywacza. Próbuję wytrącić ją z równowagi, żeby zyskać przewagę.

– Nie – odpowiada wolno, wyraźnie onieśmielona.

Dobra robota. Zbliżam się jeszcze bardziej.

– Powinniśmy zrobić to razem – mówię miękko i otwieram drzwi klasy.

Słyszę, że wciąga powietrze. Nie prosiłem się o twarz i ciało, które dziewczyny uważają za

atrakcyjne. Ale dzięki mieszance DNA rodziców mam, co mam, i nie wstydzę się z tego korzystać. Twarz, której nie powstydziliby się Adonis, jest jedną z moich nielicznych zalet, więc wykorzystuję to bez zahamowań i do dobrych, i do złych rzeczy.

Kiara przedstawia mnie szybko panu Henneseyowi i równie szybko znika za drzwiami. Mam nadzieję, że mój podryw odstraszył ją na dobre. Jeśli nie, to następnym razem będę bardziej napastliwy. Zajmuję miejsce w pracowni matematycznej i rozglądam się po klasie. Wszystkie dzieciaki wyglądają na takie z bogatych rodzin. To nie jest szkoła jak Fairfield na przedmieściach Chicago, gdzie mieszkałem, zanim wyjechaliśmy do Meksyku. W Fairfield też były bogate i biedne dzieciaki, ale Flatiron przypomina prywatne liceum w Chicago, gdzie każdy nosi markowe ciuchy i jeździ wypasionym wozem.

Tam nabijaliśmy się z tych dzieciaków. Tutaj

jestem nimi otoczony.

Po matmie Kiara czeka pod klasą. Nie wierzę własnym oczom.

– I jak było? – przekrzykuje hałas, kiedy tłum wylewa się z klasy.

– Chyba nie spodziewasz się uczciwej odpowiedzi, co?

– Chyba nie. Chodź, mamy tylko pięć minut. – Przeciska się przez tłum uczniów, a ja za nią. Koński ogon huśta się przy każdym kroku. – Alex mnie uprzedził, że jesteś zbuntowany.

Jeszcze niewiele widziała.

– Skąd znasz mojego brata?

– Był studentem mojego taty. I pomaga mi przy samochodzie, który restauruję.

Ta *chica* jest niemożliwa. Restauruje samochód?

– A co ty wiesz o samochodach?

– Więcej niż ty – rzuca przez ramię.

Śmieję się.

– Założysz się?

– Może. – Staje przed drzwiami klasy. – Tutaj masz biolę.

Mija nas jakaś gorąca laseczka, która znika w klasie. Ma obcisłe džinsy i jeszcze ciaśniejszą koszulkę.

– Ło! kto to był?

– Madison Stone – odpowiada Kiara pod nosem.

– Poznaj mnie z nią.

– Czemu?

Bo wiem, że to cię maksymalnie wkurzy.

– A czemu nie?

Przyciska książki do piersi, jakby zasłaniała się tarczą.

– Mogę na poczekaniu podać pięć powodów.

Wzruszam ramionami.

– Okej, wal.

– Nie ma czasu. Zaraz będzie dzwonek. Przedstawisz się sam pani Shevelenko? Przypomniało mi się, że muszę wziąć z szafki zadanie domowe z francuskiego.

– No to się pośpiesz. – Patrzą na nadgarstek, chociaż nie mam zegarka, ale chyba tego nie zauważyła. – Zaraz będzie dzwonek.

– Przyjdę po ciebie po lekcji – mówi i rusza biegiem przez korytarz.

Wchodzę do klasy. Czekam, aż Shevelenko podniesie wzrok znad biurka i zaszczyli mnie spojrzeniem. Wpatruje się w ekran laptopa. Chyba wysłała prywatnego mejla.

Chrząkam, żeby zwrócić jej uwagę. Zerka na mnie i zamyka program.

– Usiądź, gdzie chcesz. Za minutę sprawdzę obecność.

– Jestem nowy – mówię jej. Powinna wpaść na to sama, bo rok szkolny zaczął się dwa tygodnie temu, a ja jestem tu pierwszy raz, ale wolę przypomnieć.

– Jesteś tym uczniem z Meksyku na wymianę?

Nie całkiem. Co prawda nazywają to wymianą, ale nie sądzę, żeby tę kobietę

obchodziły szczegóły.

– Tak.

Na jej wardze obsypanej meszkiem wąsika błyszczą kropelki potu. Nie chce mi się wierzyć, że nie ma tu nikogo, kto zrobiłby z tym porządek. Moja ciotka Consuelo miała ten sam problem, ale mama się za nią wzięła i załatwiła sprawę gorącym woskiem.

– Mówisz w domu po hiszpańsku czy po angielsku? – pyta Shevelenko.

Nie wiem nawet, czy wolno jej o to pytać, ale odpuszczam.

– I tak, i tak.

Wyciąga szyję i przeczesuje wzrokiem klasę.

– Ramiro, chodź tu.

Z ławki wstaje jakiś Latynos. Wygląda jak wyższa wersja najlepszego przyjaciela Aleksa, Paco. Kiedy Alex i Paco byli w ostatniej klasie liceum, zostali postrzeleni i nasze życie stanęło na głowie. Paco zmarł. Nie wiem, czy kiedykolwiek się z tym pogodzimy. Brat trafił do

szpitala, a jak wyszedł, przeprowadziliśmy się do rodziny w Meksyku. Od tamtego czasu nic nie jest takie jak dawniej.

– Ramiro, to jest... – Shevelenko patrzy na mnie. – Jak masz na imię?

– Carlos.

Zerka na Ramiro.

– Carlos jest Meksykaninem, ty jesteś Meksykaninem. Obaj mówicie po hiszpańsku, więc zadbaj o to, żebyście pracowali razem.

Idę za Ramiro do jednego ze stołów w pracowni.

– Ona tak zawsze? – pytam.

– Prawie. W zeszłym roku Heavy Shevy przez sześć miesięcy mówiła na jednego Iwana „Rosjanin”, bo nie mogła zapamiętać jego imienia.

– Heavy Shevy? – pytam.

– Nie wiem, skąd się wzięło – mówi Ramiro. – Ja tego nie wymyśliłem. Ma takie przezwisko od dwudziestu lat, jak nie dłużej.

Rozlega się dzwonek na lekcję, ale wszyscy dalej gadają. Heavy Shevy siedzi przy komputerze zajęta swoim mejblem.

– *Me llamo* Ramiro, ale to zbyt latynoskie, więc mówią na mnie Ram.

Moje imię też jest latynoskie, ale nie widzę powodu, żeby gardzić dziedzictwem i skracać je na Carl. Wystarczy jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, że jestem Latynosem, więc po co miałbym udawać kogoś innego? Alex nie pozwala mówić na siebie Alejandro. Wciąż oskarżam go o to, że chce się dopasować do białych.

– *Me llamo* Carlos. Mów na mnie Carlos.

Przyglądam się uważniej Ramowi. Ma na sobie markowy golf z widocznym logo. Może i w Meksyku została *su familia*, ale na pewno jego rodzina mieszka w bezpiecznej odległości od mojej.

– Co tu się robi po szkole? – pytam.

– Spytaj, czego się nie robi – odpowiada Ram. –

Można się pokręcić po centrum handlowym Pearl Street, iść do kina, na wycieczkę w góry, uprawiać snowboard, pływać na tratwie, chodzić na piesze wędrówki i na imprezy z laskami z Niwot i Longmont.

Z tej listy tylko ostatnie zajęcie jest warte uwagi.

Po drugiej stronie stołu siedzi seksowna laseczka Madison. Ma długie blond włosy z pasemkami, wielki uśmiech i jeszcze większe *chichis*, nie gorsze niż Brittany. Nie żebym gapił się na dziewczynę mojego brata, ale trudno ich nie zauważyć.

Madison przechyla się przez stół.

– Podobno jesteś nowy – mówi. – Jestem Madison. A ty masz na imię...

– Carlos – rzuca Ram, nie dając mi dojść do słowa.

– Jestem pewna, że sam potrafi się przedstawić, Ram – syczy i zakłada włosy za ucho. Ma w uszach kolczyki z brylantami,

którymi mogłaby oślepiac, gdyby słońce padło pod odpowiednim kątem. Przechyla się w moją stronę i przygryza dolną wargę. – Jesteś tym nowym chłopakiem z *Me-chi-kou*?

Zawsze mnie wkurza, jak białe dzieciaki próbują wymawiać to po hiszpańsku. Ciekawe, co jeszcze o mnie słyszała.

– *Sí*.

Posyła mi seksowny uśmiech i przechyla się bliżej.

– *Estás muy caliente*. – Jeśli się nie mylę, chciała powiedzieć, że jestem gorące ciacho. Nie tak to mówią w *Me-chi-kou*, ale łapię. – Przydałby mi się dobry nauczyciel hiszpańskiego. Poprzedni to było totalne dno.

Ram głośno chrząka.

– *Qué tipa!* Gdybyś nie wiedział, to ja nim byłem.

Wlepiam oczy w Madison. Jest naprawdę wystrzałowa i najwyraźniej nie ma problemu z demonstrowaniem swoich walorów. Chociaż

wolę raczej egzotyczne, meksykańskie *chicas* o miodowej skórze, to przecież żaden facet nie oprze się Madison. I ona o tym wie.

Koleżanka woła ją do innego stołu.

– Uczyłeś ją czy chodziłeś z nią na randki? – odwracam się do Rama.

– I to, i to. Czasami jednocześnie. Zerwaliśmy miesiąc temu. Lepiej trzymaj się od niej z daleka. Gryzie.

– Dosłownie? – szczerzę zęby.

– Lepiej nie zbliżaj się do niej na tyle, żeby poznać odpowiedź na to pytanie. Powiem ci tylko tyle, że pod koniec role się odwróciły: ja byłem uczniem, a ona nauczycielką. I nie mam na myśli hiszpańskiego.

– *Está sabrosa*. Zaryzykuję.

– Jak chcesz, stary – mówi Ram i wzrusza ramionami, a Heavy Shevy w końcu zabiera się do lekcji. – Ale nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Nie zamierzam być niczym chłopakiem, ale nic by się nie stało, gdybym zaciągnął kilka

dziewczyn z liceum Flatiron do mieszkania Aleksa. Muszę mu udowodnić, że jestem jego przeciwnikiem. Odwracam się do Madison. Uśmiecha się, jakby obiecywała coś więcej. Byłoby ekstra przyprowadzić ją do Aleksa. Jest taka jak Brittany, tyle że bez aureoli.

Po przebrnięciu przez poranne lekcje zdecydowanie mam ochotę coś przegryźć. Kiedy odzywa się dzwonek, cieszę się, że Kiara nie czeka na mnie pod drzwiami, chociaż obiecała. Idę do szafki po drugie śniadanie, które sam sobie zrobiłem z tego, co znalazłem w lodówce Aleksa.

Może moja przewodniczka odpuściła. Jeśli o mnie chodzi, to super, chociaż krążę dziesięć minut, żeby trafić do stołówki. Wchodzę tam w końcu i mam zamiar usiąść przy jednym z okrągłych stolików, ale widzę, że Ram do mnie macha.

– Dzięki, że mnie wystawiłeś – mówi jakiś głos za moimi plecami.

Odwracam się do Kiary.

– Myślałem, że odpuściłaś.

Kręci głową, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką słyszała.

– Oczywiście, że nie. Nie mogłam urwać się wcześniej z lekcji.

– Wielka szkoda. – Udaję, że jej współczuję. – Poczekałbym, gdybym wiedział...

– Tak, jasne. – Wskazuje skinieniem głowy na stolik Rama. – Idź usiądź z Ramem. Widziałam, że do ciebie machał.

Rzucam jej zaszokowane spojrzenie.

– No nie. Pozwalasz mi z nim usiąść?

– Możesz usiąść ze mną.

Nie palę się do tego.

– Nie, dzięki.

– Tak myślałam.

Idę do stolika Rama, a Kiara staje w kolejce po ciepły lunch. Siadam okrakiem na krześle, a Ram przedstawia mnie swoim kumplom – sami biali goście, wyglądają jak klony. Gadają o

dziewczynach i sporcie, i swoich ulubionych drużynach futbolowych. Chyba żaden z nich nie wytrzymałby jednego dnia w cukrowni w Meksyku. Niektórzy moi kumple nie zarabiali nawet piętnastu dolarów dziennie. A ci mają zegarki, które kosztują więcej niż roczne wynagrodzenie tamtych.

Madison zjawia się przy naszym stoliku, kiedy Ram wraca do kolejki.

– Cześć wam – mówi. – Moi rodzice wyjeżdżają na weekend. W piątek wieczorem urządzam imprezę i wszystkich zapraszam. Tylko nie mówcie nic Ramowi.

Madison wyjmuje z torebki tubkę z błyszczkiem do ust. Kilka razy przesuwając w środku aplikator, po czym przejeżdża nim po wargach. Kiedy już myślę, że skończyła przedstawienie, robi z ust idealne kółko i wodzi dookoła aplikatorem. Zerkam, czy inni też się gapią na ten erotyczny błyszczkowy show. Dwaj kumple Rama przestali rozmawiać i

wpatrują się jak zahipnotyzowani w Madison prezentującą swój wyjątkowy talent. Wraca Ram i zabiera się do jedzenia, nie odrywając oczu od swojego kawałka pizzy pepperoni.

Madison cmoka ustami i zwraca się do mnie.

– Carlos, zapiszę ci parę informacji.

Wyciąga długopis i chwyta mnie za ramię. Zapisuje swój numer telefonu i adres na moim przedramieniu nad tatuażami, jak jakaś artystka. Na koniec macha, przebierając palcami, i odchodzi do koleżanek.

Odgryzam kawałek sandwicza i szukam wzrokiem Kiary, przeciwieństwa Madison. Siedzi z chłopakiem, który ma jasne zmierzwione włosy opadające na twarz. Gościu jest mojego wzrostu i ma podobną sylwetkę. Czy to jej chłopak? Jeśli tak, to mu współczuję. Kiara jest typem dziewczyny, która oczekuje od chłopaka, żeby był uległy i tańczył tak, jak mu zagra.

Moje ciało i umysł nie są zaprogramowane na uległość i prędzej bym umarł, niż tańczył tak, jak

mi ktoś zagra.

agnesa

4. Kiara

Jak ci się podobała funkcja przewodniczki? – pyta mnie mama podczas kolacji. – Wiem, że nie mogłaś się tego doczekać.

– Nie za bardzo.

Podaję młodszemu bratu trzecią serwetkę, bo ma buzię upapraną sosem do spaghetti.

Wracam myślami do ósmej lekcji, po której poszłam pod klasę Carlosa tylko po to, żeby się dowiedzieć, że już wyszedł.

– Carlos dwa razy mnie wystawił.

Tata jest psychologiem i myśli, że każdego można poddać wnikliwej analizie. Marszczy brwi i dokłada sobie groszku.

– Wystawił cię? Dlaczego miałyby to robić?

Mhm...

– Bo myśli, że nie trzeba go oprowadzać po szkole. I że jest superfajny.

Mama klepie mnie po dłoni.

– To nie jest fajne zachowanie, ale musisz być cierpliwa. Jest w nowym środowisku. Na pewno mu ciężko.

– Mama ma rację. Nie osądzaj go zbyt surowo, Kiara – mówi tata. – Na pewno próbuje się odnaleźć w nowej sytuacji. Alex przyszedł do mnie po zajęciach i długo rozmawialiśmy. Biedny chłopak. Sam ma dopiero dwadzieścia lat, a jest odpowiedzialny za siedemnastolatka.

– Może zaprosisz Carlosa do nas jutro po szkole? – proponuje mama.

Tata celuje w nią widelcem.

– Świetny pomysł.

Jestem pewna, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnie Carlos, jest przychodzenie do mojego domu. Dał jasno do zrozumienia, że będzie mnie znosił przez ten tydzień tylko dlatego, że musi. Kiedy w piątek skończy się moja funkcja, pewnie urządzi imprezę, żeby to uczcić.

– No nie wiem.

– Zrób to. – Mama nie zważa na moje

wahanie. – Upiekę ciasteczka z marmoladą pomarańczową, według tego nowego przepisu od Joanie.

Nie jestem pewna, czy Carlos doceni ciasteczka z marmoladą pomarańczową, ale...

– No dobrze. Ale nie zdziwcie się, jeśli odmówi.

– To ty się nie zdziw, jeśli się zgodzi – mówi tata, wieczny optymista.

Nazajutrz, kiedy odprowadzam Carlosa do klasy między trzecią a czwartą lekcją, w końcu zbieram się na odwagę.

– Masz ochotę przyjść do mnie po szkole?

Jego brwi szybują w górę.

– Zapraszasz mnie na randkę?

Zaciskam zęby.

– Nie pochlebiaj sobie.

– To dobrze, bo nie jesteś w moim typie. Lubię seksowne i głupie laski.

– Ty też nie jesteś w moim typie – odcinam się. – Lubię bystrych i zabawnych facetów.

– Jestem zabawny.

Wzruszam ramionami.

– Może jestem za mądra, żeby zrozumieć twoje dowcipy.

– To czemu zapraszasz mnie do siebie?

– Moja mama... upiekła ciasteczka. – Skręca mnie, gdy to mówię. Kto zaprasza chłopaka na ciasteczka? Może mój brat, ale on jest w przedszkolu. – To nie randka ani nic w tym rodzaju – wyrzucam z siebie, żeby nie pomyślał, że na niego lecę. – Tylko... ciasteczka.

Chciałabym cofnąć tę całą rozmowę, ale już nie ma odwrotu.

Dochodzimy do drzwi jego klasy, a Carlos wciąż milczy.

– Zastanowię się – mówi i zostawia mnie samą.

Zastanowi się? Tak jakby przychodząc do mojego domu, wyświadczał mi wielką przysługę? Przecież jest odwrotnie.

Pod koniec dnia spotykamy się przy szafkach.

Mam nadzieję, że zapomniał o mojej propozycji, ale wkłada ręce do kieszeni i opierając ciężar ciała na jednej nodze, mówi:

– A jakie ciasteczka?

Dlaczego ze wszystkich pytań świata zadał właśnie to?

– Pomarańczowe. Z marmoladą pomarańczową.

Pochyliła się nade mną, jakby nie dosłyszał, co powiedziałam.

– Z czym pomarańczowym?

– Marmoladą.

– Czym?

– Z marmoladą.

Niestety, słowo marmolada nie brzmi fajnie, choćby się człowiek nie wiem jak starał, więc gdy wymawiam je dwa razy, czuję się jak idiotka. Pocieszam się, że przynajmniej się nie zająknęłam.

Potakuje. Widzę, że stara się zachować powagę, ale na darmo. Wybuchą śmiechem.

– Możesz to powiedzieć jeszcze raz?
– Żebyś miał ze mnie ubaw?
– *Sí*. To ostatnio jedyna rzecz, na którą czekam. Tak się składa, że jesteś łatwym celem.

Zamykam z trzaskiem drzwi szafki.

– Czuj się oficjalnie niezaproszony.

Odchodzę, ale przypomina mi się, że zostawiłam w szafce książki potrzebne do zadania domowego, więc muszę się cofnąć. Szybko biorę podręczniki, wciskam je do plecaka i zmykam.

– Gdyby były czekoladowe, tobym przyszedł – woła za mną i się śmieje.

Tuck czeka na mnie na szkolnym parkingu.

– Co tak długo?

– Klóciłam się z Carlosem.

– Znowu? Kiara, przecież dopiero wtorek. Masz go znosić jeszcze przez trzy dni. Zrezygnuj z funkcji i skończ z tym żalonym facetem.

– Nie mogę, bo on właśnie tego chce. – Wsiadamy do mojego samochodu. Wyjeżdżam z

parkingu. – Nie może ciągle być górą. Nie dam mu tej satysfakcji. Jest okropny.

– Musisz coś zrobić, żeby mu pokazać, kto tu rządzi.

Uważam, że pomysł Tucka jest doskonały.

– To jest to! Tuck, jesteś genialny – mówię z podnieceniem i robię ostrą zawrotkę.

– Dokąd jedziemy? – pyta Tuck i wskazuje za siebie. – Mieszkasz tam.

– Do sklepu spożywczego i z narzędziami. Muszę kupić składniki na czekoladowe ciasteczka.

– Od kiedy zajmujesz się pieczeniem? – pyta Tuck. – I dlaczego akurat czekoladowe ciasteczka?

Posyłam mu przekorny uśmiech.

– Muszę pokazać Carlosowi, kto tu rządzi.

5. Carlos

W środę po lekcjach idę do warsztatu samochodowego, gdzie mam się spotkać z Alekssem. Przechodzę przez ulicę i nagle zatrzymuje się koło mnie czerwony mustang. Za kierownicą, przy opuszczonej szybie, siedzi nie kto inny tylko Madison Stone. Podchodzę do niej. Pyta, dokąd idę.

– Do warsztatu McConnella. Mój brat tam pracuje. Jak mu pomogę, to zarobię trochę grosza.

– Wskakuj. Podwiozę cię.

Madison mówi swojej koleżance Lacey, żeby spadała do tyłu. Każe mi usiąść obok siebie. We wszystkich miejscach, w których mieszkałem, ocenia się ludzi po kolorze skóry i wielkości konta rodziców, więc jestem zaniepokojony nagłym zainteresowaniem Madison. Do diabła, przed lekcją Heavy Shevy wykorzystałem cały

arsenał sztuczek, żeby oczarować Kiarę, ale tej dziewczynie nawet nie drgnęła powieka, nie mówiąc już o rozsznurowaniu zaciśniętych ust. Doczekałem się tylko pogardliwego prychnięcia. Ale wczoraj zaprosiła mnie na ciasteczka. Z marmoladą pomarańczową. Kto, do diabła, zaprasza chłopaka na ciasteczka z marmoladą? Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że mówiła zupełnie poważnie. Dzisiaj nie odezwała się do mnie ani słowem. Cholera, nabijałem się z niej, bo myślałem, że coś w końcu powie, ale nie dała się złapać na haczyk.

Madison wbija adres warsztatu do GPS-a.

– Carlos – zagaduje Lacey, wstawiając głowę między przednie fotele, kiedy Madison rusza. Klepie mnie w ramię, jakbym jej nie usłyszał. – To prawda, że wyrzucili cię z poprzedniej szkoły, bo pobiłeś jakiegoś chłopaka?

Byłem w tamtej szkole tylko trzy dni, a ludzie już gadają.

– Właściwie to byli trzej goście i pitbull –

żartuję, ale chyba się nie połapała, bo otwiera szeroko buzię, zaszokowana.

– Ło! – klepie mnie znowu. – To w Meksyku można przyprowadzać psy do szkoły?

Lacey jest bardziej tępa niż burrito bez fasoli.

– O tak. Ale tylko pitbulle i chichuachua.

– Fajnie by było, gdybym mogła wziąć Puddlesa do szkoły! – Znowu klepie mnie w ramię. Kusi mnie, żeby też ją poklepać. Przynajmniej by wiedziała, jakie to wkurzające. – Puddles to mój labradoodle.

Co to, do diabła, jest labradoodle? Nie wiem, ale założę się, że pitbull mojej kuzynki Lany zjadłby Puddlesa labradoodle'a na obiad.

– Twój brat to ten facet, który odwiózł cię do szkoły w poniedziałek rano? – pyta Madison.

– Tak – odpowiadam, gdy zajeżdżamy na parking przed warsztatem.

– Moja koleżanka Gina mówiła, że widziała was w gabinecie dyrektora. Twoi rodzice wyjechali z miasta?

– Mieszkam z bratem. Reszta rodziny wróciła do Meksyku.

Nie ma potrzeby opowiadać jej historii życia. Nie musi wiedzieć, że mój ojciec zginął w porachunkach dilerów, kiedy miałem cztery lata, a *mi'amá* praktycznie wykopała mnie z domu do Ameryki.

Madison jest w szoku.

– Mieszkaś z bratem? Bez rodziców?

– Bez.

– Ale z ciebie fuksiarz – wzdycha Lacey. – Mnie rodzice ciągle siedzą na karku, a siostra jest świruską. Często uciekam do Madison. Jest jedynaczką, a jej starych nigdy nie ma w domu.

Madison patrzy we wsteczne lustro. Na wzmiankę o rodzicach sztywnieje na ułamek sekundy, ale potem znowu się uśmiecha.

– Ciągłe są w rozjazdach – wyjaśnia i znowu nakłada błyszczycy na usta. – Ale mi to pasuje, bo mogę robić, co chcę i z kim chcę, bez żadnych zasad.

Ponieważ ciągle ktoś mi narzuca jakieś zasady, życie bez nich wydaje się *bueno*.

– OMG, ty i twój brat wyglądacie jak bliźniacy – mówi Lacey, gdy Alex podchodzi do mustanga.

– Nie widzę podobieństwa – odpowiadam i otwieram drzwi. Madison i Lacey też wysiadają. Spodziewają się, że je przedstawię? Stoją przede mną, a nieskazitelna skóra pokryta makijażem błyszczy w słońcu.

– Dzięki za podwózkę – mówię.

Obie mnie ściskają. Madison ekstramocno i dłużej. To zdecydowanie sygnał, że jest zainteresowana.

Alex chyba nie rozumie, co tu robię z dwiema laskami. Otaczam ramionami Madison i Lacey.

– Cześć, Alex, to są Madison i Lacey. Dwie najseksowniejsze laski w liceum.

Pochylają głowy na powitanie i posyłają Aleksowi promienne uśmiechy. Łyknęły komplement, chociaż nie trzeba im przypominać, że są wystrzałowe, bo same to

wiedzą.

– Dzięki za podwiezienie brata – mówi Alex, po czym wraca do środka.

Gdy dziewczyny odjeżdżają, wchodzę do sklepu. Brat robi coś przy przednim zderzaku SUV-a, który jest mocno potrzaskany po wypadku.

– Jesteś sam? – pytam.

– Tak. Pomóż mi to zdjąć. – Podaje mi narzędzia.

Naprawiałem już z Alekssem samochody w warsztacie kuzyna Enrique. To była jedna z niewielu rzeczy, które chroniły nas przed kłopotami. Brat i kuzyn nauczyli mnie wszystkiego, co wiedzieli o samochodach, a reszty dowiedziałem się sam, kiedy rozkładałem na części stare gruchoty.

Wsuwam głowę pod pokrywę SUV-a i odkręcam śrubki. Przez chwilę słysząc tylko brzęk metalu i przenoszę się w myślach do warsztatu Enrique w Chicago. Pracujemy z

Aleksem ramię w ramię.

– Miłe dziewczyny – mówi w końcu ironicznie.

– No wiem. Pomyślałem, że zaproszę obie na bal absolwentów. – Wsuwam śrubokręt do tylnej kieszeni. – Ach, muszę ci coś powiedzieć. Kiara zaprosiła mnie wczoraj na ciasteczka.

– Dlaczego nie poszedłeś?

– Bo nie chciałem, ale i tak odwołała zaproszenie.

Alex patrzy na mnie znad zderzaka.

– Tylko nie mów, że zachowałeś się jak kompletny *pendejo*.

– Trochę się z niej nabijałem i tyle. Jak jeszcze raz będziesz mi załatwiał eskortę, to najpierw się upewnij, żeby nie nosiła wyciągniętych koszulek z głupimi napisami. Kiara przypomina mi jednego koleśka, którego znałem w Chicago, Alex. Nawet nie wiem, czy jest dziewczyną.

– Mam to ud-d-dowodnić? – Od drzwi rozlega się głos mojej byłej przewodniczki.

O, do diabła.

agnesa

6. Kiara

Tak – mówi Carlos, podejmując wyzwanie z rozbawionym wyrazem twarzy. – Udowodnij.

Alex podnosi dłoń.

– Nie. Nie trzeba.

Popycha brata na samochód i mamrocze coś po hiszpańsku. Carlos odpowiada mu półgłosem. Nie mam pojęcia, co mówią, ale nie są zadowoleni.

Ja też nie jestem. Nie mogę uwierzyć, że znowu się jąkam. Wkurza mnie jak diabli, że przez Carlosa zacynam się z nerwów. To znaczy, że ma nade mną władzę – i to mnie złości. Nie mogę się doczekać piątku. Zrealizuję w końcu operację „Ciasteczko”. Muszą tylko być czerstwe, bo inaczej się nie uda. Najważniejsze, że wcale się tego nie spodziewa.

Alex, poirytowany, zostawia Carlosa w spokoju i wyjmuje pudełko spod lady.

– Wypróbowałem radio. Chyba brakuje jakiejś sprężynki. Raczej nie będzie działało, ale chciałbym spróbować. Daj mi kluczyki. Wprowadzę twój samochód. – Odwraca się do Carlosa. – Ani słowa, kiedy mnie nie ma.

Gdy tylko Alex wychodzi, Carlos mówi:

– Jeśli nadal chcesz udowodnić, że nie jesteś facetem, wchodzę w to.

– Czy bycie dupkiem poprawia ci samoocenę?

– Nie. Ale wkurzanie brata tak. A wkurzanie ciebie wkurza mojego brata. Niestety, znalazłeś się w krzyżowym ogniu.

– Nie mieszaj mnie do tego.

– Nie ma szans. – Carlos kuca przy samochodzie, który razem naprawiali, i pociąga za zderzak.

– Musisz najpierw odczepić haczyki – proponuję.

– Masz na myśli stanik czy zderzak? – Posyła mi arogancki uśmiech. – Bo jestem ekspertem od ściągania jednego i drugiego.

Niepotrzebnie to robię. Co za szczeniacki pomysł. Wszystko przez tę głupią aluzję Carlosa. I przez to, że robił sobie ze mnie ubaw, kiedy mówiłam słowo „marmolada”. Sam się prosił, żeby mu dać nauczkę.

Jest piątek. Przyjechaliśmy do szkoły wcześniej, żeby wykleić szafkę Carlosa. We wtorek Tuck pomógł mi upiec sto czekoladowych ciasteczek. Kiedy ostygły, przykleiliśmy do nich małe, ale mocne magnesy. Teraz mamy czerstwe ciasteczkowe magnesy.

Kiedy Carlos spróbuje odzepić magnes od szafki, ciasteczko rozkruszy mu się w rękach. Kupiłam supermocne magnesy wielkości dziesięciocentówki. Będzie kupa bałaganu. Ma dwie opcje: trzymać magnetyczne ciasteczka w szafce albo zdejmować je po jednym i zapaskudzić sobie wszystko okruciami.

– Zapamiętam sobie, żeby nigdy z tobą nie zadzierać – mówi Tuck, który stoi na czatach. Do pierwszej lekcji zostało czterdzieści pięć minut,

więc na korytarzach kręci się niewiele osób.

Otwieram szafkę Carlosa – widziałam kombinację cyfr na planie lekcji, który dostałam od pana House'a. Mam poczucie winy, ale za małe, żeby się wycofać. Przyklejam kilka ciasteczek i patrzę na Tucka. Stoi spokojnie. Ma mnie uprzedzić, gdyby nadchodził Carlos albo ktoś inny, kto mógłby nabrać podejrzeń. Za każdym razem gdy umieszczam kolejne ciastko, rozlega się kliknięcie, a Tuck wybucha śmiechem.

Klik. Klik. Klik. Klik. Klik. Klik.

– Wkurzy się na maksa – mówi mój przyjaciel.
– Domyśli się, że to ty. Jak chcesz komuś wykręcić numer, lepiej zrobić to anonimowo. I nie dać się przyłapać.

– Już za późno. – Przyklejam następne ciasteczka. Zastanawiam się, jak mam zmieścić całą setkę w niewielkiej szafce. Obklepam górę, tył, wewnętrzną stronę drzwi, boki... Zaczyna mi brakować miejsca, ale prawie skończyłam.

Szafka wygląda, jakby dostała brązowej wysypki. Sięgam do torby. – Zostało tylko jedno.

Tuck wstawia głowę do szafki.

– To chyba najlepszy kawał w historii liceum Flatiron, Kiara. Będzie opisywany w książkach. Jestem z ciebie dumny. Przyklej ostatnie na zewnątrz, na samym środku drzwi.

– Dobry pomysł. – Zamykam szafkę Carlosa. Nikt nas nie przyłapał. Przyklejam ostatnie ciasteczko i patrzę na zegarek. Za dwadzieścia minut otwierają aulę. – Teraz poczekamy.

Tuck zerka na korytarz.

– Już się schodzą. Może się gdzieś ukryjemy?

– Dobra, ale muszę zobaczyć jego reakcję. Schowajmy się do pokoju pani Hadden.

Pięć minut później zerkamy z Tuckiem przez kwadratowe okienko w drzwiach. Zbliża się Carlos.

– Idzie – szepczę. Serce wali mi jak szalone.

Carlos marszczy brwi, kiedy podchodzi do szafki i spostrzega duże brązowe ciasteczko na

drzwiach. Ogląda się na prawo i lewo, jakby szukał winowajcy. Kiedy próbuje odzepić niespodziankę, rozkrusza mu się w ręce, ale magnes zostaje na drzwiach.

– Co robi? – pytam Tucka, który jest wyższy i lepiej widzi.

– Uśmiecha się. I kręci głową. Wyrzuca okruchy do kosza na śmieci.

Przestanie się uśmiechać, kiedy otworzy szafkę i zobaczy dziewięćdziesiąt dziewięć ciastek przytwierdzonych magnesami.

– Idę tam.

Wyłamiam się z bezpiecznej kryjówki i podchodzę do swojej szafki jak gdyby nigdy nic.

– Hejka – mówię do Carlosa, który gapi się na wewnątrz szafki pokryte ciasteczkami.

– Daję ci piątkę z plusem za oryginalny pomysł i wykonanie – mówi.

– Wkurza cię, że za wszystko dostaję dobre oceny, nawet za kawały?

– Tak. – Unosi brew. – Jestem pod wrażeniem.

Zamyka szafkę z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma ciasteczkami. I jakby nie było sprawy, idziemy ręka w ręka na jego pierwszą lekcję.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Kilka razy kręci głową, jakby nie wierzył, że to zrobiłam.

– Rozejm? – pytam.

– Nie ma mowy. Wygrałaś jedną bitwę, *chica*, ale wojna jeszcze trwa.

7. Carlos

Wszędzie czuję zapach ciasteczek. Na dłoniach, podręcznikach... do diabła, nawet w plecaku. Próbowałem odzepić kilka z nich, ale narobiłem takiego bałaganu, że dałem spokój. Niech sobie tam będą, aż spleśnieją, a wtedy... zgarnę wszystkie okruchy i wrzucę do szafki Kiary. Albo przytwierdzę superklejem do wnętrza.

Muszę przestać myśleć o ciasteczkach i Kiarze. Nic nie może się równać kuchni mojej *mi'amá*, ale gdy tylko docieram do domu, wydaję, co tylko się da znaleźć w kuchni Aleksa, i staram się ugotować prawdziwe meksykańskie jedzenie. Przynajmniej nie będę myślał o tych cholernych czekoladowych ciasteczkach. To mnie doprowadza do szału, zwłaszcza w połączeniu z faktem, że od tygodnia nie jadłem prawdziwego, ostrego meksykańskiego żarcia.

Alex pochyla się nad garnkiem duszonego mięsa i wdycha zapach. Widzę po jego minie, że mu to przypomina dom.

– To się nazywa *carne guisada*. Meksykańska potrawa – mówię powoli, jakby nigdy o tym nie słyszał.

– Wiem, co to jest, przemądrzały dupku.

Odkłada pokrywkę na garnek, nakrywa do stołu i wraca do nauki.

Godzinę później siadamy do stołu. Mój brat błyskawicznie pochłania pierwszą porcję i bierze dokładkę.

– Dużo jesz.

– W życiu nie jadłem czegoś tak pysznego. – Alex oblizuje widelec. – Nie wiedziałem, że umiesz gotować.

– Mało o mnie wiesz.

– Kiedyś wiedziałem więcej.

Dźgam widelcem jedzenie, bo nagle odechciało mi się jeść.

– To było dawno temu. – Wbijam oczy w

talerz. Nie znam już mojego brata. Po tym, jak został postrzelony, wolałem z nim nie rozmawiać. Bałem się chyba, że wtedy wszystko stałoby się bardziej realne. Alex nigdy nie powiedział, co się zdarzyło, kiedy odszedł z Latynoskiej Krwi, a ja nie pytałem. Ale wczoraj rano coś mi zaświtało. – Widziałem twoje blizny. Jak wyszedłeś wczoraj spod prysznicza.

Przestaje jeść i odkłada widelec.

– Myślałem, że jeszcze śpisz.

– Nie spałem.

Obraz jego pleców pokrytych bliznami, które wyglądały jak ślady po chłóście, wrył mi się w mózg. Kiedy zauważyłem wypukłość na skórze między łopatkami i wypalone tam litery LK, zupełnie tak, jakby ktoś oznakował bydło, skóra zaczęła mnie palić z nienawiści i gniewu. Myślałem tylko o zemście.

– Zapomnij o tym – mówi Alex.

– Ani mi się śni.

Alex nie jest jedynym z braci Fuentesów,

który czuje potrzebę opiekowania się rodziną. Jak pojedę do Chicago i znajdę tego drania, który mu to zrobił, to już po nim. Czasem buntuję się przeciw *mi familia*, ale w końcu to moja krew.

Nie tylko Alex ma blizny. Stoczyłem więcej walk niż zawodowy bokser. Gdyby wiedział, że mam też napis *Guerrero* wytatuowany na plecach, toby go poniosło. Mieszkam teraz w Kolorado, ale tamte więzy wciąż obowiązują.

– Jutro wieczorem jadę z Brittany do jej siostry Shelley. Chcesz jechać z nami?

Wiem, że siostra Brittany jest niepełnosprawna i przebywa w jakimś specjalnym ośrodku niedaleko stąd.

– Nie mogę. Wychodzę – mówię.

– Z kim?

– Jeśli się nie mylę, to nasz *papá* nie żyje. A tobie nie muszę mówić.

Mierzymy się wzrokiem. Dawniej bez namysłu kopnęłyby mnie za to w dupę, ale teraz jest inaczej. Kłótnia wisi w powietrzu. Na

szczęście, drzwi się otwierają i wchodzi Brittany.

Z miejsca wyczuwa między nami napięcie, bo jej uśmiech gaśnie. Brittany podchodzi do stołu i kładzie rękę na ramieniu Aleksa.

– Wszystko w porządku?

– *Perfecto*, prawda, Alex? – mówię, biorę talerz i mijam ją w drodze do kuchni.

– Nie. Zadałem mu proste pytanie, ale nie chce odpowiedzieć – wyjaśnia Alex.

Daję słowo, że takie teksty są zarezerwowane dla starych. Wzdycham zniecierpliwiony.

– Idę na imprezę, Alex. Nie mam zamiaru nikogo zamordować.

– Na imprezę? – powtarza Brittany pytająco.

– Tak. Słyszeliście o czymś takim?

– Słyszałam. I wiem, co się tam wyprawia. – Siada obok Aleksa. – Chodziliśmy w liceum na imprezy i uczyliśmy się na błędach. Carlos musi się uczyć na swoich. Nie zabronisz mu pójść – tłumaczy mojemu bratu.

Alex celuje we mnie paluchem.

– Szkoda, że nie widziałas tych dziewczyn, z którymi się zadaje. Wyglądają zupełnie jak ta świruska Darlene. Pamiętasz ją, Brittany? Ta dziewczyna była gotowa pieprzyć się z całą drużyną futbolową tylko dla popularności.

I znowu brat jest przeciwko mnie. Dzięki, brachol.

– Miło się słucha, jak tak sobie rozmawiacie o moim życiu. Zupełnie jakby mnie tu nie było. Ale okej, bo i tak muszę już iść.

– Jak się tam dostaniesz? – pyta Alex.

– Piechotą. Chyba że... – Zerkam na kluczyki Brittany, które leżą na torebce.

– Może wziąć moje auto – mówi do mojego brata. Oczywiście, nie do mnie, bo Bóg zabronił im podejmować decyzje bez porozumienia z drugą stroną. – Ale nie pij. I nie bierz prochów.

– Okej, mamó – mówię ironicznie.

Alex kręci głową.

– To zły pomysł.

Brittany splota palce z jego palcami.

– Nic się nie stanie, Alex. Naprawdę. I tak mieliśmy jechać autobusem do Shelley.

Przez nanosekundę lubię dziewczynę brata, ale przypominam sobie, że kontroluje jego życie, więc ten słaby cień sympatii znika z szybkością światła.

Biorę kluczyki Brittany i obracam je w palcach.

– Zgódź się, Alex. Nie pogarszaj jeszcze mojego cholernego życia.

– Dobra – mówi. – Ale masz odstawić wóz w nienagannym stanie. Bo popamiętasz.

Salutuję przed nim.

– Tak jest, sierżancie.

Wyjmuje z tylnej kieszeni spodni komórkę i mi ją rzuca.

– Weź jeszcze to.

Znikam, zanim któreś z nich się rozmyśli. Zapominam spytać, gdzie jest zaparkowany samochód, ale nietrudno go znaleźć. Lśniące jak anioł cabrio przywołuje mnie z najbliższego

parkingu.

Sięgam do tylnej kieszeni spodni i wyjmuję karteczkę z adresem Madison. Odpisałem go, zanim umyłem rękę. Rozpracowuję GPS-a i wbijam do niego adres, po czym opuszczam dach i z piskiem opon wyjeżdżam z parkingu. Nareszcie... wolność.

Parkuję na ulicy i idę długim podjazdem do domu Madison. Trudno pomylić adres, bo muzyka ryczy z okna na pierwszym piętrze, a na trawniku stoją dzieciaki. Dom jest ogromny. W pierwszej chwili mam wrażenie, że to apartamentowiec, ale kiedy pochodzę bliżej, widzę, że po prostu okazała rezydencja. Wkraczam do monstrualnego budynku i rozpoznaję grupę dzieciaków z mojej klasy.

– Przyszedł Carlos! – piszczy jakaś dziewczyna. Udaję, że nie słyszę, jak echo roznosi serię jej pisków po domu.

Madison, w krótkiej i obcisłej czarnej sukience, z puszką bud lighta w dłoni, przedziera

się do mnie przez tłum i w końcu mnie ściska.
Chyba wylała mi piwo na plecy.

– OMG, przyszedłeś.

– Jak widać.

– Musimy ci dać coś do picia. Chodź.

Idę za nią do kuchni, która wygląda jak wycięta z czasopisma. Wszystkie urządzenia są z nierdzewnej stali. Na szafkach lśnią duże blaty z granitu. Obok zlewozmywaka stoi ogromny pojemnik napełniony po brzegi lodem i puszkami piwa. Biorę swój przydział.

– Jest tu Kiara? – pytam.

– Też coś – prycha Madison.

Wyczerpująca odpowiedź.

Madison bierze mnie pod ramię i prowadzi do schodów, a potem na górę.

– Musisz kogoś poznać.

Zatrzymuje się, kiedy docieramy do pokoju, w którym stoi pięć dużych staroświeckich automatów do gier, stoły do bilarda i cymbergaja.

Spełnienie marzeń nastolatka.

Śmierdzi tu trawką. Mam wrażenie, że naćpam się od samego oddychania tym powietrzem.

– To pokój rekreacyjny – wyjaśnia Madison.

Na brązowej sofie ze skóry siedzi jakiś białas, rozparty z zadowolonym wyrazem twarzy, jakby chciał tam zostać na zawsze. Ma na sobie biały T-shirt, czarne dżinsy i wysokie buty. Uważa się chyba za spoko gościa. Na niedużym stole przed nim stoi fajka wodna.

– Carlos, to jest Nick – mówi Madison.

Nick kiwa głową.

Odpowiadam tym samym.

– Ekstra.

Madison siada obok Nicka, bierze fajkę i zapalniczkę i funduje sobie potężne sztachnięcie. Cholera, nie ma co, umie dmuchać.

– Nick chciał cię poznać – mówi do mnie. Ma przekrwione oczy. Zastanawiam się, ile razy już się zaciągnęła przed moim przyjściem.

Do pokoju wstawia głowę Lacey.

– Madison, jesteś mi potrzebna! – piszczy. –
Chodź już!

Madison mówi, że zaraz wróci i gramoli się z
pokoju.

Nick pokazuje mi miejsce na sofie koło siebie.

– Siadaj.

Facet jest śliski. Włącza się mój sygnał
alarmowy. Znam tę grę, bo widziałem już w
życiu co najmniej setkę takich Nicków. Do
diabła, w Meksyku sam byłem jednym z nich

– Sprzedajesz towar? – pytam.

Chichocze.

– Jak kupujesz, to sprzedaję. – Podaje mi fajkę.
– Chcesz się sztachnąć?

Unoszę puszkę piwa, którą trzymam w dłoni.

– Później.

Patrzy zwięzionymi oczami.

– Nie jesteś ćpunem, co?

– A wyglądam na ćpuna?

Wzrusza ramionami.

– Nigdy nic nie wiadomo. W dzisiejszych czasach ćpuny mają różną postać.

Nagle myślę o Kiarze. Ta dziewczyna codziennie dostarcza mi rozrywki. Robię, co mogę, żeby ją wkurzyć, a potem obserwuję reakcję. Jej różowe usta zaciskają się w cienką linię za każdym razem, kiedy powiem coś wulgarnego albo zagadam do jakiejś dziewczyny. Ale mimo że w mojej szafce jest pełno pokruszonych ciastek, i tak będzie mi brakowało przewodniczki.

Jeszcze nie zdecydowałem, jak się zemszczę za magnetyczne ciasteczka. Jedno jest pewne – to będzie atak z zaskoczenia.

– Podobno Madison chce ci się dobrać do rozporka – mówi Nick i wyjmuje z kieszeni woreczek z pigułkami. Wysypuje zawartość na stół.

– Tak? – pytam. – Skąd wiesz?

– Od niej. I wiesz co?

– No?

Wrzuca do buzi małą niebieską pigułkę i odchyła głowę, żeby ją połknąć.

– Jak Madison czegoś chce, na ogół to dostaje.

agnesa

8. Kiara

Jestem daltonistą – narzeka pan Whittaker zręczliwym i skrzeczącym głosem. Zanurza pędzel w pojemniczku z brązową farbą i rozprowadza ją na papierze przymocowanym do sztalug. – Czy to zielony? Jak mam malować, skoro na pojemnikach nie ma nazw kolorów?

Na zajęciach plastycznych w ośrodku dla przewlekle chorych, nazywanym też domem opieki, nigdy nie jest nudno. Wcześniej jako wolontariuszka pomagałam w prowadzeniu zajęć etatowemu nauczycielowi plastyki, ale ponieważ odszedł z pracy, muszę go zastępować. Administracja ośrodka dostarcza farby, a ja wymyślam tematy dla tych, którzy chcą zajmować się malowaniem w piątek po kolacji.

Podchodzę szybko do pana Whittakera, a tymczasem drobna staruszka o śnieżnobiałych włosach, której na imię Sylvia, sunie do nas

drobnymi kroczkami.

– Wcale nie jest daltonistą – mówi chrapliwie, siadając przy wolnych sztalugach. – Tylko starym ślepcem.

Pan Whittaker podnosi na mnie drobną, pomarszczoną twarz. Klękam przy nim i czarnym markerem piszę na pojemnikach nazwy kolorów.

– Jest na mnie zła, bo nie zatańczyłem z nią na wieczorku – mówi.

– Jestem zła, bo przyszedłeś wczoraj na kolację bez sztucznej szczęki. – Macha ręką w powietrzu. – Miał bezzębne dziąsła. Taki z niego casanova – sapie niecierpliwie.

– Lafirynda – burczy pan Whittaker.

– Niech pan z nią zatańczy następnym razem – proponuję. – Poczuje się znowu młoda.

Podnosi dłonie o zrogowaciałych, wykręconych artretyzmem palcach i przyciąga mnie do siebie.

– Mam dwie lewe nogi. Ale nie mów Sylvii, bo

da mi popalić.

– Nie ma tu zajęć tanecznych? – szepczę mu prosto do ucha, na tyle głośno, żeby słyszał tylko on, a nie reszta klasy.

– Ledwie chodzę. Nie zrobią ze mnie Freda Astaire’a. Ale gdybyś ty uczyła tańca, a nie ta stara wiedźma Frieda Fitzgibbons, to na pewno zacząłbym chodzić na lekcje. – Podnosi dwuznacznie siwe krzaczaste brwi i klepie mnie w pośladki.

Celuję w niego palcem.

– Nikt panu nie powiedział, że to jest molestowanie seksualne? – przekomarzam się.

– Jestem starym zbereźnikiem, skarbie. Za moich czasów nie było czegoś takiego jak molestowanie seksualne, a kobiety pozwalały, żeby mężczyźni kupowali im wodę sodową i przepuszczali przodem w drzwiach... i podszczypywali w tyłek.

– Pozwalam facetom, żeby mnie przepuszczali w drzwiach, jeśli nie chcą niczego w zamian. Ale

mogę się obejść bez klepania po tyłku i podszczypywania.

Macha niecierpliwie.

– Ach, dzisiejsze dziewczęta też tego chcą... i nie tylko tego.

– Nie słuchaj go, Kiaro. – Sylvia, przywołuje mnie gestem. – Jedyne, czego pragniesz, to miły chłopak... prawdziwy dżentelmen.

– Takich nie ma – wtrąca Mildred.

Miły chłopak. Myślałam, że Michael jest miły, ale nawet nie potrafił mnie rzucić jak dżentelmen.

– Może będę singielką do końca życia.

Mildred i Sylvia kręcą energicznie głowami, aż białe włosy rozsypują się na boki.

– Nie! – protestują jednocześnie.

– Wcale tego nie chcesz – mówi Sylvia.

– Naprawdę?

– No jasne. – Patrzy na pana Whittakera. – Potrzebujemy ich... mimo że to diabły wcielone.

– Każe mi podejść bliżej. – Nie przeszkadzałyby

mi, gdyby klepnął mnie w tyłek.

– Amen, siostró – dodaje Mildred, przeciągając pędzlem po papierze. Maluje sylwetkę, która podejrzenie przypomina nagiego mężczyznę. – Może poprosisz tego miłego chłopca, Tucka, żeby nam pozował? Mówiłaś, że powinniśmy malować żywe obiekty.

– Miałam na myśli psa – uściślam.

– Nie. Przyprowadź nam jakiegoś modela.

– Nie będę malował faceta – krzyczy pan Whittaker z drugiego końca pokoju. – Kiara też musi pozować.

– Niczego nie obiecuję – mówię do klasy. Już widzę, co będzie, kiedy zadzwonię do Tucka i poproszę go, żeby został modelem. Obawiam się, że ten pomysł może mu się spodobać.

9. Carlos

Heeeej – mówi śpiewnie Madison. – Wróciłam.

I przyprowadziła jeszcze dziesięć osób. Wszyscy zbierają się przy fajce i podają ją sobie z rąk do rąk, żeby jarać się po kolei. Ciekawe, co robi teraz Kiara. Na pewno uczy się do SAT albo coś w tym rodzaju, żeby się dostać do dobrego college'u. Już wolę się bawić na imprezie fajowo-pigułowej.

Nick układa rządki pigulek na tacy. Przypomina mi to zestaw pu-pu u Aleksa.

Madison z dużym uśmiechem podaje mi fajkę. I wtedy mam ochotę zapomnieć o Kiarze i SAT, i college'u, i o tym, żeby być grzecznym chłopcem. Jestem złym gościem i muszę się odpowiednio zachowywać.

Zaciągam się, wdychając w płuca słodki dym. Towar jest naprawdę pierwsza klasa, bo zanim podaję fajkę kolejnej osobie, czuję niezłego

kopa. Gdy faja do mnie wraca, zaciągam się powoli i głęboko. Za czwartym razem jestem już tak otumaniony, że mam gdzieś Kiarę z jej ciasteczkami, Aleksa, który wiecznie się mnie czepia, i to, że okłamałem Brittany, bo jej obiecałem, że nie będę na imprezie pił ani ćpał.

W tej chwili mam ochotę myśleć tylko o palących życiowych sprawach, jak...

– Dlaczego Heavy Shevy nie goli wąsika?

– Może jest facetem w przebraniu – mówi Nick.

– Ale czemu miałby się przebrać za brzydką kobietę? – pytam. Całkiem poważnie.

– Może jest brzydkim facetem i nie miał wyboru.

– To ma sens.

Patrzę, jak Madison bierze kolejnego sztacha. Widzi, że się na nią gapię, więc z uśmiechem gramoli się na moje kolana, a potem oblizuje usta. Skoro ma taki długi i ostry koniuszek języka, to pewnie wśród jej przodków były jakieś

iguany. Pochyliła się do mnie, a jej *chichis* falują ledwie kilkanaście centymetrów od mojej twarzy.

– Nick ma najlepszy towar – grucha, odchylając się do tyłu i przeciągając na moich kolanach jak kot na dywanie. Nie trzeba dodawać, że to ja jestem tym dywanem. Kręci biodrami, dosiada mnie, obejmuje rękami za szyję. Powieki opuściła do połowy.

– Jesteś sexy.

– Ty też.

– Dobrana z nas para.

Wodzi palcem po mojej brodzie i pochyla się do mnie. Języczek iguany wysuwa się spomiędzy warg, a ciało Madison zaczyna ocierać się o moje. Liże mnie po policzku, czego dotąd, muszę przyznać, żadna dziewczyna nie robiła. Ale prawdę mówiąc, nie za bardzo mam na to ochotę.

Zaczynamy się obściskować na oczach pozostałych. Madison chyba lubi być w świetle

reflektorów, bo kiedy jedna z dziewczyn mówi do któregoś koleś, żeby przestał się gapić, przechyla się w tył i zaczyna ściągać bluzeczkę jak striptizerka w klubie, kołysząc przy tym biodrami na moich kolanach. Chce, żeby wszyscy faceci ślinili się na jej widok, a dziewczyny pękały z zazdrości.

Ta laska jest niezłą ekshibicjonistką, ale kiedy odwracam głowę w bok i widzę, że Nick obściskuje się z Lacey, która też zdjęła koszulkę, zaczynam się zastanawiać, czy publiczne demonstrowanie swoich seksualnych umiejętności nie jest tu przypadkiem ogólnie przyjętym zwyczajem.

To nie w moim stylu.

– Chodźmy w jakieś ustronne miejsce – mówię, kiedy Madison sięga ręką do moich spodni, żeby mnie poczuć przez dżinsy.

Wydyma usta, ale po chwili schodzi mi z kolan i wyciąga rękę.

– No dobra.

Wydarzenia toczą się zdecydowanie za szybko. Wolałbym ochłonać. Przypominam sobie niejasno, co mówił Ram o Madison, ale ciągnie mnie za rękę i muszę wstać.

– Dobrej zabawy – woła za nami Nick.

Po dwóch minutach wchodzimy do ogromnego pokoju. Przy ścianie stoi łoże jak dla króla.

– To twój pokój? – pytam.

Madison kręci przecząco głową.

– To sypialnia rodziców, ale ich nigdy nie ma w domu. Teraz są w Phoenix.

Wyczuwam w jej głosie szczyptę goryczy i jestem pewien, że obściskuje się w ich łóżku, żeby się odegrać.

Mam jej powiedzieć, że wolę to robić na podłodze niż w łóżku jej rodziców?

– Chodźmy do twojego pokoju – mówię.

Kręci głową i ciągnie mnie w stronę łóżka.

– Co Ram ci o mnie mówił? – pyta.

– Ciężko mi się teraz myśli. Jestem taki

napalony jak ty.

– Spróbuj sobie przypomnieć. Wspominał, że zerwaliśmy? Bo jeśli tak, to nie była tylko moja wina. No bo wcale nie wiedziałam tego, co on wie, i nie wiedziałam, co robię. A gdybym nawet wiedziała, to nie dlatego, że wiedziałam, co on wie. Wcale tak nie było, że jego matka by się dowiedziała i kazała wszystkich wsadzić do aresztu.

Głowa mnie boli od tej paplaniny.

– Okej – mówię. Kompletnie nie wiem, o co jej chodzi, ale „okej” pasuje do wszystkiego. Mam nadzieję.

– Naprawdę? – mówi z uśmiechem.

Co? Nie mam pieprzonego pojęcia, o czym gadam. Ani o czym ona gada.

Ściska mnie mocno, a jej *chichis* przywierają do mojej piersi. Są takie zduszone, że mogę tylko mieć nadzieję, że nie wybuchną.

Wyobrażam sobie wybuchające *chichis* i odpływam. Moje myśli wędrują do Kiary.

Ciekawe, co chowa pod tymi ogromnymi koszulkami. Przychodzi mi do głowy że to, co Kiara ukrywa, jest bardziej seksowne niż walory, które Madison dzień w dzień wystawia na wierzch.

Zaciskam mocno oczy. Co ja sobie myślę? Kiara nie jest seksowna. Wkurzająca, i tyle. Stawia mi gorsze wyzwania niż własna rodzina.

– Mówiłem ci, co Kiara zrobiła z moją szafką?
– pytam.

Popycha mnie na łóżko.

– Mam gdzieś Kiarę. Nie gadaj o innej dziewczynie, jak jesteś tu ze mną. – Ma rację. Muszę przestać gadać o Kiarze. Lubię, jak coś mi łatwo przychodzi, a Kiara nie należy do takich dziewczyn. Tylko Madison.

Po chwili leżymy napaleni na łóżku jej rodziców. Madison siedzi na mnie okrakiem, czuję jej włosy na twarzy. Zdaje mi się, że mam je nawet w ustach, kiedy się całujemy, ale jej to chyba nie przeszkadza. Mnie tak.

Wygina się do tyłu.

– Chcesz to zrobić? – mamrocze niewyraźnie.

Pewnie, że chcę. Ale kiedy patrzę w bok, natrafiam wzrokiem na zdjęcie jej rodziców. Uśmiechają się do mnie z nocnego stolika. I nagle do mnie dociera. Przyczepiła się do mnie tylko z jednego powodu – nie dla mnie samego, ale dlatego że jestem naćpanym draniem, czyli przeciwieństwem chłopaka, z którym chcieliby ją widzieć rodzice.

Ale powiedzieć sobie, że jest się draniem, a zachowywać się jak drań to dwie różne rzeczy.

– Muszę spadać – mówię do niej.

– Poczekaj. No nie. Źle się czuję. Zaraz się porzygam.

Wstaje i biegnie do łazienki. Sekundę później w pokoju słysząc odgłosy odkrztuszania i rzygania.

Pukam do drzwi.

– Pomóc ci?

– Nie.

– Otwórz drzwi, Madison.

– Nie. Idź po Lacey.

Spełniam jej polecenie. Po chwili do pokoju wpada Lacey z bandą innych dziewczyn. Stoję w drzwiach i dziwię się, że traktują Madison, jakby była naprawdę chora, a przecież rzyga od piwa i dragów.

Stoję tak dwadzieścia minut, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Jestem pewien, że dziewczyny zadbają o wszystkie potrzeby Madison, i czuję, że mam dość tej imprezy.

Na dworze wyjmuję z kieszeni kluczyki Brittany na łańcuszku z różowych serduszek. Odpalam silnik i ruszam, ale kiedy podnoszę głowę, linie rozmazują się na drodze. Nie dam rady. Jestem zbyt naćpany i zbyt pijany, a właściwie jedno i drugie.

Cholera. Mam dwie opcje. Wrócić do domu Madison i gdzieś się uwalić albo spać w samochodzie.

Prosty wybór.

Opuszczam fotel i zamykam oczy. Mam nadzieję, że jutro dojdę do tego, co się właściwie stało.

Ale jasno. Za jasno. Unoszę powieki i poranne słońce bije mnie po oczach. Jestem wciąż w samochodzie Brittany. Z opuszczonym dachem. Wracam do mieszkania Aleksa. Brat siedzi przy stole z kubkiem kawy w dłoniach.

Wstaje, kiedy rzucam na stół kluczyki Brittany.

– Powiedziałeś, że wrócisz za kilka godzin. Wiesz, że jest dziewiąta? *De la mañana.*

Rozcieram pięściami oczy.

– Proszę, Alex – jęczę. – Możesz poczekać z tymi krzykami, aż się wyśpię?

– Nie mam zamiaru na ciebie krzyczeć. Po prostu nigdy więcej nie pozwolę ci prowadzić samochodu Brittany.

– Dobra.

Dmuchany materac jest rozłożony. Opadam na niego i zamykam oczy.

Alex wyciąga mi poduszkę spod głowy.

– Jesteś na haju?

– Już nie, niestety. – Wyrywam mu poduszkę.

Brat siada na łóżku i ciężko wzdycha. Powinien popalić trawkę, żeby się odprężyć. Daję słowo, że czuję, jak jego oczy przewiercają mi czaszkę niczym lasery.

– Czego chcesz? – mamrocze w poduszkę.

– Obchodzi cię tylko czubek twojego pierdolonego nosa?

– Na ogół.

– Nie wiedziałeś, że będę się o ciebie martwić?

– Nie. Ani razu nie przyszło mi to do głowy.

Na szczęście, pukanie do drzwi ratuje mnie przed kolejnymi pytaniami.

– Hej, *chica* – mówi Alex.

Niech zgadnę – to Brittany.

– Carlos zapomniał podnieść dach – informuje Aleksa. – A zaczęło padać. Zostawił twój telefon

na fotelu. Mam nadzieję, że się nie zepsuł.

Jeśli kiedyś się pobiorą, to już mi żal ich dzieciaków. Mam nadzieję, że te *niños* nigdy niczego nie spieprzą, bo Brittany i Alex patrzą na mnie tak, jakby chcieli wlepić mi areszt domowy do końca życia.

Tym gorzej dla nich, że nie są moimi rodzicami.

agneses.com

10. Kiara

W poniedziałek po szkole rozchodzą się plotki o imprezie u Madison Stone. Większość z nich krąży wokół niej i Carlosa bzykających się w łóżku rodziców.

We wtorek i środę Madison siedzi z Carlosem przy jednym stoliku w stołówce.

W czwartek Carlos nie przychodzi na lunch. Ani Madison. Szczęśliwa para musiała się gdzieś razem urwać.

W piątek rano Carlos stoi przy szafce. W środku wciąż są ciasteczka.

– Hej – mówi.

– Hej – odpowiadam.

Wprowadzam kod, ale szafka się nie otwiera.

Próbuję ponownie. Wiem, że nie pomyliłam cyfr, ale kiedy pociągam za drzwiczki, ani drgną.

Próbuję kolejny raz.

Carlos patrzy mi przez ramię.

– Masz jakiś problem?

– Nie.

Próbuję znowu. Tym razem ciągnę mocniej i szarpnię. Znowu bezskutecznie.

Bębni palcami po metalu.

– Może pomyliłaś kod.

– Znam kod – mówię. – Nie jestem głupia.

– Na pewno? Bo coś się denerwujesz.

Moje myśli wędrują do plotek o nim i Madison. Nie wiem, dlaczego, ale fakt, że z nią kręci, wkurza mnie jak wszyscy diabli.

– Idź sobie.

Wzrusza ramionami.

– Jak chcesz. – Rozlega się pierwszy dzwonek.

– No dobra, powodzenia. Jeśli o mnie chodzi, to wygląda to tak, jakby ktoś zmienił kod. – Bierze książki z szafki i rusza korytarzem.

Biegnę za nimi i chwytam go za ramię.

– Co zrobiłeś z moją szafką?

Staje jak wryty.

– Może zmieniłem kombinację?

– Jak?

Wybuchła śmiechem.

– Jeśli ci powiem, będę musiał cię zabić.

– Bardzo śmieszne. Podaj mi nowy kod.

– Udzielę ci tej informacji... – dotyka swojego nosa czubkiem wskazującego palca – kiedy ostatnie ciasteczko zniknie z mojej szafki. I okruchy też. Nara – mówi i znika w klasie, a ja zostaję sama na korytarzu i myślę, jak mam to zrobić... I planuję kolejny krok.

Na angielskim pan Furie oddaje nasze eseje. Wywołuje każdego po imieniu i musimy podchodzić do biurka.

– Kiara.

Idę odebrać pracę. Pan Furie oddaje mi ją bez uśmiechu.

– Stać cię na znacznie więcej, Kiaro. Jestem pewien. Następnym razem lepiej przemyśl temat, zamiast dawać takie odpowiedzi, jakich według ciebie się spodziewam.

Wracając do biurka, mijam Madison.

– Jak tam Carlos? – pyta.

– Dobrze.

– Lituje się nad tobą. Tylko dlatego zwraca na ciebie uwagę. To trochę smutne.

Ignoruję ją i siadam w ławce. Na pierwszej stronie wypracowania widnieje duże, czerwone C. Niedobrze, tym bardziej że chcę się ubiegać o stypendium akademickie.

– Macie piętnaście minut na napisanie krótkiej rozprawki – mówi pan Furie.

– Ale o czym? – pyta Nick Glass.

– Temat brzmi... – Pan Furie zawiesza głos, aby podnieść napięcie i przykuć uwagę wszystkich uczniów, po czym mówi: – Czy osoby występujące w reality show powinny być uważane za celebrytów?

Po klasie przechodzi pomruk.

– Obniżcie poziom hałasu do minimum, ludzie.

– Jak mamy napisać rozprawkę bez przejrzenia źródeł? – pyta ktoś z końca klasy.

– Interesują mnie wasze przemyślenia, a nie źródła. Kiedy rozmawiacie z przyjacielem i chcecie go nakłonić, żeby coś zrobił, albo przekonać do własnego zdania, to nie mówicie: „Poczekaj, muszę sprawdzić źródła i statystykę”. Wymyślacie argumenty samodzielnie. I to właśnie macie teraz zrobić.

Pan Furie chodzi po klasie, kiedy piszemy.

– Jeśli chcecie poprawić ocenę, możecie przeczytać rozprawkę całej klasie.

Cieszę się z tego. Muszę poprawić ocenę i wiem, że dam radę przeczytać wypracowanie bez jąkania. Po prostu wiem, że potrafię.

– Odkładamy długopisy – poleca pan Furie po piętnastu minutach i klaszcze w ręce. – Ktoś chce przeczytać na ochotnika?

Podnoszę wysoko rękę.

– Proszę, Kiara, wyjdź na środek i podziel się swoimi przemyśleniami.

– O nie. Tylko nie to – słyszę jęczenie Madison. Lacey i inne dziewczyny z paczki głośno się

śmieją.

– Masz jakiś problem, Madison?

– Nie, proszę pana. Właśnie złamałam paznokiec! – Przebiera w powietrzu pomalowanymi paznokciami.

– Paznokciem zajmij się, proszę, po lekcji. Chodź, Kiara.

Biorę wypracowanie i idę na środek. Powtarzam sobie, że muszę głęboko oddychać i myśleć o słowach, zanim je wypowiem. Kiedy stoję przed wszystkimi, spoglądam na nauczyciela. Uśmiecha się ciepło.

– Proszę bardzo.

Chrząkam i przelękam, ale czuję, że język mi kołowacieje. Wszystko przez Madison. Wytrąciła mnie z równowagi, ale dam sobie radę. Nie pozwolę, żeby miała nade mną władzę. Odpręż się. Myśl o słowach. Nie zapominaj o oddechu.

– M-m-m-yśle... – Wbijam wzrok w kartkę. Czuję ich spojrzenia. Niektórzy pewnie patrzą z litością. Inni, jak Madison i Lacey, mają niezły

ubaw. – M-m-m-yślę, że osoby w-w-w-występujące w r-r-r-eality show...

Jedna z dziewczyn wybuchła dzikim śmiechem. Nie muszą podnosić oczu, żeby wiedzieć która.

– Madison, to nie jest zabawne. Więcej szacunku dla koleżanki – odzywa się pan Furie i dodaje: – To nie jest prośba, tylko polecenie.

Madison zasłania usta dłońmi.

– Już jestem grzeczna – mówi przez palce.

– Tym lepiej dla ciebie – upomina pan Furie surowym tonem. – Proszę, Kiara, czytaj dalej.

Okej. Dam radę. Jeśli w rozmowie z Tuckiem się nie jąkam, to może powinnam udawać, że rozmawiam z Tuckiem. Podnoszę wzrok na najlepszego przyjaciela. Machnięciem dłoni dodaje mi odwagi.

– ...osoby występujące w reality show są celebrytami... – robię przerwę, biorę głęboki oddech i kontynuuję. Dam radę. Dam radę. – ...ponieważ pozwalamy, by m-m-m-media...

Rozlega się kolejny wybuch śmiechu, tym razem Lacey i Madison.

– Panno Stone i panno Goebbert! – Pan Furie wskazuje na drzwi. – Proszę opuścić klasę.

– Nie mówi pan poważnie – kłóci się Madison.

– Zupełnie poważnie. Macie areszt po lekcjach przez trzy dni, począwszy od dziś.

– Niech pan tego nie robi – mówię szeptem do pana Furie, mając nadzieję, że nikt mnie nie słyszy. – Proszę tego nie robić.

Madison jest wyraźnie oburzona.

– Daje nam pan karę za to, że się śmiałyśmy? No nie. To niesprawiedliwe, proszę pana.

– Poskarż się dyrektorowi, jeśli nie podoba ci się kara.

Pan Furie otwiera szufladę biurka i wyciąga dwa formularze. Wypełnia je i pokazuje Madison i Lacey, że mają podejść. Obie rzucają mi spojrzenia pełne złości. O nie, niedobrze. Teraz będę celem Madison. Nie wiem, czy jest jakiś sposób, żeby mnie nie trafiła.

Nauczyciel podaje im formularze. Madison wciska swój do torby.

– Nie mogę zostać po lekcjach, bo muszę pomagać mamie w butik.

– Mogłaś o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś przeszkadzać. A teraz macie obie przeprosić Kiarę – poleca im nauczyciel.

– Nie ma sprawy – mamroczę. – N-n-n-nie m-m-m-usicie.

– Ależ chcemy. P-p-p-przepraszamy – mówi Madison i od razu obie zaczynają chichotać. Nawet gdy znikają za drzwiami, wciąż słyszę ich śmiech dobiegający z korytarza.

– Przepraszam za ich niewłaściwe zachowanie, Kiaro – mówi pan Furie. – Czy chcesz przeczytać wypracowanie?

Kręcę przecząco głową, a nauczyciel wzdycha, ale mnie nie namawia. Wracam do ławki. Niecierpliwie czekam na dzwonek, żeby zaszyć się w damskiej toalecie. Jestem wściekła na siebie, że pozwoliłam, żeby ich zachowanie mnie

dotknęło.

Do końca lekcji zostało dwadzieścia pięć minut. Pan Furie prosi innych uczniów o przeczytanie rozprawki. Wciąż patrzę na zegarek i modłę się, żeby czas szybciej minął. Z trudem powstrzymuję łzy – mogą popłynąć w każdej chwili.

Gdy tylko rozlega się dzwonek, zbieram książki i wypadam jak burza z klasy. Pan Furie mnie woła, ale udaję, że nie słyszę.

– Kiara! – Tuck łapie mnie za łokieć i obraca.

Głupia łza spływa mi po policzku.

– Chcę być sama – wyduszam z trudem i biegnę korytarzem.

Na końcu znajdują się schody, które prowadzą do zapasowej szatni, używanej w czasie turniejów przez drużyny spoza szkoły. W normalne dni nikt z niej nie korzysta. Sama myśl, że ukryję się w miejscu, gdzie nie będę musiała chodzić z przyklepionym uśmiechem, wydaje mi się wybawieniem. Wiem, że spóźnię

się do świetlicy, ale pani Hadden zazwyczaj nie sprawdza obecności, a nawet jeśli, to mam to gdzieś. Nie chcę, żeby inni mnie widzieli w rozsypce.

Popycham drzwi szatni i opadam na ławkę. Wyparowuje ze mnie cała energia, która pozwoliła mi przetrwać drugą połowę angielskiego. Chciałabym być silniejsza i nie przejmować się tym, co myślą inni ludzie, ale nie potrafię. Nie jestem taka silna jak Tuck. Nie jestem taka silna jak Madison.

Żałuję, że nie potrafię po prostu być sobą, Kiarą Westford, która ma problem z jękaniami i z innymi rzeczami.

Po piętnastu minutach podchodzę do umywalki i patrzę na swoje odbicie w lustrze. Widać, że płakałam. Ale można to wziąć za silne przeziębienie. Zwilżam papierowe ręczniki i dżgam nimi oczy, licząc, że opuchlizna trochę zejdzie. Po kilku minutach tych zabiegów wyglądam znośnie. Nikt się nie domyśli, że

przed chwilą płakałam. Mam nadzieję.

Drzwi do szatni nagle się otwierają.
Podskakuję przestraszona.

– Jest tu kto? – woła jeden z woźnych.

– Tak.

– Lepiej idź do klasy, bo jest nalot policji.
Szukają narkotyków.

agnieszka

11. Carlos

Na bioli Shevelenko kończy wykład o genach dominujących i recesywnych. Kazala nam narysować kwadraty i poleca, żebyśmy określili różne wersje koloru oczu u potomstwa ludzi.

– Przychodzi dziś do mnie kilku kumpli – mówi Ram w czasie pracy. – Chcesz wpaść?

Chociaż Ram należy do bogatych dzieciaków, jest całkiem fajny. W zeszłym tygodniu pożyczył mi notatki z pierwszych dwóch tygodni, a jego historyjki z zimowej wyprawy na narty są naprawdę zabawne.

– *¿A qué hora?* – pytam.

– Koło szóstej. – Odrywa kawałek papieru z zeszytu i coś gryzmoli. – To mój adres.

– Nie mam auta. To daleko?

Odwraca kartkę i podaje mi swój długopis.

– Nie ma problemu, podjadę po ciebie. Gdzie mieszkasz?

Kiedy piszę adres Aleksa, Shevelenko podchodzi do naszego stołu.

– Carlos, czy dostałeś notatki od Ramiro?

– Tak.

– To dobrze, bo w przyszłym tygodniu jest sprawdzian.

Gdy rozdaje karty pracy, z głośnika dobiega pięć piknięć.

Wszyscy wstrzymują oddech.

– Co to? – pytam.

Ram wydaje się przestraszony.

– Jasna cholera, stary. Mamy nalot.

– Co to znaczy?

– Jeśli to jakiś świrus z karabinem, to robię wypad przez okno – mówi uczeń, któremu na imię John. – Kto ze mną?

Ram przewraca oczami.

– To nie jest żaden świrus, chłopie. Wtedy byłyby trzy długie sygnały zamiast pięciu krótkich. To nalot narkotykowy. Chyba nie rutynowy, bo nic o nim nie słyszałem.

John wydaje się rozbawiony.

– Zadzwoń do mamusi, Ram. Spytaj, czy wie, co jest grane.

Alarm narkotykowy? Mam nadzieję, że Nick Glass nie przynosi swojego pigułkowego zestawu pu-pu do szkoły. Zerkam na Madison, która się spóźniła na lekcję. Wyjmuje telefon z torebki i pisze esemesa pod stołem.

– Uspokójcie się – mówi Shevelenko. – Większość z was już to zna. A gdybyście się nie domyślili, to mamy nalot policyjny. Nikomu nie wolno opuszczać budynku szkoły.

Madison podnosi rękę.

– A mogę iść do toalety?

– Przykro mi, ale nie, Madison.

– Ale ja muszę! Obiecuję, że się pośpieszę.

– W czasie nalotu nie wolno kręcić się po korytarzach. – Shevelenko spogląda na komputer. – Pouczcie się w tym czasie na sprawdzian.

Po piętnastu minutach do drzwi klasy puka

gliniarz.

– Kogo wsadzą do paki? Jak myślicie? – szepcze Frank, gdy nauczycielka rozmawia z policjantem na zewnątrz.

Ram podnosi rękę.

– Nie patrz na mnie, stary. Nie ryzykowałbym, że mnie wykopną z drużyny piłkarskiej. Poza tym mama sama kazałaby mnie aresztować, gdyby się dowiedziała, że biorę to gówno.

Shevelenko wraca do klasy.

– Carlos Fuentes – mówi głośno i wyraźnie.

¡Carajo! Dlaczego ja?

– Tak?

– Chodź tutaj.

– Chłopie, wsadzą cię do paki – mówi Frank.

Podchodzę do Shevelenko. Gdy mówi, widzę tylko poruszający się w górę i w dół wąsik.

– Ktoś chce z tobą porozmawiać. Pójdiesz ze mną.

Wszyscy w klasie wiedzą, dlaczego zostałem wywołany. Rzecz w tym, że nie mam

narkotyków ani w kieszeniach, ani w szafce. Może dowiedzieli się, że przyjechałem z Meksyku i chcą mnie deportować, ale to też nie ma sensu, bo urodziłem się w Illinois i jestem obywatelem amerykańskim.

Na korytarzu podchodzi do mnie dwóch policjantów.

– Nazywasz się Carlos Fuentes? – pyta jeden z nich.

– Tak.

– Możesz nam pokazać, gdzie jest twoja szafka?

Moja szafka? Wzruszam ramionami.

– Jasne.

Idę do szafki, a *policía* tuż za mną, tak blisko, że czuję ich oddechy na karku. Skręcam w główny korytarz. Przy mojej szafce ujada policyjny pies. Co to, do diabła, ma być?

Policjant każe psu usiąść.

Przy szafce stoi pan House.

– Carlos, czy to twoja szafka? – pyta mnie.

– Tak.

Po dramatycznej pauzie mówi:

– Zadam to pytanie tylko raz. Czy schowałeś w niej narkotyki?

– Nie.

– To nie masz nic przeciwko temu, żeby ją otworzyć, prawda?

– Oczywiście. – Wprowadzam kod i otwieram drzwi.

– Co to ma być? – pyta jeden z policjantów, wskazując na magnetyczne ciasteczka Kiary. Podchodzi bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć, a pies szaleje. Gliniarz dotyka jednego z ciasteczek.

– To ciastka – mówi zdziwiony.

– Wasz pies jest chyba głodny – zauważam.

Drugi gliniarz mrozi mnie wzrokiem.

– Nie odzywaj się. Pewnie są z narkotykami i je sprzedajesz.

Ciasteczka z narkotykami? Robi ze mnie głupka? To popierdolone magnetyczne ciasteczka. Zaczynam się śmiać.

– Myślisz, że to zabawne, śmieciu?

Chrząkam i staram się zachować powagę.

– Nie, proszę pana.

– Sam zrobiłeś te ciasteczka?

– Tak, proszę pana – kłamię, bo nie ich sprawa, kto je upiekł. – Ale lepiej ich nie odczepiajcie.

– Czemu nie? Boisz się, że znajdziemy to, co w nich jest?

Kręcę głową.

– Nie. Uwierzcie mi. Nie ma w nich narkotyków.

– No to pięknie – mówi gliniarz.

Nie zważając na moje słowa, dyrektor próbuje oderwać magnetyczne ciasteczko. Rozkrusza mu się w palcach. Zaczynam kasłać, żeby pokryć śmiech, bo mam ubaw, kiedy trzyma w ręku brązowe okruchy i je obwąchuje. Zastanawiam się, co pomyślałaby Kiara, gdyby wiedziała, że jej ciasteczka są przedmiotem dochodzenia.

Jeden z gliniarzy rozkrusza kolejne ciasteczko i bierze mały kawałek do ust, żeby sprawdzić,

czy nie ma nielegalnych substancji. Wzrusza ramionami.

– Nic w nich nie czuję. – Podsuwa okruchy pod nos psa. Zwierzę siedzi spokojnie. – Ciastka są czyste – mówi. – Ale coś musi być w tej szafce. Wyjmij wszystko – rozkazuje i zakłada ręce na piersi.

Wyjmuję z górnej półki kilka książek i odkładam je na podłogę. Potem wykładam książki z dołu. Kiedy wyciągam plecak, pies znowu zaczyna wariować.

Musi być kompletnie świrnięty. Gdybyśmy patrzyli na niego przez dłuższy czas, to pewnie zamieniłby się w potwora.

– Wylóż zawartość plecaka na podłogę – mówi House.

– Niech pan posłucha – zwracam się do dyrektora. – Nie mam pojęcia, co ten pies chce od mojego plecaka. Nie ma w nim narkotyków. To jakiś zaburzony kundel.

– Pies nie ma żadnego problemu, synu –

warczy policjant trzymający zwierzę.

Rośnie mi gula, kiedy facet nazywa mnie „synem”. Mam ochotę go walnąć, ale trzyma psa psychopatę i może go na mnie poszczuć. Choć uważam się za twardziela, to wiem, że wyszkolony pies szybko by mnie rozmiękczył.

Wyjmuję po kolei rzeczy z plecaka. Układam je jak pod sznurek.

Ołówek.

Dwa długopisy.

Zeszyt.

Podręcznik do hiszpańskiego.

Puszka coli.

Pies znowu zaczyna ujadać. Zaraz, nie wkładałem do plecaka puszek coli. Dyrektor podnosi puszkę, zaczyna ją otwierać i... o, jasna cholera. To nie puszka coli. Tylko fałszywka z...

Torebką trawy. Dużą torebką. I...

I drugą dużą torebką z białymi i niebieskimi pigułkami.

– To nie moje – mówię.

– A czyje? – pyta dyrektor. – Podaj nazwiska.

Jestem pewien, że Nicka, ale nie będę na niego kapował. Jeśli czegoś się nauczyłem w Meksyku, to tego, żeby trzymać buzię na kłódkę. Zawsze. I chociaż mam Nicka głęboko, dam się wsadzić do paki, czy mi się to podoba, czy nie.

– Nie znam żadnych nazwisk. Mieszkam tu od tygodnia. Dajcie żyć.

– Nie damy ci żyć. Narkotyki na terenie szkoły to poważne przestępstwo – mówi jeden z policjantów, zerkając na moje tatuaże. Bierze woreczki z rąk dyrektora i otwiera ten z pigułkami. – To oxycontin. A to – dodaje, otwierając torebkę z trawą – wystarczająca ilość marihuany, żebyśmy mieli pewność, że nie tylko ją palisz, ale sprzedajesz.

– Rozumiesz, co to znaczy, Carlos? – pyta dyrektor.

Tak, rozumiem. To znaczy, że Alex mnie zabije.

12. Kiara

Kiedy dociera do mnie, że Carlos został aresztowany, natychmiast odruchowo dzwonię do taty. Powiedział, że skontaktuje się z Aleksem, dowie się, o co chodzi i gdzie zabrali Carlosa.

Gdy wracam do domu, mama mówi od progu:

– Ojciec powiedział, że zaraz będzie w domu.

Powie nam, czego się dowiedział o Carlosie.

– To wiesz, co się stało?

Przytakuje.

– Alex powiedział tacie, że Carlos cały czas powtarza, że narkotyki nie są jego.

– Alex mu wierzy?

Mama wzdycha. Wiem, że chciałyby mi przekazać lepsze wieści.

– Jest sceptyczny.

Tata wraca do domu. Włosy ma takie potargane, jakby zbyt wiele razy przeczesywał je dziś palcami.

– Zwołuję rodzinną naradę – mówi.

Kiedy wszyscy przychodzą do salonu, tata chrząka.

– Co byście powiedzieli na to, gdyby Carlos zamieszkał tu do końca roku szkolnego?

– Kto to jest Carlos? – pyta Brandon zdezorientowany.

– Jego brat był moim studentem. I jest znajomym Kiary. – Tata patrzy to na mnie, to na mamę. – Okazuje się, że mieszka w akademiku dotowanym przez państwo. Ponieważ Carlos nie jest studentem uniwersytetu, sędzia powiedział, że nie może tam mieszkać, bo to wbrew przepisom.

– Będę miał brata? Super! – woła Brandon. – Może spać w moim pokoju? Możecie nam kupić piętrowe łóżko.

– Nie ekscytuj się tak bardzo, Bran. Zamieszka w żółtym pokoju – mówi tata.

– Jak Carlos się trzyma? – pyta mama.

– Nie wiem. Myślę, że w gruncie rzeczy jest

dobrym dzieciakiem, który odżyje w pozytywnym i wolnym od narkotyków środowisku domowym. Chciałbym mu pomóc, jeśli się na to zgodzicie. Ma do wyboru albo tu zamieszkać, albo wracać do Meksyku. Alex powiedział, że zrobiłby wszystko, żeby go tu zatrzymać.

– Jeśli o mnie chodzi, może u nas mieszkać – mówię i uświadamiam sobie, że robię to szczerze. Każdy zasługuje na drugą szansę.

Tata patrzy na mamę, a ona przyciąga do siebie jego głowę.

– Mój mąż ma zamiar zbawić świat po jednym dziecku naraz, tak?

Uśmiecha się do niej.

– Jeśli to konieczne.

Całuje go.

– Przygotuję czystą pościel w gościnnym pokoju.

– Ożeniłem się z najlepszą kobietą na świecie – mówi do niej tata. – Zadzwońię do Aleksa i

powiem mu, że sprawa załatwiona – dodaje podekscytowany. – W poniedziałek znowu spotykamy się z sędzią. Chcemy go przekonać, żeby wciągnął Carlosa do programu REACH i nie relegował go ze szkoły.

Odprowadzam tatę wzrokiem, gdy wychodzi z salonu i idzie do swojego gabinetu.

– Ma misję – mówi mama. – Zawsze widzę ten błysk w oku, kiedy podejmuje nowe wyzwanie.

Mam tylko nadzieję, że ta iskra nie zgaśnie, bo wydaje mi się, że cierpliwość mojego taty – której ma chyba tyle co święty – zostanie wystawiona na trudną próbę.

13. Carlos

Wyślij mnie do Chicago i będziesz miał spokój – mówię do Aleksa w niedzielę rano po rozmowie przez telefon z *mi'amá*. Alex mnie zmusił, żebym jej powiedział, co jest grane.

Kiedy policja wyprowadziła mnie w kajdankach ze szkoły, wcale mnie to nie ruszyło. Nawet gdy Alex przyjechał na posterunek, wyraźnie zmartwiony i rozczarowany, też się trzymałem. Ale rozmowa z mamą, słuchanie jej płaczu i pytań, co się stało z jej *niñito*, było już ponad moje siły.

Powiedziała mi też, że nie powinienem wracać do Meksyku.

– Nie będziesz tu bezpieczny – przekonywała mnie. – *Auséntese*, Carlos, trzymaj się daleko stąd.

Wcale mnie to nie zdziwiło. Przez całe życie ktoś mnie zostawia albo mówi mi, że mam się

trzymać z dala od niego – *mi papá*, Alex, a teraz *mi'amá*.

Alex leży na łóżku i zasłania oczy ramieniem.

– Nie wrócisz do Chicago. Profesor Westford i jego żona pozwolili ci zamieszkać u nich. To już postanowione.

Czyli będę mieszkał w tym samym domu co Kiara. Niedobrze, i to z wielu powodów.

– Nie mam nic do gadania?

– Nie.

– *¡Vete a la mierda!*

– Tak, sam wdepnąłeś w to gówno – mówi brat.

– Mówiłem ci, że to nie są moje dragi.

Siada na łóżku.

– Carlos, odkąd tu przyjechałeś, gadasz tylko o dragach. Znaleźli *chora* w twojej szafce i pigułek od groma. Nawet jeśli nie były twoje, to zrobiłeś z siebie kozła ofiarnego.

– To pieprzone bzdety.

Idę wziąć prysznic. Gdy wychodzę pół godziny

później, w pokoju przy stole siedzi Brittany. Ma na sobie jaskraworóżowy welurowy kombinezon, który opina jej kształty. Daję słowo, że ta *chica* powinna tu zamieszkać... Ciągle jej pełno.

Podchodzę do łóżka i nagle żałuję, że to tylko kawalerka. Jestem wkurzony jak wszyscy diabli i spragniony zemsty. Nie spocznę, dopóki się nie dowiem, kto wetknął narkotyki do mojej szafki. Zapłaci mi za to.

– Mam nadzieję, że cię nie relegują – mówi Brittany smutnym głosem. – Wiem, że Alex i profesor Westford zrobią wszystko, co mogą, żeby ci pomóc.

– Niepotrzebnie się dołujesz – odpowiadam. – Przecież się wyprowadzam, więc możesz przychodzić, kiedy sobie chcesz. Lepiej dla ciebie.

– Carlos, *retroceda* – upomina ostro Alex.

Dlaczego mam to cofnąć? To prawda.

– Myśl, co chcesz, Carlos, ale chcę, żebyś był tu

szczęśliwy. – Brittany przesuwam w moją stronę nową markową komórkę. – Weź to.

– Po co? Żebyście mogli mnie kontrolować?

Kręci głową.

– Nie. Pomyślałam, że ci się przyda, żebyś mógł zadzwonić, gdybyś nas potrzebował.

Biorę telefon.

– Kto za to płaci?

– Czy to ważne? – pyta.

Mojej rodziny na pewno na to nie stać. Odwracam się plecami do Brittany i telefonu.

– Nie potrzebuję komórki – mówię. – Nie marnuj pieniędzy.

Kilka godzin później ładujemy się w trójkę do jej wozu. Powinienem był się domyślić, że Brittany nie odmówi sobie podwiezienia mnie do domu profesora. Woli się upewnić, że naprawdę mają mnie z głowy.

Alex wjeżdża w jedną z krętych uliczek prowadzących w góry. Przyglądam się dużym domom po obu jej stronach i już wiem, że

wjechaliśmy w bogatą dzielnicę miasta. Ubodzy ludzie nie stawiają znaków typu: „Przeście zabronione”, „Prywatny podjazd”, „Własność prywatna”, „Teren monitorowany”. Nie mam co do tego wątpliwości, bo całe życie jestem biedny, a jedyna znana mi osoba, która postawiła taki znak, to mój przyjaciel Pedro, który ukradł go z podwórka bogatego gościa.

Skrećamy na wyłożony brukiem podjazd, który prowadzi do piętrowego domu, dosłownie przylepionego do skały. Prostuję się i rozglądam po okolicy. Nigdy nie mieszkałem w takim miejscu, gdzie nie da się rzucić kamieniem w okno sąsiada.

Powinienem się cieszyć, że mam okazję pomieszkać w takim wypasionym domu, ale to mi tylko przypomina, że tu nie należę. Nie jestem idiotą. Wiem, że gdy tylko stąd odejdę, to znowu będę taki biedny jak zawsze – albo trafię do pudła. To miejsce mnie drażni i nie mogę się doczekać, kiedy, do diabła, się stąd wyrwę.

Alex parkuje i w tej samej sekundzie z domu wychodzi pan Westford. Jest wysoki, ma siwe włosy i mnóstwo zmarszczek wokół oczu, jakby za dużo się uśmiechał.

Nim wysiadam z samochodu, przed domem stoją już trzy osoby. Jakaś pieprzona parada białasów, jeden bielszy od drugiego.

W końcu wychodzi Kiara. Jej znajoma twarz przynosi mi ulgę, ale też wywołuje zdenerwowanie. W ciągu jednego ranka zamieniłem się z faceta, który zablokował jej szafkę, w oprycha wyprowadzonego w kajdankach i wrzuconego do aresztu. Wystarczyło kilka godzin, a moje życie zupełnie się spieprzyło.

Kiara ma jasnobrązowe włosy ściągnięte w kitkę i jest ubrana w dżinsowe szorty i wyciągniętą koszulkę w kolorze wypłowiałej zieleni. Nie wystroiła się na moje przybycie, to pewne. Na policzku i rękach ma nawet brązowe smugi od ziemi albo smaru.

Obok Kiary stoi jej brat. Chyba efekt wpadki albo spóźnionych zapędów, bo wygląda na przedszkolaka. Jest upaprany jak nieboskie stworzenie. Ma na policzkach resztki czekolady.

– To moja żona, Colleen – mówi profesor Westford, wskazując na szczupłą kobietę stojącą obok niego. – A to mój syn Brandon. Moją córkę Kiara oczywiście już znasz.

Profesor i jego żona są ubrani w podobne białe golfy. I wyobrażam sobie, jak w niedzielę grają w golfa w jakimś wytwornym wiejskim klubie. Brandon mógłby występować w filmach albo reklamówkach – jest tak wkurzająco energetyczny, że człowiek ma ochotę dać mu coś, żeby trochę oklapł.

Brittany i Alex wymieniają uściski dłoni z żoną profesora, a Kiara podchodzi do mnie.

– Jak się czujesz? – pyta tak cicho, że ledwie ją słyszę.

– Dobrze – mamrocę. Nie chcę rozmawiać o zapuszkowaniu i przejażdżce wozem policyjnym

do aresztu dla młodocianych.

Cholera, co za niezręczna sytuacja. Ten dzieciak, Brandon, ciągnie mnie za nogawkę spodni. Całe palce ma upaprane czekoladą.

– Grasz w nogę?

– Nie.

Patrzę na Aleksa, który udaje, że nie widzi, albo nie dba o to, że ten kurdupel brudzi mi spodnie.

Pani Westford uśmiecha się i odciąga ode mnie Brandona.

– Carlos, może się rozgościsz, a potem przyjdiesz do patio na lunch. Dick, idź z Carlosem na górę i pokaż mu dom.

Dick^[1]? Kręcę głową. I profesorowi nie przeszkadza, że żona mówi na niego Dick? Gdybym miał na imię Richard, to pozwalałbym mówić na siebie Richard albo Rich, ale nie... Dick. Do diabła, już bym wolał, żeby nazywali mnie Chard.

Biorę plecak.

– Chodź ze mną, Carlos – mówi Westford. – Oprowadzę cię po domu. Kiaro, może pokażesz Aleksowi i Brittany swój samochód?

Reszta ekipy rusza za Kiarą, a ja idę z profesorem Dickiem.

Wchodzimy do środka. Dom jest tak duży, jak przypuszczałem, oceniając z zewnątrz. Nie taki wielki jak rezydencja Madison, ale większy niż jakiegokolwiek miejsce, w którym wcześniej mieszkałem. Na ścianach wzdłuż korytarza wiszą duże obrazy, a nad kominkiem – fajny płaski telewizor.

– Czuj się jak w domu.

Tak, pewnie. To dla mnie taki sam dom jak rezydencja prezydenta.

– Tutaj jest kuchnia – mówi i prowadzi mnie do dużego pomieszczenia z ogromną lodówką ze stali nierdzewnej i innymi urządzeniami w tym samym stylu. Blaty są czarne, ale mają drobne jaśniejsze plamki, które wyglądają jak diamenty.

– Jeśli będziesz głodny, bierz, co chcesz, z

lodówki i spiżarni. Nie musisz pytać o zgodę.

Idę za nim na górę po schodach pokrytych wykładziną dywanową.

– Masz jakieś pytania? – dodaje.

– Ma pan plan tego domu?

Śmieje się.

– Szybko się przyzwyczaisz do jego rozkładu.

Chce się pan założyć?

Czuję, że nadciąga wielki, pulsujący ból głowy i marzę, żeby znaleźć się gdzieś, gdzie nie będę musiał udawać, że jestem nawróconym na dobrą drogę dzieciakiem mieszkającym w minirezydencji z dziewczyną, która oblepiła mu szafkę magnetycznymi ciasteczkami, i kurdupłem, który myśli, że wszyscy Meksykanie grają w nogę.

Na piętrze, na końcu długiego korytarza, jest sypialnia rodziców. Skręcamy za narożnik i Westford pokazuje jeden z pokoi.

– To pokój Kiary. Po drugiej stronie korytarza, obok sypialni Brandona, jest łazienka dzieci,

która będzie też twoja.

Zaglądam do łazienki, w której są dwie sąsiadujące ze sobą umywalki.

Otwiera drzwi obok sypialni Kiary i zaprasza mnie gestem do środka.

– To jest twój pokój.

Omiotam wzrokiem miejsce, które będzie moją sypialnią. Ściany są pomalowane na żółto, a w oknie wiszą zasłony w groszki. To cholernie dziewczynski pokój. Obawiam się, że jeśli zostanę tu dłużej, będę zmuszony pokazywać zaświadczenia, że jestem facetem. Po jednej stronie stoi biurko, obok niego szafa, po drugiej stronie komoda, a koło okna łóżko przykryte żółtym kocem.

– Wiem, że to nie wygląda jak pokój dla chłopaka. Żona urządziła go jakiś czas temu – mówi Westford przeproszającym tonem. – To miał być pokój dla jej porcelanowych lalek.

Robi sobie ze mnie bekę? Pokój dla porcelanowych lalek? Co to są, do licha,

porcelanowe lalki i dlaczego ktoś miałby chcieć cały pokój tego czegoś? Może to jakiś wynalazek dla bogatych białasów, bo nie znam żadnej meksykańskiej rodziny, która urządzałyby pokój dla cholernych lalek.

– Chyba moglibyśmy przemalować ten pokój, żeby był bardziej przyjazny dla faceta – mówi.

Zatrzymuję wzrok na zasłonkach w groszki.

– Sama farba nie wystarczy – mamroczę. – Ale nieważne, bo nie zamierzam zostawać tu zbyt długo.

– No cóż, to chyba dobry moment, żeby pomówić o domowych zasadach.

Mój tymczasowy przewodnik siada na krześle przy biurku.

– Zasadach? – Ogarnia mnie uczucie grozy.

– Nie martw się, jest ich tylko kilka. Ale wymagam, żeby każdy ich przestrzegał. Po pierwsze, żadnych narkotyków ani alkoholu. Jak już wiesz, dość łatwo można znaleźć w tym mieście marihuanę, ale z nakazu sądu masz być

czysty. Po drugie, żadnych wulgaryzmów. Mieszka tu sześciolatek, który łatwo wszystkim nasiąka, i nie chcę, żeby słyszał przekleństwa. Po trzecie, w tygodniu kładziemy się przed północą, w weekendy przed drugą. Po czwarte, musisz po sobie sprzątać i pomagać w domu, jeśli cię o to poprosimy, tak jak nasze dzieci. Po piąte, telewizja dopiero po odrobieniu lekcji. Po szóste, jeśli przyprowadzisz dziewczynę, musisz zostawić otwarte drzwi do pokoju... z oczywistych powodów. – Pociera brodę, jakby się zastanawiał, czy o niczym nie zapomniał. – To chyba wszystko. Masz jakieś pytania?

– Tak, jedno. – Wciskam dłonie do kieszeni. Ciekawe, ile czasu będzie potrzebował profesor Dick, żeby się przekonać, że nie przestrzegam zasad. Żadnych. – Co mi grozi za złamanie jednej z tych pieprzonych zasad?

14. Kiara

Nie wiem, czy ktoś z mojej rodziny to zauważył, ale Carlos patrzył na nas tak, jakbyśmy byli bandą kosmitów przysłanych na Ziemię, żeby go zniszczyć. Wcale nie jest zadowolony, że ma z nami mieszkać.

Ciekawe, co powie, kiedy go poinformują, że będzie musiał uczestniczyć po szkole w programie REACH, bo w przeciwnym razie zostanie wyrzucony. To program dla trudnych nastolatków, którzy wpakowali się w kłopoty. Mogą warunkowo chodzić do szkoły. Tata powiedział mi, że Carlos nie wie, że nie ma innej opcji niż REACH. Wolę być poza domem, kiedy razem z Aleksem mu to oznajmią.

Alex sprawdza nowe wsteczne lusterko, które założyłam. Nie może się oprzeć, więc podnosi maskę i ogląda silnik.

– Standardowy V8 – mówię do Brittanii, która

stoi obok niego.

Alex się śmieje.

– Dla mojej dziewczyny to puste słowa. Brittany nie lubi nawet jeździć po benzynę.

Brittany klepie go lekko w ramię.

– Nie żartuj sobie! Jak tylko chcę coś naprawić w aucie, to Alex zaraz przejmuje pałeczkę. No powiedz, że tak jest, Alex.

– *Mamacita*, nie obraż się, ale nie odróżniłabyś uszczelki od alternatora.

– A ty nie odróżniasz akrylu od żelu – mówi Brittany z wyższością, kładąc dłonie na biodrach.

– Czy nadal mówimy o samochodach? – pyta.

Brittany kręci głową.

– Miałam na myśli paznokcie.

– Tak mi się zdawało. Ty się zajmuj paznokciami, a ja się zajmę samochodami.

Alex unosi kącik ust i przyciąga swoją dziewczynę.

– Chodźcie na lunch – woła tata od drzwi wejściowych.

Mama macha na brata.

– Brandon, słoneczko, zaprowadź Brittany i Aleksa na patio.

Brandon pędzi na tylną werandę, a ja pomagam mamie w kuchni.

– Masz smar na policzku – mówi do mnie mama.

Wycieram policzek, ale nie jest tłusty. To nie smar, tylko czarna żywica epoksydowa.

– Rozmazałaś to. Proszę. – Podaje mi papierowy ręcznik.

– Dzięki.

Ścieram brud z policzka, myję ręce i mieszam moją popisową sałatkę z orzechami.

Idziemy na patio. Mama rozłożyła na stole serwetki w różowe kwiaty i swoje ulubione talerze w kolorowe motyle, które pasują do filiżanek. Kilka lat temu otworzyła sklep z organiczną herbatą, który się nazywa Hospitali-Tea. Jeśli ktoś mieszka w Boulder, to prawie na pewno lubi świeże powietrze i aktywny styl

życia. I prawie na pewno woli pić herbatę niż kawę.

Sklep mamy jest bardzo popularny w mieście. Pracuję tam w weekendy. Pakuję herbaty do torebek, umieszczam na stronie nowe gatunki i przyklejam ceny na ceramiczne dzbanki. Pomagam jej nawet w rachunkach, zwłaszcza wtedy, kiedy pomyli się w liczeniu i chce, żebym znalazła błąd. Jestem w rodzinie poszukiwaczem błędów, szczególnie w księgach rachunkowych.

Zanoszę sałatkę na stół. Sama ją wymyśliłam, a przepis na sos trzymam w tajemnicy, więc nawet moi rodzice nie wiedzą, jak go przyrządzić. Sałatka jest z liści szpinaku, włoskich orzechów, sera pleśniowego i suszonej żurawiny, polana... „specjalnym, tajnym sosem Kiary”, jak mówi moja mama. Wychodzę do patio i wyciągam miskę w stronę Carlosa.

Zagląda do środka.

– Co to jest?

– Sałatka.

Zagląda po raz drugi.

– Ale to nie jest sałata.

– To sz-szpinak. – Milknę, bo czuję, że język mi kołowacieje.

– Spróbuj – mówi do niego Alex.

– Nie musisz mi mówić, co mam robić – odszczekuje się Carlos.

– Carlos, mam w lodówce sałatę – wtrąca mama. – Mogę szybko zrobić tradycyjną sałatkę, jeśli chcesz.

– Nie, dzięki – bąka Carlos pod nosem.

– A ja poproszę o szpinakową sałatkę – mówi Brittany i pokazuje, żebym podała jej miskę. Nie wiem, czy naprawdę ma ochotę, ale stara się, jak może, odwrócić uwagę od Aleksa i Carlosa.

Patrzę na tatę. Wpatruje się w Carlosa. Pewnie się zastanawia, ile czasu musi minąć, żeby Carlos wyluzował i nam zaufał. Problem w tym, że nie wiem, czy Carlos w ogóle będzie w stanie zburzyć swój obronny mur, zwłaszcza teraz, kiedy został aresztowany.

– Wiem, że jesteś tutaj tylko dlatego, że wzięli pod uwagę okoliczności łagodzące – mówi mama do Carlosa, kiedy częstuje wszystkich burgerami z łososiem. – Ale bardzo się cieszymy, że możemy cię gościć i zaoferować swoją przyjaźń.

Tata dźga burgera widelcem.

– Kiara może ci pokazać Boulder w sobotę. I poznać cię ze swoimi przyjaciółmi. Prawda, kochanie?

– Jasne – mówię, ale „moi przyjaciele” to tylko Tuck. Nie należę do osób, które otaczają się tłumem. Tuck jest moim najlepszym przyjacielem, chociaż to facet. Nasza przyjaźń zaczęła się w pierwszej klasie, kiedy Heather Harte i Madison Stone wyśmiewały się ze mnie na angielskim, gdy nauczyciel poprosił o przeczytanie fragmentu *Opowieści o dwóch miastach* przed całą klasą. Nie dość, że narobiłam sobie wstydu, to jeszcze pewnie Dickens musiał przewracać się w grobie, gdy kaleczyłam niemiłosiernie jego słowa.

Przestałam czytać, gdy tylko zaczęły się śmiać, i uciekłam do domu. Nie wyszłam z pokoju, dopóki nie zjawił się Tuck i nie przekonał mnie, że powinnam zmierzyć się ze światem. W piątek na lekcji pana Furie cofnęłam się do tamtego dnia.

– Chyba mam niedopieczonego burgera. Jest różowy – mówi Carlos, wpatrując się w jedną z bułek z łososiem przygotowanych przez mamę.

– To ryba – wyjaśniam mu. – Łosoś.

– I ma ości?

Kręcę głową.

Wyjmuje bułkę z koszyka, ogląda ją, wzrusza ramionami. Chyba nie jada na co dzień pełnoziarnistego pieczywa.

– Muszę iść do pracy, ale Kiara może cię jutro podwieźć na zakupy – proponuje mama. – Wybierzesz sobie to, co lubisz.

– Lubisz sport, Carlos? – pyta Brandon.

– To zależy.

– Od czego?

– Kto gra. Ale nie oglądam tenisa i golfa, jeśli o to ci chodziło.

– Nie mówię o oglądaniu sportu. Co ty gadasz?
– mówi Brandon i śmieje się z niego. – Mówię o graniu. Mój najlepszy przyjaciel, Maks, gra w futbol, a jest w moim wieku.

– No i dobrze – kwituje Carlos i odgryza kawałek łososiowego burgera.

– A ty grasz w futbol? – pyta Brandon.

– Nie.

– A w bejsbol?

– Nie.

Brandon się rozkręcił i nie da spokoju, dopóki nie usłyszy takiej odpowiedzi, na jaką czeka.

– A w tenis?

– To by było *nada*.

– To jaki sport uprawiasz?

Carlos odkłada bułkę. O, nie. W jego oku pojawia się buntowniczy błysk.

– Horyzontalne tango.

Mama i Brittany krztuszą się jedzeniem.

– Carlos... – zaczyna ojciec ostrzegawczym tonem, którego używa w wyjątkowych sytuacjach.

– Taniec to nie sport – mówi Brandon do Carlosa, nieświadomy tego, co zbulwersowało dorosłych.

– Właśnie, że tak, kiedy ja go uprawiam – odpowiada Carlos.

Alex wstaje.

– Carlos, musimy porozmawiać. Na osobności. *Ahora* – mówi przez zaciśnięte zęby.

Alex wchodzi do domu. Nie jestem pewna, czy Carlos go posłucha. Waha się, ale po chwili słycać szuranie krzesła po płytkach werandy. Och, to zdecydowanie nie będzie miła rozmowa.

Brittany zasłania uszy rękoma.

– Powiedz mi, proszę, kiedy przestaną się kłócić.

Brandon odwraca się do taty i robi wielkie, niewinne oczy.

– Tatusiu, wiesz, jak się uprawia horyzontalne

tango?

agnesa

15. Carlos

Lubisz być takim *pendejo*? Sprawia ci to przyjemność? – pyta mój brat w kuchni, gdzie jesteśmy poza zasięgiem uszu *gringos*.

– Mhm... tak. Miałem najlepszego nauczyciela. Prawda, Alex?

Kiedy zamordowali ojca, miałem cztery lata. Alex był najstarszym facetem w domu, odkąd skończył sześć lat. Jest ode mnie tylko trochę starszy, ale oprócz niego nie było nikogo do naśladowania.

Mój brat opiera się o blat kuchenny i zakłada ręce na piersi.

– Powiem ci, jak jest: przymknęli cię za narkotyki. Mam gdzieś, czy były twoje, czy nie, bo to ty wpadłeś. Więc morda w kubel i nie rób im problemów, bo jak nie, to cię zamkną w poprawczaku i strażnicy będą śledzić każdy twój krok. Co wolisz?

– Nie mogę wrócić do Chicago? Jest tam rodzina. I mam dawnych przyjaciół.

– Nie ma takiej opcji. – Zanim odpowiem, Alex dodaje: – Nie chcę, żebyś się zadawał z tymi z Latynoskiej Krwi. Poza tym Destiny wcale na ciebie nie czeka, jeśli to o nią chodzi.

Zerwałem z Destiny, kiedy moja rodzina spakowała manatki i przeprowadziła się do Meksyku. Powiedziała, że nie ma sensu utrzymywać związku na odległość, skoro nie wiadomo, czy się jeszcze kiedyś spotkamy. Prawda jest taka, że musieliśmy wyjechać z Chicago przez Aleksa. A gdybym nie wyjechał, to nadal chodziłbym z Destiny i nie utknąłbym w pokoju z zasłonami w cholerne żółte kropeczki.

Tak to już jest w moim życiu, że każdy w końcu mnie zostawia. Od czasu Destiny nie angażuję się uczuciowo. Kiedy zaczyna mi na kimś zależeć, to mam jak w banku, że ta osoba mnie opuści, odtrąci albo umrze. Tak zawsze było i zawsze będzie.

– Zostanę tu na razie, ale pewnego dnia wrócę do Chicago, obojętnie, czy mi w tym pomożesz, czy nie. Wracaj do swojego mieszkania i nie wtrącaj się do mojego życia.

Przeciskam się obok brata i biegnę do swojego pokoju. Zamykam z trzaskiem drzwi. Ale żółta narzuta od razu mi przypomina, że to wcale nie jest mój pokój. *¡Mierda!*

Cieszę się, że Alex nie poszedł za mną. Chcę być sam i pomyśleć o tym, co się stało w piątek. Kto podrzucił narkotyki do mojej szafki? Nick? Madison, która spóźniła się na biologię? A może to sygnał od *Guerreros*, że gdziekolwiek ucieknę, to i tak będą tuż za mną?

Wpatruję się w plecak rzucony na podłogę, otwieram go i wykładam rzeczy. Właściwie wrzucam je do szuflad, bo nie ma sensu rozwieszać. Nie noszę ciuchów, które trzeba wieszać do szafy. Wyjmuję szczoteczkę do zębów i golarkę i idę do łazienki po drugiej stronie korytarza. Zakładam, że umywalka, przy

której jest stołek, należy do Brandona. Postanawiam, że będzie też moja. Nie chciałbym otworzyć szuflady i natknąć się na tampony, tusz do rzęs czy inne dziewczynskie bzdury.

Wkładam golarkę i szczotkę do pustej szuflady, tej, na której nie ma naklejki z postacią z kreskówki. Na środku dużego lustra wiszącego nad umywalkami wisi mała karteczka.

Pora prysznic w dni powszednie

Poniedziałek, środa, piątek: Kiara 6.25–6.35

Poniedziałek, środa, piątek: Carlos 6.40–6.50

Wtorek, czwartek: Kiara 6.40–6.50

Wtorek, czwartek: Carlos 6.25–6.35

Muszę ją chyba oświecić, że nikt nie będzie mi dyktował, jak długo mam brać prysznic. Kiedy się gotuję i jestem wkurzony, czyli dokładnie tak jak teraz, siedzę pod nim nawet godzinę.

Nie dość, że wsadzili mnie do pudła za coś, czego nie zrobiłem, to jeszcze muszę mieszkać razem z bandą obcych ludzi, którzy robią sałatę

ze szpinaku.

Idę do swojego pokoju, ale drzwi do sypialni Kiary są uchylone. Zzera mnie ciekawość. Wiem, że jest jeszcze na dole, więc zakradam się do środka. Na jej biurku leżą sterty książek i luźnych kartek. Na ścianie nad nim wisi korkowa tablica, do której przypięła powiedzonka typu „wujek Dobra Rada”.

Nie bój się być wyjątkowa.

Pokochaj siebie, zanim pokochasz innych.

Ja pierdolę. Czyta te bzdety przed snem?

Na tablicy jest też kilka zdjęć Kiary z tym kolesiem, z którym siedzi codziennie w stołówce. Chodzą po górach, zjeżdżają na snowboardzie. Na tych fotkach Kiara się śmieje.

Biorę z biurka zeszyt i przerzucam kartki. Zamieram, gdy natrafiam na napis „Prawo przyciągania”, umieszczony na górze strony. Mój wzrok bezbłędnie wyłapuje słowa „sterczące intymne części ciała” w kolumnie „walory

fizyczne”. Śmieję się i czytam sąsiednią kolumnę... Szuka faceta, który jest pewny siebie, miły, umie naprawiać samochody i lubi sport. Kto, do diabła, zapisuje takie rzeczy? Dziwię się, że nie napisała: „Szukam faceta, który rozmasuje mi stopy i pocałuje w tyłek”. Na następnej stronie są szkice jej samochodu. Słyszę pisk drzwi. O, do licha. Mam towarzystwo.

Kiara stoi w drzwiach wyraźnie zaszokowana. Za nią wchodzi chłopak ze zdjęć. Odbiera jej mowę, gdy widzi mnie w swoim pokoju, z zeszytem w łapach.

– Szukałem kartki – mruczę od niechcienia i rzucam zeszyt na biurko.

Facet podchodzi bliżej.

– Hej, hej, się ma, ziomal! – mówi.

Ciekawe, co by zrobił profesor Dick, gdybym pierwszego dnia kopnął chłopaka Kiary w dupę. Wśród jego zasad nie było zakazu bójek.

Patrzę na gościa zwężonymi oczami i robię krok przed siebie.

Kiara szybko szuka czegoś na biurku i podaje mi inny zeszyt. Dosłownie wciska mi go do ręki.

– Proszę – mówi w popłochu.

Patrzę na zeszyt, którego nie potrzebuję. Jestem wkurzony, że czuję się jak *jalapeño* wciśnięte do miski z orzechami... czyli tak, jakbym był nie na swoim miejscu i zdecydowanie w niewłaściwym towarzystwie.

Mruczę pod nosem: „To na razie... ziomal” i ruszam do kanarkowego pokoju, któremu nadaję nazwę *infierno*, piekło.

Wyglądam przez okno i szacuję, jak daleko jest do ziemi i czy da się uciec, żeby od czasu do czasu posmakować wolności. Może pewnego dnia zwieję stąd i już nie wrócę.

– Carlos, mogę wejść? – słyszę głos Brittaney za drzwiami.

Otwieram i dziwię się, że jest sama.

– Jeżeli masz zamiar palnąć mi kazanie, to daruj sobie.

– Nie po to przyszłam. – W jej

jasnoniebieskich oczach dostrzegam współczucie. Brittany przeciska się koło mnie i wchodzi do pokoju. – Jestem pewna, że twoi przyjaciele w Meksyku chętnie by poznali szczegóły twoich wyczynów seksualnych, ale gadanie o tym przy sześciolatku i jego rodzicach to nie jest najlepszy pomysł.

Podnoszę dłoń, aby jej przerwać.

– Zanim powiesz coś jeszcze, muszę cię uczciwie uprzedzić, że to brzmi dla mnie jak kazanie.

– Masz rację. – Śmieje się. – Przepraszam. Prawdę mówiąc, przyniosłam ci komórkę. Wiem, że ty i Alex jesteście czasem jak ogień i woda, więc może ci się to przyda, jak będziesz chciał porozmawiać na spokojnie. Wpisałam nasze numery na listę kontaktów.

Kładzie komórkę na biurku.

O, nie. Czuję, że stara się być dla mnie jak siostra, której nie mam, ale to nie wypali. Nie zbliżę się do nikogo, więc wolę zachowywać się

jak dupek, żeby każdego zrażać. To mi przychodzi naturalnie; już nawet nie muszę udawać.

– Uderzasz do mnie? Myślałem, że jesteś dziewczyną mojego brata. Powiem uczciwie, Brittany, nie umawiam się z białymi *chicas*. Zwłaszcza takimi, które mają blond włosy i skórę w kolorze wikolu. Słyszałaś w ogóle o solarium?

No dobra, z tym wikolem to już przegiąłem. Brittany ma brzoskwiniovą cerę, ale chcę ją odepchnąć obraźliwymi uwagami. Robię tak z *mi'amá*. I z Luisem. I z Alekssem. Zawsze się udaje.

Robię wielkie przedstawienie, otwierając szufladę biurka i wkładając do niej telefon.

– Któregoś dnia ci się przyda – mówi. – I na pewno do mnie zadzwonisz.

Wybucham krótkim śmiechem.

– Nie masz pojęcia, kim jestem i co zrobię.

– Chcesz się założyć?

Robię krok w jej stronę, naruszając jej

prywatną przestrzeń. Chcę, żeby się cofnęła i wiedziała, że mówię poważnie.

– Nie wkurzaj mnie, suko. W Meksyku należałem do ulicznego gangu.

Zamiast się cofnąć mówi:

– Mój chłopak też należał do gangu, Carlos. I nie boję się żadnego z was.

– Czy ktoś ci mówił, że jesteś doskonałym przykładem *mamacita* na udowodnienie teorii o głupich blondynkach?

Brittany nie kuli się ze strachu i nie wpada w złość, tylko robi krok w moją stronę i całuje mnie w policzek.

– Wybaczam ci – mówi i wychodzi z pokoju.

– Nie prosiłem cię o wybaczenie. I nie potrzebuję go – wołam za nią, ale już jej nie ma.

16. Kiara

Nie sędzę, żeby szukał kartki – mówi Tuck, siadając okrakiem na krześle przy biurku. – Węszył. Wiem, kiedy ktoś węszy. Możesz mi wierzyć.

Wzdycham i siadam na łóżku.

– Musiałeś wyjeżdżać z tym „sie ma, ziomal”?

Czasami Tuck gada w ten sposób dla zgrywy. Nie sędzę, żeby Carlos docenił jego poczucie humoru.

– No sorry, ale nie mogłem się powstrzymać. Myśli, że taki z niego twardziel, więc chciałem go trochę przystopować. – Tuck zadziera głowę. – Mam świetny pomysł. Możemy też powęszyć.

Kręcę głową.

– Nie ma mowy. Poza tym jest na pewno w swoim pokoju.

– Może poszedł na dół. Musimy to sprawdzić.

– To kiepski pomysł.

– No daj spokój – jęczy jak mój brat, kiedy nie dostaje tego, czego chce. – Będzie niezły ubaw. Nudzę się i zaraz muszę iść.

Nie mam czasu przetrwać tego, co Tuck chce zrobić, bo znika za drzwiami. Słyszę trzeszczenie podłogi, kiedy idzie do pokoju Carlosa. No nie. To nie jest dobry pomysł. Ani trochę. Łapię Tucka za ramię i próbuję go odciągnąć, ale ani drgnie. Przecież wiem, że kiedy coś sobie ubzdura, to nic go nie powstrzyma. Pod tym względem jest podobny do mojego taty.

Drzwi do pokoju Carlosa są lekko uchylone. Tuck zagląda do środka.

– Nie widzę go – mówi.

– Bo byłem na siku – odzywa się Carlos za naszymi plecami.

Tylko nie to. Wpadliśmy.

Wciążam z sykiem oddech i szczypię Tucka. Ten wyczyn nie należy do jego najlepszych pomysłów. Ciekawe, czy Carlos się odgryzie za ciasteczka czymś podobnym.

– Właśnie się, hm, zastanawialiśmy, czy przydał ci się zeszyt Kiary – mówi Tucka i niezrażony ani trochę tym, że został przyłapany na gorącym uczynku, na poczekaniu wymyśla historyjki. – Może wolisz kołonoatnik? Bo możemy coś zorganizować.

– Mhm – mruczy Carlos.

Tuck wyciąga rękę.

– A tak w ogóle, to nie zostaliśmy przedstawieni. Jestem Tuck. Rymuje się z mak.

– I jebak – dodaje Carlos.

– Tak, z tym też – mówi Tuck, którego to nie wytrąciło z równowagi. Celuje palcem w Carlosa i uśmiecha się szeroko. – Masz szybki refleks, *amigo*.

Carlos odsuwa palec Tucka.

– Nie jestem twoim *amigo*, dupku.

Dzwoni komórka Tucka. Wyjmuje ją z kieszeni i mówi:

– Zaraz będę. – Wzrusza ramionami i zwraca się do mnie: – Muszę spadać. Rick, mój ojczym,

robi dla mnie i mamy jakiś głupi kurs wiązania węzłów żeglarskich. Do zobaczenia jutro w szkole, Kiara. – Odwraca się do Carlosa. – Na razie, *amigo*.

Tuck znika w ciągu sekundy i zostaje na korytarzu sama z Carlosem. Staje przede mną. Kiedy skupia na mnie uwagę, czuję się onieśmielona, czy tego chce, czy nie. Jest jak pantera gotowa do skoku, jak wampir, który chce wypić krew każdego, kto mu stanie na drodze.

– À propos, wcale nie potrzebowałem kartki. Twój chłoptaş miał rację. Węszyłem. – Idzie do swojego pokoju, ale odwraca się do mnie. – Te ściany są jak z dykty. Lepiej o tym pamiętaj, kiedy będziesz chciała pogadać o mnie ze swoim chłopakiem – mówi i zamyka drzwi.

17. Carlos

Wieczorem profesor wzywa mnie do swojego domowego gabinetu. Spodziewam się wybuchu gniewu. I szczerze mówiąc, nawet tego chcę. Jeśli myśli, tak jak ten sędzia z sądu dla nieletnich, że sprowadzenie mnie tutaj w jakiś sposób naprawi albo zmieni mój charakter, to się grubo myli. Czysty instynkt każe mi się buntować za każdym razem, gdy ktoś chce kontrolować moje życie albo narzucać kolejne zasady.

Profesor Westford składa ręce tak, że koniuszki palców się dotykają. Wychyla się w moją stronę w fotelu, który stoi przodem do kanapy, na której siedzę.

– Czego chcesz, Carlos? – pyta.

Hę? Zbija mnie z tropu. Nie spodziewałem się takiego pytania. Chcę wrócić do Meksyku i żyć dalej po swojemu. Albo pojechać do Chicago,

gdzie mieszkają moi przyjaciele i kuzynowie, z którymi dorastałem... Jasna sprawa, że nie mogę mu powiedzieć, że najbardziej bym chciał, żeby *mi papá* wrócił między żywych.

– Nie odpowiadam.

– Wiem, że jesteś twardym dzieciakiem – wzdycha Westford. – Alex powiedział mi, że wplątałeś się w jakieś poważne problemy w Meksyku.

– I co?

– Chcę, żebyś wiedział, że możesz tu zacząć wszystko od nowa, Carlos. Źle wystartowałeś, ale możesz zmasować tablicę i zacząć od początku. Alex i twoja matka chcą dla ciebie jak najlepiej.

– Niech pan posłucha, Dick. Alex mnie nie zna.

– Twój brat zna cię lepiej, niż ci się wydaje. I jesteście bardziej podobni, niż sądzisz.

– Przecież dopiero mnie pan poznał. Pan też mnie nie zna. I powiem uczciwie, że nie mam do pana za wiele szacunku. Wpuścił pan do domu

faceta, którego aresztowano za narkotyki. Nie boi się pan trzymać mnie pod swoim dachem?

– Nie jesteś pierwszym dzieciakiem, któremu pomagam, i nie ostatnim – zapewnia mnie. – Powinieneś chyba wiedzieć, że zanim zrobiłem doktorat z psychologii, służyłem w wojsku. Widziałem więcej trupów, broni i złych facetów, niż ty zobaczysz przez całe życie. Co prawda mam siwe włosy, ale gdy trzeba, jestem taki twardy jak ty. Myślę, że się dogadamy. Wróćmy do tematu, który poruszyłem na początku. Czego chcesz, Carlos?

– Wrócić do Chicago – mówię na odczepnego. Westford się opiera.

– Okej.

– Co ma znaczyć „okej”?

Podnosi dłonie.

– Po prostu „okej”. Jeśli przez cały pierwszy semestr będziesz przestrzegał domowych zasad, to zabiorę cię do Chicago. Obiecuję.

– Nie wierzę w obietnice.

– A ja tak. I zawsze ich dotrzymuję. No, dosyć już tego gadania jak na jeden wieczór. Odpocznij i czuj się jak u siebie w domu. Pooglądaj sobie telewizję, jeśli masz ochotę.

Zamiast iść na telewizję, kieruję się prosto do kropkowanego piekła. Mijam pokój Brandona. Dzieciak siedzi na podłodze, ubrany w piżamę w małe pęczki, rękawice i kije do bejsbola. Bawi się plastikowymi żołnierzami. Wydaje się taki niewinny i szczęśliwy. To dla niego łatwizna – nie zetknął się z realnym światem.

Realny świat jest do bani.

Na mój widok uśmiecha się szeroko.

– Hej, Carlos, pobawisz się żołnierzami?

– Nie dziś.

– To może jutro? – pyta z nadzieją w głosie.

– Nie wiem.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że masz mnie zapytać jutro i może odpowiedź będzie inna. – Po namyśle dodaję: – Poproś siostrę, żeby się z tobą

pobawiła.

– Już to zrobiła. Teraz twoja kolej.

Moja kolej? Ten dzieciak karmi się złudzeniami, jeśli myśli, że w ogóle chcę się z nim bawić.

– Wiesz co? Jutro po szkole pogram z tobą w nogę. Jak strzelisz mi chociaż jednego gola, to pobawię się z tobą żołnierzykami.

Dzieciak jest zaskoczony.

– Myślałem, że nie grasz w nogę.

– Skłamałem.

– Nie wolno kłamać.

– Tak, jasne. Jak podrośniesz, będziesz to robić na okrągło.

Kręci głową.

– Raczej nie.

Wybucham śmiechem.

– Zadzwoń, jak będziesz miał szesnaście lat. Daję słowo, że zmienisz zdanie – mówię i ruszam do swojego pokoju. Na korytarzu spotykam Kiarę. Koński ogon się poluzował i uciekła z

niego większość włosów. Nie spotkałem do tej pory dziewczyny, która do tego stopnia nie przejmuje się wyglądem.

– Gdzie idziesz taka wystrojona? – żartuję.

Chrząka, jakby grała na zwłokę.

– Pobiegać.

– Po co?

– Dla ruchu. Możesz... też iść.

– O nie. – Moja teoria mówi, że biegają tylko sztywniacy w białych kołnierzykach, którzy większość czasu siedzą na tyłkach bez ruchu. Zaczyna odchodzić, ale wołam za nią: – Poczekaj, Kiara. – Odwraca się do mnie. – Powiedz Tuckowi, żeby schodził mi z drogi. A ten harmonogram kąpieli...

Chcę jej powiedzieć, jak się sprawy mają i kto tu rządzi. Jej ojciec może sobie narzucać zasady, których i tak nie mam zamiaru przestrzegać, ale nikt, a zwłaszcza jakaś *gringa*, nie będzie mi mówić, kiedy brać prysznic. Zakładam ręce na piersi i mówię prosto z mostu:

- Nie przestrzegam harmonogramów.
- Ale ja prz-przestrzegam, więc się d-d-dostosuj.

Odwraca się i idzie do schodów.

Nie wychodzę z pokoju do samego rana, aż profesor woła przez drzwi:

– Carlos, jeśli jeszcze nie wstałeś, to lepiej się rusz. Wychodzimy za pół godziny.

Gdy jego kroki się oddalają, wyczołguję się z łóżka i idę do łazienki. Otwieram drzwi. Brandon szczotkuje zęby. Upaprał pastą całą „naszą” umywalkę i buzię. Wygląda, jakby miał wściekliznę.

– Pośpiesz się, *cachorro*. Muszę się wysikać.

– Nie wiem, co to znaczy *ka-ka-czo-ro-ro*.

Dzieciak nie zna hiszpańskiego, to pewne.

– To dobrze – mówię. – I tak ma zostać.

Opieram się o futrynę, a Brandon kończy. Słyszę, że Kiara otwiera drzwi. Wychodzi z

pokoju kompletnie ubrana. O ile można to nazwać ubiorem. Włosy ma związane w koński ogon, a na sobie żółty T-shirt z napisem „Adventureland”, workowate brązowe spodnie i trapery.

Jedno spojrzenie na mnie, a jej oczy wychodzą z orbit i twarz robi się cała czerwona. Odwraca wzrok.

– Ha, ha, ha! – śmieje się Brandon, wskazując na moje bokserki. Opuszczam wzrok, żeby sprawdzić, czy nie sterczy intymna część ciała. – Kiara widziała twoje majty! Kiara widziała twoje majty! – woła śpiewnie.

Kiara schodzi na dół i po kilku sekundach znika mi z oczu.

Patrzę na Brandona zmrużonymi oczami.

– Czy ktoś ci kiedyś mówił, że czasami jesteś wkurzającym gówniarzem?

Brandon zasłania usta dłonią i wciąga oddech.

– Powiedziałaś brzydkie słowo.

W duchu przewracam oczami. Zdecydowanie

muszę zacząć mówić przy tym dzieciaku po hiszpańsku. Albo pobić go jego własną bronią.

– Wcale nie. Powiedziałem, że jesteś wkurzającym ceniarem.

– Właśnie że nie. Powiedziałeś gówniarz.

Zasłaniam usta dłonią i wciągam oddech. Celuję w niego palcem, którym kręcę jak dwulatek, i mówię:

– Powiedziałeś brzydkie słowo.

– Ty pierwszy powiedziałeś, Carlos – kłóci się.

– Ja tylko powtórzyłem to, co powiedziałeś.

– Powiedziałem ceniarem. A ty powiedziałeś słowo do rymu. Powiem twoim rodzicom. – Otwieram usta, żeby naskarżyć. Nie mam zamiaru tego zrobić, ale ten mały *diablo* o tym nie wie.

– Nie mów. Proszę.

– Dobra. Opuść cię. Tym razem. Widzisz, teraz jesteśmy współnikami zbrodni.

Marszczy brwi.

– Nie wiem, co to znaczy.

– To znaczy, że nie skarżymy na siebie.

– A jeśli zrobisz coś złego?

– To masz trzymać buzię na kłódkę.

– A jeśli ja zrobię coś złego?

– Nikomu nie powiem.

Zastanawia się nad tym przez minutę.

– Nawet jak zobaczysz, że wyjadam ciasteczka ze spiżarni?

– Nie pisnę słowa.

– I że nie chce mi się myć zębów?

Wzruszam ramionami.

– Nic mnie to nie obchodzi, nawet jak ci będzie śmierdziało z buzi i zrobią ci się dziury.

Brandon uśmiecha się szeroko i wyciąga rękę.

– No to umowa stoi, chłopie.

Chłopie? Brandon drepcze do swojego pokoju, a ja się zastanawiam, kto tu kogo przechytrzył.

18. Kiara

Teraz już wiem, w czym Carlos śpi. W bokserkach. Musiałam odwrócić wzrok, kiedy wpadłam na niego na korytarzu. Nie mogę się tak gapić. Ma tatuaże nie tylko na ramieniu i przedramieniu. Na piersi zauważyłam mały w kształcie węża, a z bokserek wychodziły czerwone i czarne litery. Jestem bardzo ciekawa, co ma tam napisane i dlaczego, ale na pewno go nie spytam. Nie ma mowy.

Mama wyszła godzinę temu, żeby otworzyć sklep. Dziś moja kolej na zrobienie śniadania. Tata pochłania jajka z tostem, które mu przygotowałam. Za kilka minut przyjdzie Alex, więc pewnie powtarza w myślach, co powinni powiedzieć Carlosowi.

Zdecydowanie nie mam ochoty być przy tej rozmowie. Czuję się trochę winna, że wczoraj wieczorem rzuciłam Carlosowi wyzwanie. Nie

powinien myśleć, że kolejna osoba jest przeciwko niemu. To ostatnia rzecz, której mu teraz trzeba.

– Tato – mówię i siadam obok niego przy kontuarze. – Co mu powiesz?

– Prawdę. Że kiedy sędzia przyzna nam tymczasową opiekę, to mam nadzieję, że pozwolą mu przystąpić do programu REACH, zamiast skazywać go na więzienie.

– Nie spodoba mu się to.

– Nie ma wyboru. – Tata klepie mnie po ręce. – Nie martw się, wszystko się ułoży.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Bo mam głębokie przekonanie, że chce wyprostować swoje życie, a sędzia woli nie wrywać dzieciaków ze szkoły. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że Carlos nawet nie wie, jak bardzo zależy mu na tym, żeby odnieść sukces.

– Jest dupkiem.

– To tylko przykrywka, a w głębi kryje się coś

innego. Ale wiem, że będzie dla nas dużym wyzwaniem. – Przechyliła głowę na bok i patrzy na mnie z zamyśleniem. – Na pewno ci nie przeszkadza, że będzie tu mieszkał?

A gdybym to ja znalazła się w jego sytuacji? Czy ktoś próbowałby mi pomóc? Czy nie dlatego znaleźliśmy się na tej planecie? Żeby uczynić z niej lepsze miejsce? To nie jest kwestia religijna, tylko humanitarna.

Jeśli Carlos nie będzie mógł tu zostać, to nie wiadomo, gdzie skończy.

– Absolutnie mi to nie przeszkadza – mówię. – Naprawdę.

Tata, który ma wykształcenie psychologiczne i niewyczerpaną cierpliwość, będzie w stanie pomóc Carlosowi. A mama... no cóż, jest świetna, jeśli weźmie się poprawkę na jej dziwactwa.

– Brandon, gdzie jest Carlos? – pyta tata, kiedy brat w podskokach zbiega na dół.

– Nie wiem. Chyba był pod prysznicem.

– Dobrze. Zjedz śniadanie. Za dziesięć minut masz autobus.

Woda na górze przestaje lecieć, co znaczy, że Carlos wyszedł spod prysznica. To sygnał dla mojego taty.

– Bran, weź plecak. Autobus podjedzie w każdej chwili.

Kiedy tata popędza Brandona, szykuję jajecznicę z dwóch jajek dla Carlosa.

Słyszę jego kroki na schodach. Ma na sobie ciemnoniebieskie dżinsy rozdarte na kolanach i czarną koszulkę, która wygląda na znoszoną i spraną... ale wyobrażam sobie, że musi być mięciutka i wygodna.

– Proszę – mamroczę, stawiając na stole jajka z tostem i szklankę świeżo wyciśniętego soku.

– *Gracias.*

Siada powoli, wyraźnie zdziwiony, że zrobiłam mu śniadanie.

Kiedy je, ładuję naczynia do zmywarki i wyjmuję pudełka z drugim śniadaniem, które

przygotowała mama. Tata wraca po kilku minutach w towarzystwie Aleksa.

– Cześć, bracie – mówi Alex, siadając obok Carlosa. – Jedziemy do sądu. Jesteś gotowy?

– Nie.

Biorę kluczyki od samochodu i plecak i znikam z domu. Kiedy jadę do szkoły, myślę sobie, że może powinnam była zostać w charakterze buforu. Bo trzej faceci razem, zwłaszcza gdy dwaj z nich to odznaczający się bardzo silną wolą bracia Fuentes, mogą stanowić mieszankę wybuchową. W dodatku jeden będzie zmuszony przystąpić do pozaszkolnego programu pomocy dla młodocianych przestępców. Jestem pewna, że kiedy powiedzą o tym Carlosowi, wkurzy się maksymalnie.

Mój biedny tata wymięknie.

19. Carlos

To co tu robisz? – pytam brata po raz drugi.

Patrzę na Westforda, który trzyma kubek kawy. Zdecydowanie coś się kroi.

– Alex chciał tu być, kiedy będziemy omawiać to, co cię dzisiaj czeka. Mamy zamiar poprosić sędziego, żeby cię zwolnił i przyznał mi opiekę w zamian za twoją współpracę i udział w specjalnym pozaszkolnym programie.

Patrzę na niedojedzone śniadanie i odkładam widelec.

– Myślałem, że jedziemy tylko do sądu, że mnie zwolnią i przydzielą panu opiekę. Teraz się czuję, jakbym stał pod murem i czekał, aż mi zawiążą opaskę na oczach i dadzą ostatniego papierosa.

– To w gruncie rzeczy nic wielkiego – mówi Alex. – Nazywa się REACH.

Westford siada naprzeciw mnie.

– To specjalny program dla zagrożonych nastolatków.

Patrzę na Aleksa, żeby wyjaśnił mi to w ludzkim języku.

Brat chrząka.

– To program dla dzieciaków, które weszły w konflikt z prawem, Carlos. Będziesz tam chodził po szkole. Codziennie – dodaje.

Robią sobie ze mnie bekę?

– Przecież mówiłem, że narkotyki nie były moje.

Westford odstawia kubek.

– To w takim razie powiedz, czyje.

– Nie znam nazwiska.

– Niedobrze – mówi Westford.

– To zmowa milczenia – wtrąca Alex.

Westford nie rozumie.

– Zmowa milczenia?

– Znam kogoś, kto należy do *Guerreros del barrio* – mówi, patrząc na profesora. – Zmowa milczenia obowiązuje wszystkich członków

gangu. Nikt nic nie powie, nawet jeśli wie, kto za to odpowiada.

Westford wzdycha.

– Zmowa milczenia nie pomoże twojemu bratu, ale rozumiem. Nie chcę, ale rozumiem. W takim razie nie mamy innego wyboru, jak poprosić sędziego, żeby pozwolił Carlosowi przystąpić do programu REACH. To dobry program, Carlos, lepsze rozwiązanie niż wylecieć ze szkoły albo gnić w poprawczaku. Dostaniesz świadectwo ukończenia liceum i będziesz mógł zapisać się do college’u.

– Nie idę do college’u.

– To co chcesz robić po skończeniu liceum? – pyta Westford. – Tylko nie mów, że handlować narkotykami, bo to wykręt.

– Co ty w ogóle wiesz, Dick? Łatwo tak siedzieć w swoim cholernie wielkim domu i wpieprzać organiczne żarcie. Gdyby przeżył pan chociaż jeden dzień w mojej skórze, to mógłby mnie pan pouczać. A tak, to nie chcę tego w ogóle słuchać.

– *Mi'amá* chce, żebyśmy mieli lepsze życie niż ona – mówi Alex. – Zrób to dla niej.

– Wszystko mi jedno – mówię i wkładam naczynia do zlewozmywaka, bo definitywnie straciłem apetyt. – W porządku, załatwmy już te gówniane sprawy.

Westford bierze aktówkę i wzdycha z ulgą.

– Jesteście gotowi, chłopcy?

Zamykam oczy i przecieram je pięściami. Chciałbym przenieść się w magiczny sposób do Chicago, ale to tylko pobożne życzenie.

– To pytanie bez odpowiedzi, prawda?

Przez jego usta przemyka półuśmiech.

– Nie całkiem. I masz rację, nie jestem w twojej skórze. Ale ty w mojej też nie.

– No nie, profesorze. Założę się o swoje lewe jajo, że największym pana problemem było podjęcie decyzji, do którego lokalnego klubu się zapisać.

– Nie zakładałbym się na twoim miejscu – mówi, kiedy wychodzimy z domu. – Bo nie

należymy do żadnego klubu.

Gdy podchodzimy do czegoś, co musi być jego samochodem, cofam się o krok.

– Przecież to Smart.

Samochodzik wygląda jak jakiś wypierdek zrobiony z resztek SUV-a. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Westford powiedział, że to jedna z tych zabawek, którymi jeżdżą dzieci.

– Jest energooszczędny. Moja żona jeździ SUV-em, a ja jeżdżę tylko do pracy i z powrotem, więc to był idealny wybór. Możesz poprowadzić, jeśli chcesz.

– Możesz jechać moim wozem – mówi Alex.

– Nie, dzięki – odpowiadam, otwieram drzwi Smarta i wciskam się na siedzenie dla pasażera. Od środka auto nie wydaje się takie małe, ale mimo to nadal czuję się, jakbym siedział w miniaturowym statku kosmicznym.

W niecałą godzinę sędzia przyznaje profesorowi tymczasową opiekę nade mną i zgadza się na mój udział w programie REACH,

zamiast skazywać mnie na pobyt w poprawczaku albo pracę społeczną. Alex nas zostawia, bo ma test, więc nowy opiekun musi mnie zapisać do REACH, a potem odwieźć do szkoły.

Siedziba REACH mieści się w budynku z brązowej cegły, który znajduje się kilka przecznic od szkoły. Czekamy chwilę w holu, a potem wołają nas do biura dyrektora.

Wita się z nami ogromny biały facet, który musi chyba ważyć jakieś sto czterdzieści kilogramów.

– Nazywam się Ted Morrisey i jestem dyrektorem tego ośrodka REACH. A ty pewnie jesteś Carlos. – Przerzuca akta. – Powiedz mi, dlaczego tu jesteś.

– Nakaz sędziego – odpowiadam.

– W twoich aktach jest napisane, że w zeszły piątek zostałeś aresztowany za posiadanie narkotyków. – Podnosi wzrok. – To poważny zarzut.

Tylko dlatego, że mnie złapali. Problem w tym, że jestem Meksykaninem i mam powiązania z gangiem. Ten gość nigdy nie uwierzy, że mnie wrobili – takie cuda się nie zdarzają. Na pewno każdy dzieciak, który tu trafia, mówi mu, że nie zrobił tego, za co go wsadzili. Dowiem się, kto mnie wrobił... i w końcu się zemszczę.

Morrisey przynudza przez następne pół godziny. W skrócie chodzi o to, żebym miał kontrolę nad swoim przeznaczeniem i przyszłością. To moja ostatnia szansa. Jeśli chcę odnieść sukces, program REACH da mi narzędzia, które pomogą wykorzystać cały mój potencjał, ble, ble, ble. Jak ukończę program, konsultanci zawodowi, którzy udzielają rad wszystkim absolwentom REACH, pomogą mi znaleźć pracę albo dostać się do wyższej szkoły. Kilka razy powstrzymuję ziewanie. Zastanawiam się, jak Westford może tu siedzieć i wysłuchiwać z poważną miną tych bzdur wygłaszanych przez

Morriseya.

– I musisz mieć świadomość – mówi Morrisey, wyjmując informator dla uczniów i przerzucając kartki – że w ciągu roku będziemy robić na chybił trafił testy na obecność narkotyków. To dotyczy wszystkich uczniów objętych programem REACH. Jeśli będziesz miał przy sobie narkotyki albo wykryjemy ich ślady w organizmie, to powiadomimy twojego opiekuna i zostaniesz wykluczony z programu i wyrzucony ze szkoły. Bezpowrotnie. Większość nastolatków trafia wtedy do więzienia za różne wykroczenia.

Morrisey podaje Westfordowi i mnie kopię regulaminu obowiązującego w REACH. Następnie splata ręce na ogromnym brzuchu i uśmiecha się, ale to tylko pozory, na które nie dają się nabrać. Jest twardzielem i nie bierze jeńców.

– Jakies pytania? – mówi spokojnym głosem, ale nie mam wątpliwości, że potrafi nim

wydawać rozkazy głośniej niż sierżant w wojsku.

Profesor patrzy na mnie.

– Myślę, że wszystko jasne – mówi.

– Świetnie. To pozostaje jeszcze jedna sprawa do załatwienia, a potem możesz wracać do szkoły. – Podaje nam kartkę. – To umowa potwierdzająca, że przedstawiłem ci regulamin REACH, że go rozumiesz i zgadzasz się przestrzegać zawartych w nim zasad.

Wychyłam się do przodu i widzę trzy linie na podpisy. Jedna dla mnie, druga dla mojego rodzica lub opiekuna, a trzecia dla przedstawiciela REACH. Umowa stwierdza:

Ja, niżej podpisany
oświadczam, że rozumiem regulamin ośrodka REACH, z którym zostałem szczegółowo zapoznany, i zgadzam się przestrzegać jego zasad. Niniejszym potwierdzam, że mam świadomość, iż w razie nieprzestrzegania regulaminu z jakiegokolwiek powodu zostanę

poddany działaniom dyscyplinarnym, które mogą obejmować zamknięcie w areszcie domowym, dodatkowe konsultacje i/lub wykluczenie z programu REACH.

Znaczy to tyle, co:

Ja, niżej podpisany przekazuję swoją wolność w ręce personelu REACH. Podpisując tę umowę, wyrażam zgodę na to, że inni ludzie będą mi dyktowali, jak mam żyć, i że podczas pobytu w Kolorado będę skazany na żalną egzystencję.

Starając się za wiele nie myśleć, gryzmołę swoje nazwisko na kartce i podaję ją Westfordowi do podpisania. Chcę już z tym skończyć i zrobić kolejny krok. Nie ma sensu się spierać. Po złożeniu podpisów papier trafia do moich akt, wychodzimy z gabinetu i każą mi meldować się w REACH nie później niż o piętnastej od poniedziałku do piątku, bo w

przeciwnym razie popełnię wykroczenie.

Zwalili mi na głowę tyle zasad, których mam przestrzegać, że naruszenie którejs z nich jest tylko kwestią czasu.

agnesa

20. Kiara

Nie widziałam Carlosa od rana. Cała szkoła huczy od plotek na temat piątkowej imprezy. Wszyscy zachodzą w głowę, co się stało z najnowszym uczniem ostatniej klasy liceum Flatiron. Słyszę, jak ktoś mówi na korytarzu, że Carlos spędził weekend w areszcie; ktoś inny stwierdza, że został deportowany jako przebywający tu nielegalnie cudzoziemiec. Siedzę cicho i nie informuję nikogo, że Carlos z nami zamieszkał, chociaż mam ochotę krzyknąć, żeby się zamknęli i nie rozgłaszali głupich plotek.

Podczas lunchu siedzimy z Tuckiem tam, gdzie zwykle.

– Nie mogę w piątek pozować – mówi.

– Dlaczego?

– Mama chce, żebym jej pomógł z grupą poszukiwaczy przygód, którą prowadzi w ten

weekend. Brakuje im instruktorów.

– Moje panie będą niepokieszone.

Kiedy powiedziałam im, że na zajęciach plastycznych pojawi się dwoje żywych modeli, były bardzo podekscytowane. I nie przeszło im nawet wtedy, gdy wyjaśniłam, że pozować będziemy ja i mój przyjaciel Tuck, a do tego w żadnym wypadku nie wystąpimy nago, tylko w kostiumach.

– Niech ktoś inny z tobą pójdzie.

– Na przykład kto?

– Mam! – woła. – Poproś Carlosa.

Kręcę głową.

– Nie ma mowy. Jest wkurzony jak diabli, że go w piątek zwinęli. Raczej nie ma nastroju, żeby robić innym przysługi. Wciąż mnie prowokuje, a ja nie mogę wtedy opanować jękania.

Tuck chichocze.

– Jeśli nie możesz wykrztusić słowa, to pokaż mu środkowy palec. Tacy faceci jak Carlos dobrze reagują na mowę gestów.

W tym momencie Carlos wchodzi do stołówki. Wszystkie oczy zwracają się w jego stronę.

Gdybym była na jego miejscu, to przynajmniej przez miesiąc unikałabym stołówki jak ognia. Ale nie jestem. Sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie zwracał uwagi, że wszyscy się na niego gapią i przekazują sobie szeptem najnowsze plotki. Idzie prosto do stolika, przy którym zwykle siada, i nie ma zamiaru nikogo przeproszać. Podziwiam jego pewność siebie.

Kumple udają, że go nie widzą, tylko Ram zaprasza Carlosa, żeby usiadł obok niego. I na tym koniec przedstawienia. Ram jest popularny w szkole, więc jeśli aprobejuje Carlosa, to nagle fakt, że go zapuszkowali, przestaje mieć znaczenie.

Po lunchu Carlos jest przy swojej szafce. Klepię go w ramię.

- Dziękuję, że przywróciłeś stary kod.
- Nie zrobiłem tego po to, żebyś mnie uważała

za miłego gościa – mówi. – Po prostu nie chcę, żeby mnie wsadzili i wyrzucili ze szkoły.

Z początku Carlos nie dbał o obecność na lekcjach i o to, żeby go nie wyrzucili. Teraz wydalenie ze szkoły stało się bardziej realne, więc walczy, żeby się utrzymać. Groźba wyrzucenia chyba sprawia, że tym bardziej chce zostać.

agnieszka

21. Carlos

Pan Kinney, przydzielony mi pracownik socjalny, wita mnie w holu ośrodka REACH. W gabinecie kładzie przede mną żółtą kartkę. Na górze zapisane jest moje imię, a pod nim znajdują się cztery wolne linie.

– Co to jest? – pytam. Już oddałem im swoje życie. Czego jeszcze ode mnie chcą?

– Karta celów.

– Co takiego?

– Karta celów. – Kinney podaje mi ołówek. – Chcę, żebyś zapisał cztery cele, jakie sobie stawiasz. Nie musisz robić tego teraz. Pomyśl o tym dziś wieczorem i jutro mi oddaj kartkę.

Oddaję ją od razu.

– Nie mam żadnych celów.

– Każdy ma jakieś cele – mówi. – A jeśli nie masz, to powinienes. Cele nadają życiu kierunek i sens.

– Skoro żadnych nie mam, to nie mogę ich zapisać.

– Taka postawa to droga donikąd – stwierdza Kinney.

– To dobrze, bo nigdzie się nie wybieram.

– Dlaczego nie?

– Żyję chwilą, człowieku.

– Czy żyjąc chwilą, zakładasz ryzyko pójścia do więzienia za posiadanie narkotyków?

Kręcę głową.

– Nie.

– Posłuchaj, Carlos. Każdy nastolatek w programie REACH jest zagrożony – mówi Kinney.

Idę za nim śnieżnobiałym korytarzem.

– Czym?

– Autodestrukcyjnym zachowaniem.

– Skąd pan wie, że uda się mnie naprawić?

Kinney patrzy na mnie z powagą.

– Naszym celem nie jest naprawianie cię, Carlos. Dostarczamy tylko narzędzi, które

pomogą ci rozwinąć pełny potencjał, ale reszta zależy od ciebie. Dziewięćdziesiąt procent uczestników kończy program bez jednego wykroczenia na koncie. Jesteśmy z tego dumni.

– Kończą go tylko dlatego, że są zmuszeni tu przychodzić.

– Nie. Możesz mi wierzyć lub nie, ale pragnienie sukcesu leży w ludzkiej naturze. Jest tu sporo takich nastolatków jak ty. Zostali wciągnięci do gangów, w narkotyki i potrzebują bezpiecznego miejsca, do którego mogą przychodzić po szkole. Czasami, tylko czasami, dzieje się tak dlatego, że nastolatki nie potrafią poradzić sobie z napięciami towarzyszącymi dorastaniu. Zapewniamy im miejsce, w którym mogą odnieść sukces i rozwinąć swój pełny potencjał.

Nic dziwnego, że Alex tak się cieszył, że będę tu przychodził. Chce, żebym się dostosował... skończył liceum, poszedł do college'u, znalazł dobrą pracę, ożenił się i miał dzieci. Ale nie

jestem nim. Chciałbym, żeby wszyscy przestali mnie traktować tak, jakby moim celem było życie według zasad Aleksa.

Kinney prowadzi mnie do pokoju, w którym sześcioro wyrzutków siedzi w przytulnym kręgu. Jest z nimi kobieta w długiej leżącej się spódnicy. Przypomina panią Westford. Na kolanach trzyma zeszyt.

– Czy to jakaś terapia grupowa? – pytam cicho Kinneya.

– Pani Berger, to jest Carlos – przedstawia mnie Kinney. – Zapisał się dziś rano.

Berger uśmiecha się tak samo jak Morrisey.

– Usiądź, Carlos – mówi. – Podczas terapii grupowej można rozmawiać o wszystkim, co ci przyjdzie do głowy.

O rany! Terapia grupowa! Nie mogę się doczekać!

Chyba zaraz puszczę pawia.

Kinney wychodzi, a Berger prosi wszystkich, żeby się przedstawili, tak jakby mnie obchodziło,

jak mają na imię.

– Jestem Justin – mówi dzieciak na prawo ode mnie.

Ma długie włosy ufarbowane z przodu na zielono. Grzywka zasłania mu oczy jak firanka.

– Hej, chłopie – mówię. – Za co tu trafiłeś? Dragi? Drobna kradzież? Wielki napad? Morderstwo? – Strzelam, jakbym czytał kartę dań w restauracji.

Berger podnosi dłoń.

– Carlos, w REACH mamy zasadę niezadawania takich pytań.

Ups, musiałem przespać część kazania.

– Dlaczego nie? – pytam. – Lepiej wyłożyć karty na stół.

– Kradzież auta – wyrzuca z siebie Justin ku naszemu zdumieniu. Chyba nawet on sam jest zdziwiony, że podzielił się tym małym sekretem.

Po prezentacjach dochodzę do wniosku, że przydzielili mnie do grupy z piekła rodem. Po mojej lewej stronie siedzi biała laseczka o

imieniu Zana, która bez trudu dostałaby rolę, gdyby nagrywali reality show pod tytułem *Dziwki z Kolorado*. Dalej jest Quinn – nie wiem, czy to on, czy ona. Następni są dwaj Latynosi – facet, który ma na imię Keno, i seksowna meksykańska *chica* Carmela, o czekoladowych oczach i miodowobrazowej skórze. Przypomina moją byłą, Destiny, z tą różnicą, że ma w oku ten błysk, który świadczy, że lubi ściągać na siebie kłopoty.

Berger odkłada długopis i mówi do mnie:

– Zanim do nas dołączyłeś, Justin właśnie się zwierzył, że kiedy jest wściekły, to czasami wali pięściami w ścianę, żeby poczuć ból. Rozmawiamy o innych sposobach wyładowania frustracji, mniej destrukcyjnych.

Co za ironia losu. Justin wali w ścianę, bo rozpaczliwie chce coś poczuć, nawet ból... a ja wprost przeciwnie. Robię wszystko, co mogę, żeby nic nie czuć. Mój cel to pozostać głuchym na ból.

Hm, może powinienem to zapisać na karcie celów. Cel numer jeden Carlosa Fuentes: pozostać głuchym na ból. Ten cel nie będzie raczej dobrze przyjęty, ale to prawda.

– Jak ci minął pierwszy dzień?

Alex odebrał mnie z REACH o wpół do szóstej i zabrał w miejsce, które jest przypuszczalnie centrum Boulder, a nazywa się Pearl Street Mall. Ku radości pani Westford wchodzimy do jej sklepu i kawiarenki Hospitali-Tea, żeby się czegoś napić. Siadamy przy jednym ze stolików na zewnętrznej werandzie. Herbata to nie jest mój ulubiony napój, ale jak zwykle nie mam wyboru.

Pani Westford stawia przed nami kubki ze specjalną mieszanką, którą przyrządziła „do domu, tylko dla nas”, i wraca do środka, żeby obsłużyć innych klientów.

Patrzę na brata, który siedzi obok mnie

zupełnie wyluzowany.

– Ten cały REACH to zgraja popieprzonych odmieńców, Alex – mówię do niego przyciszonym głosem, aby pani W. nie usłyszała.

– Co jeden to gorszy.

– Daj spokój, na pewno nie jest aż tak źle.

– Poczekaj, aż sam ich zobaczysz. I kazali mi podpisać ten pieprznięty dokument, że będę przestrzegał ich regulaminu. Pamiętasz, jak mieszkaliśmy w Fairfield? Wtedy nie było żadnych zasad. Po szkole świat należał do ciebie, mnie i Luisa.

– Wtedy też obowiązywały zasady – przypomina Alex i podnosi filiżankę. – Tylko je łamaliśmy. *Mi'amá* tak dużo pracowała, że nie była w stanie nas dopilnować.

Jasne, w Illinois nie żyliśmy jak królowie, ale przynajmniej mieliśmy rodzinę i przyjaciół... i w ogóle jakieś życie.

– Chcę tam wrócić.

Alex kręci głową.

– Nie ma po co.

– Są tam Elena i Jorge i mały J.J. W ogóle nie znasz tego dzieciaka, Alex. Mam tam przyjaciół. A tutaj mam mniej niż zero.

– Nie mówię, że nie chcę wrócić – mówi mój brat. – Tylko że teraz nie możemy wrócić. To niebezpieczne.

– A od kiedy się tego boisz? Chłopie, zmieniłeś się. Kiedyś potrafiłeś powiedzieć całemu światu, żeby się odpierdolił, i bez wahania robiłeś to, na co miałeś ochotę.

– Wcale się nie boję. Ale wolę być tutaj z Brittany. Przychodzi taki dzień, kiedy musisz przestać walczyć z całym światem. Dla mnie nadszedł dwa lata temu. Rozejrzyj się, Carlos. Są inne dziewczyny oprócz Destiny.

– Nie zależy mi na Destiny. Już nie. Jeśli masz na myśli Kiarę, to zapomnij. Nie będę się z nią umawiał. Ta laska chce kontrolować moje życie i obchodzi ją, czy handluję narkotykami albo jestem w gangu. Spójrz na nas, Alex. Siedzimy w

tej popieprzonej herbaciarni razem z bogatymi białasami, którzy widzą tylko i wyłącznie tę swoją fałszywą rzeczywistość i uważają ją za życie. Stałeś się *chido*.

Alex wychyla się do mnie.

– Coś ci powiem, braciszku. Wolę nie oglądać się ciągle za siebie, kiedy idę ulicą. Podoba mi się, że mam *novia*, która nie uważa mnie za śmiecia. I nie żałuję, do diabła, że rzuciłem narkotyki i Latynoską Krew w zamian za szansę na przyzwoite życie.

– Skórę też przefarbujesz, żeby wyglądać jak *gringo*? – pytam. – Chłopie, mam nadzieję, że twoje dzieci będą białe jak Brittany, żebyś nie musiał ich sprzedawać na czarnym rynku.

Mój brat zaczyna się wkurzać jak wszyscy diabli, bo grają mu mięśnie szczęki

– Meksykanin nie musi być biedny – mówi. – A to, że chodzę do college'u, nie oznacza, że wypinam się na swoich rodaków. Może to ty im bardziej szkodzisz, bo utrwalasz negatywny

stereotyp Meksykanina.

Z jękiem odrzucam głowę.

– Utrwalam negatywny stereotyp? Jasna cholera, Alex, nasi rodacy nawet nie wiedzą, co to znaczy.

– Pieprz się – gromi mnie Alex. Odsuwa krzesło i odchodzi.

– I to jest dawny Alex. Takiego znam! Taki język rozumiem – wołam za nim.

Wrzuca kubek do pojemnika na śmieci i idzie dalej. Muszę przyznać, że nie chodzi jeszcze jak *gringo* i wciąż robi wrażenie faceta, który jest gotowy kopnąć w tyłek każdego, kto mu wejdzie w drogę. Ale to tylko kwestia czasu. Lada dzień będzie wyglądał, jakby kij połknął.

Pani Westford podchodzi do stolika i patrzy na moją nietkniętą herbatę.

– Nie smakowała ci?

– Jest w porządku – odpowiadam.

Zerka na puste miejsce.

– Gdzie się podział Alex?

– Wyszedł.

– Aha – mówi, po czym przesuwa puste krzesło i siada obok mnie. – Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie.

– Potrzebujesz mojej rady?

– Nie.

Co mam zrobić? Powiedzieć jej, że jutro zamierzam włamać się do szafki Nicka, żeby znaleźć dowody, że to on mnie wrobił? Przy okazji mogę też poszperać w szafce Madison. Może coś wie, skoro tak bardzo jej zależało, żebym poznał Nicka. Nie mogę się z nikim podzielić tymi podejrzeniami.

– Okej, ale jeśli będziesz potrzebował, daj mi znać. Poczekaj chwilę.

Zabiera nietknięty kubek z herbatą i znika w sklepie. To był szok. *Mi'amá* jest przeciwieństwem pani Westford. Kiedy chce coś doradzić, robi to głośno i dosadnie, obojętnie, czy mam ochotę słuchać, czy nie.

Pani Westford wraca po minucie i stawia przede mną drugi kubek herbaty.

– Spróbuj tej – mówi. – Są w niej uspokajające zioła: rumianek, owoc głogu, czarny bez, melisa i syberyjski żen-szeń.

– Wolałbym zapalić trawkę – żartuję.

Nie śmieje się.

– Wiem, że dla niektórych palenie trawki to nic wielkiego, ale na razie jest nielegalne. – Przesuwa kubek w moją stronę. – Zapewniam cię, że to cię uspokoi. – Odchodząc do innych klientów, dodaje: – I nie wpakuje w kłopoty.

Zaglądam do kubka napełnionego jasnozielonym płynem. Nie wygląda jak zioła, tylko tania herbatka ekspresowa. Rozglądam się na prawo i lewo, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, podnoszę kubek do nosa i wdycham parę.

No dobra, nie pachnie jak tania ekspresowa herbata. Czuję owoce i kwiaty, i coś jeszcze, czego nie potrafię rozpoznać. I chociaż nie znam

tego zapachu, ślina napływa mi do ust.

Podnoszę wzrok i widzę, że w moją stronę idzie Tuck. A obok niego Kiara, ale jej uwaga jest skierowana na faceta, który stoi na środku placu przed centrum handlowym i gra na akordeonie. Wyjmuje z torebki dolara i przyklęka, żeby wrzucić do skrzynki.

Zatrzymuje się, by posłuchać, jak facet gra, a Tuck przysuwa krzesło od innego stolika i siada naprzeciw mnie.

– Kto by pomyślał, że lubisz herbatkę? – mówi. – Wyglądasz raczej na gościa gustującego w tequili i rumie.

– Idź wkurzać kogoś innego.

– Nie mam zamiaru. – Facet, który nie obcinał włosów co najmniej od dziewięciu miesięcy, wyciąga rękę i dotyka tatuażu na moim przedramieniu. – Co to znaczy?

Strącam jego dłoń.

– To znaczy, że jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, kopnę cię w dupę.

Kiara stoi już za krzesłem Tucka. Nie wygląda na zadowoloną.

– À propos kopania w dupę, jak ci minął pierwszy dzień w REACH? – pyta Tuck i szczyrzy zęby. Mam ochotę zwalić go z krzesła.

Kiara chwyta go za rękaw i odciąga od stolika. Gość spada z krzesła.

– Kiara chce cię o coś zapytać, Carlos.

– Nie. Wcale nie – wydusza z siebie Kiara, po czym znowu go łapie i ciągnie do sklepu.

– Właśnie że tak. Spytaj go – upiera się Tuck, zanim oboje znikają w sklepie.

22. Kiara

Wpycham Tucka do środka.

– Przestań – szepczę.

Jesteśmy na zapleczu sklepu, gdzie nikt nas nie słyszy.

– Czemu? – pyta Tuck. – Przecież potrzebujesz gościa, który stanie razem z tobą przed starymi ludźmi. A jemu się przyda coś do roboty, żeby się nie wałęsał i nie liczył przez cały dzień swoich tatuaży. To świetny pomysł.

– Nie, wcale nie.

Podchodzi do nas mama i ściska Tucka.

– O co chodzi?

– Nie mogę pomóc Kiarze na zajęciach plastycznych w piątek, więc chce poprosić Carlosa, żeby mnie zastąpił – wyjaśnia Tuck.

Na usta mamy wypływa wielki uśmiech.

– Och, skarbie, jak to miło, że chcesz go wciągnąć w swoje sprawy. Jesteś naprawdę

wyjatkowa. – Ginę w jej niedźwiedzim uścisku. –
Moja córka jest najlepsza na świecie, prawda?

– Zdecydowanie tak, pani Westford. Najlepsza na świecie.

Tuck zachowuje się wobec moich rodziców jak skończony lizus.

– Kiaro, jak będziecie wychodzić, zabierz Carlosa do domu. Przyjechał z Alekssem, ale chyba się pokłócili czy coś w tym rodzaju. Wychodzę za godzinę, ale muszę odebrać Brandona od kolegi, a tata robi dziś kolację. Aha, jak dotrzesz do domu, to sprawdź, czy to będzie jadalne.

Mama robi nam herbatę, a potem idziemy na dwór i widzę, że Carlos też coś popija – jedną ze specjalnych mieszanek mamy, jak sądzę. Chyba mu smakuje, ale nie mam pewności, bo jego twarz nie wyraża żadnych uczuć.

– Do zobaczenia jutro – mówi Tuck i saltuje papierowym kubkiem.

– O co chciałaś mnie zapytać? – pyta Carlos.

Wydaje się wkurzony.

Czy w piątek wieczorem przebierzesz się w strój kowboja i będziesz pozował jako model przed staruszkami?

– Nic takiego. – Nie mogę wydusić z siebie tych słów.

Mama wychodzi ze sklepu i gawędzi z klientami. Patrzę, jak nawiązuje rozmowę z każdą bez wyjątku osobą, jakby z wszystkimi się przyjaźniła. Kiedy dociera do naszego stolika, pochyla się, żeby sprawdzić, czy pijemy herbatę.

– Widzę, że ci smakuje – mówi do Carlosa. Moja mama jest taka dumna ze swoich mieszanek, że kiedy uda jej się zadowolić gust wybrednego klienta, czuje się, jakby wygrała na loterii. – Podobno Kiara chce cię poprosić, żebyś pozował w piątek w domu opieki. Rozerwiesz się trochę.

Carlos rzuca mi spojrzenie z rodzaju „o czym ona, do diabła, mówi?”

– Chcesz jeszcze herbaty? – pyta go mama.

– Nie, dzięki.

– Kiara zabierze cię do domu. Prawda, skarbie?

– Tak. Chodźmy już – mówię, zanim mama coś jeszcze chlapnie.

Gdy jesteśmy przy samochodzie, Carlos ciągnie za klamkę.

– Musisz wsiąść przez okno.

– Żartujesz sobie?

Kręcę głową.

– Nie żartuję. – Mam zamiar naprawić drzwi, kiedy uporam się z zegarem i radiem.

Carlos z łatwością wdrapuje się do samochodu, najpierw lądują jego stopy, a potem całe ciało wślizguje się na winylowy fotel. Żałuję, że nie działa ani radio, ani stary magnetofon, bo wydaje mi się, że po pięciu minutach jazdy w całkowitym milczeniu Carlos zaczyna się irytować.

Kręci się w fotelu.

– O co chodzi z tym pozowaniem?

– Prowadzę w piątki zajęcia plastyczne w domu opieki. Potrzebuję modelu. Nie musisz tego robić. Nie miałam zamiaru cię prosić.

– Czemu nie?

Stajemy przed stopem, więc odwracam się do niego i mówię prawdę:

– Bo musiałbyś pozować ze mną, a wiedziałam, że nie będziesz chciał.

agnieszka

23. Carlos

Już łapię. Woli nie pozować z facetem, którego przyskrzynili za narkotyki.

– Mogę przyprowadzić Madison – mówię aroganckim tonem, który zwykle gra jej na nerwach. – Nie odmówiłaby pozowania ze mną. Zresztą przypomniało mi się, że zaprosiła mnie w piątek do domu, więc nie mam czasu na twoją malarską imprezkę.

– Nie wiem, co ty w niej widzisz.

– O wiele więcej niż w tobie – kłamię, żeby ją zrazić. Prawda jest taka, że nic mnie nie pociąga w Madison. Od czasu, jak puściła pawia na imprezie, unikam jej, jak się da, ale ponieważ jest na liście osób, które mogły mnie zrobić, muszę się do niej zbliżyć. Nie mam zamiaru wtajemniczać w to Kiary. Do diabła, nie powinna wiedzieć, że myślę o niej i jej ciasteczkach aż za często.

Pod domem Kiara jak burza wysiada z auta.

Kiedy później robię sobie w kuchni przekąskę, patrzę, jak kroi warzywa. Ciekawe, czy nie wyobraża sobie mojej głowy wśród tych marchewek.

– Cześć, Carlos – mówi profesor, wchodząc do kuchni. – Jak było w REACH?

– Do bani.

– Coś więcej? – pyta mój opiekun.

– Było naprawdę do bani – dodaję, a z każdego słowa kapie sarkazm.

– Masz niesłychanie bogate słownictwo – stwierdza profesor. – Dziś po kolacji potrzebuję waszej pomocy.

– Co mamy robić? – pytam.

– Wyrywać chwasty.

– Czy wy, bogacze, nie macie ogrodników?

Odpowiedź brzmi „nie”, bo po kolacji Westford daje nam duże papierowe torby i odprowadza do ogrodu.

Rzuca mnie i Kiarze płócienne rękawice.

– Ja będę wyrywał w szczycie domu, a ty, Kiara, zajmij się z Carlosem tyłami.

– Tatusiu! – krzyczy Brandon od drzwi werandy. – Carlos powiedział, że zagra dziś ze mną w nogę.

– Przepraszam, Bran, ale Carlos musi mi pomóc wyrywać chwasty w ogrodzie – zwraca się Westford do syna.

– Ty też możesz pomóc – mówi Kiara do brata, a ten wydaje się zachwycony tą perspektywą.

Pamiętam, że kiedy byłem młodszy, Alex też mnie prosił, żebym mu pomagał w porządkowaniu ogrodu. Zawsze się starał, żebym się czuł użyteczny.

– Hej, Brandon, mnie też się przyda twoja pomoc – mówię. – Jak skończymy, to z tobą pogram.

– Naprawdę? – pyta dzieciak.

– Tak. Pilnuj, żeby worek był szeroko otwarty, to chwasty nie będą się wysypywać obok, jak będę je wyrzucał.

Podbiega do worka i otwiera go.

– Tak dobrze?

– Tak.

Kiara przesuwa się już na czworakach, wrywając chwasty i wrzucając je do drugiego worka. Nie wyobrażam sobie Madison klęczącej na ziemi i zajętej pracą w ogródku. Nie wyobrażam sobie też, żeby mogła jeździć staroświeckim samochodem, w którym nie otwierają się drzwi po stronie pasażera.

– Jesteś za wolny – zauważa Brandon. – Założę się, że Kiara ma w worku więcej chwastów niż ty. – Chłopiec podbiega do worka Kiary i sprawdza jego zawartość. – Kiara wygrywa.

– Niedoczekanie.

Chwytam garść zielska i wrywam z ziemi. Jakies kolce kłują mnie przez rękawiczki, ale nie zwracam na to uwagi.

Oglądam się na Kiarę, która pracuje teraz szybciej niż przed chwilą. Wyraźnie lubi rywalizację.

– Gotowe! – wykrzykuje, stojąc po lewej stronie ogrodu i ściągając rękawiczki gestem zwycięzcy. Podnosi Brandona i obraca dookoła, aż oboje padają ze śmiechem na trawnik.

– Lepiej uważaj, Kiara – wołam do niej. – Zaczyna wyłazić twój prawdziwy charakter.

Brandon jest odwrócony plecami, więc Kiara pokazuje mi środkowy palec i odchodzi do samochodu.

Wyraźnie załazłem jej za skórę.

– Teraz możemy pograć w nogę! Stań na bramce – mówi Brandon i pokazuje mi niedużą siatkę rozstawioną w ogrodzie. – Pamiętaj, że jak strzelę ci gola, to pobawisz się ze mną w G.I. Joe.

Staję na bramce, a Brandon próbuje strzelić gola. Niech się trochę pomęczy. Po którejś kolejnej próbie jest spocony i ciężko dyszy, ale się nie poddaje, chociaż to beznadziejna sprawa.

– Tym razem mi się uda – mówi po raz pięćdziesiąty. Pokazuje na coś za moimi plecami. – O, zobacz, co tam jest!

– To sztuczka stara jak świat, chłopie.

Doceniam jego próbę przechytrzenia mnie, ale nie ze mną takie numery.

– No naprawdę. Zobacz! – wykrzykuje Brandon.

Jest przekonujący, ale i tak nie odrywam oczu od piłki. Wolę cały dzień blokować jego strzały, niż bawić się lalkami.

Kopie piłkę, znowu bronie.

– Przepraszam, chłopie.

– Brandon, czas na kąpiel – woła pani Westford z patio.

– Jeszcze kilka strzałów, mamó. Proszę.

Pani Westford patrzy na zegarek.

– Dwa, a potem do mycia. Carlos na pewno ma lekcje.

Po dwóch kolejnych nieudanych próbach mówię Brandonowi, żeby się poddał. Biegnie w podskokach do domu. Ma dobrą koordynację. Ciekawe, w jakim wieku chłopcy załapują, że nie powinni podskakiwać. W drodze do swojego

pokoju mijam jadalnię. Kiara siedzi przy dużym stole zakopana w stercie grubych podręczników.

Kosmyki włosów uciekły z końskiego ogona i opadają na twarz. Zastanawiam się, jak by wyglądała z rozpuszczonymi włosami.

Podnosi wzrok, po czym szybko opuszcza głowę.

– Powinnaś nosić rozpuszczone włosy – mówię. – Byłabyś wtedy bardziej podobna do Madison.

Znowu pokazuje mi palec.

Wybucham śmiechem.

– Uważaj – ostrzegam ją. – Podobno w niektórych krajach obcinają za to palec.

Po dwóch dniach włamuję się do szafek Nicka i Madison, używając do tego ciasteczkowych magnesów Kiary (bez ciasteczek) i małego śrubokrętu, który wziąłem z jej samochodu. W połowie trzeciej lekcji proszę o zgodę na pójście

do toalety i idę przeszukać szafkę Madison. W torbie na książki ma podręczniki, przybory do makijażu i stertę liścików od Lacey i innych dziewczyn. Mam szczęście, bo w bocznej kieszeni zostawiła telefon komórkowy. Idę z nim do toalety i przeglądam esemesy, kalendarz i listę kontaktów. Nie ma tam nic nadzwyczajnego, ale w piątek po szkole dzwoniła do Nicka tyle razy, że nie starczyłoby palców obu rąk, żeby to zliczyć.

Odkładam telefon na miejsce i idę do klasy.

Pozostaje Nick. Widzę go przelotnie na szkolnych korytarzach i namierzyłem już jego szafkę, ale nie mam z gościem żadnych lekcji. W czasie lunchu na korytarzu kręci się pełno ludzi, ale tuż po nim przemykam się do szafek i znowu robię użytek z magnesu i śrubokrętu.

W szafce Nicka jest niezły burdel. W plecaku ma pełno karteczek z imionami i dziwnymi numerami. Prawdopodobnie to jego klienci i dostawcy, ale wszystko jest zapisane jakimś

głupim szyfrem.

Za długo tu sterczę. Ale czuję, że jestem blisko, jakby Paco albo *papá* prowadzili mnie do celu. Ryję w plecaku Nicka. Mam nadzieję, że znajdę jego telefon albo inny dowód, że ma coś wspólnego z moim aresztowaniem. Natrafiam tylko na sterty świstków.

Ktoś wchodzi po schodach. Słyszę zbliżające się kroki. Jeśli to dyrektor, to trafię do paki. Jeśli Nick, dojdzie do bójki. Szybko przerzucam karteczki, aż... nareszcie, mam.

To skrawek papieru bez szyfrowego zapisu. Czyjeś nazwisko... Znam je aż za dobrze... Wes Devlin, narkotykowy baron, który ma ściśle powiązania z *Guerreros del barrio*. Pod nazwiskiem jest numer telefonu.

Wciskam kartkę do kieszeni i zamykam szafkę w samą porę.

Niech Nick lepiej uważa, bo wkrótce złożę mu wizytę... którą zapamięta do końca życia.

24. Kiara

W środę po szkole myję samochód na podjeździe, kiedy Alex podrzuca Carlosa po zajęciach w ośrodku REACH. Alex podchodzi do mnie i bierze zapasową gąbkę.

– Twój tata powiedział, że masz jakiś problem z radiem, chociaż włożyłem sprężynę.

– Tak. – Kocham moje auto, ale... – Jest doskonale niedoskonałe.

– Dobre określenie. Pasuje do niektórych ludzi. – Alex zagląda do środka. – Samochód Brittany jest szybki, ale ten ma charakter. – Siada na jednym z przednich foteli. – Mógłbym się do niego przyzwyczaić. Jakiś klient chce sprzedać monte carlo rocznik siedemdziesiąty trzeci. Zastanawiam się, czy go nie kupić. Czy Carlos ci mówił, że w Chicago pracował w warsztacie samochodowym naszego kuzyna?

– Nie.

– Dziwne. Carlos ciągle przesiadywał u Enrique. Uwielbia naprawiać samochody, chyba bardziej niż ja.

– Nie masz nic do roboty? – pyta Carlos. Przez cały czas stał oparty o garaż. Wiem o tym, bo kiedy jest w pobliżu, wyczuwam jego obecność.

Unikam go od poniedziałku, co wychodzi nam na dobre.

Chwilę później Alex odjeżdża, a Carlos do mnie podchodzi.

– Pomóc ci?

Kręcę głową.

– Nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz? Do licha, Kiara, dosyć już tych cichych dni. Już wolę twoje oszczędne zdania niż milczenie. Do diabła, pokaż mi chociaż palec.

Rzucam plecak na tylne siedzenie i odpalam silnik.

– Dokąd jedziesz? – pyta i staje przed maską.

Trąbię klaksonem.

– Nie odejdę – mówi.

Trąbię po raz drugi. Nie jest to długi, odstraszaający odgłos, jaki wydaje większość samochodów, ale moje auto może się zdobyć tylko na tyle.

Opiera dłonie na masce.

– Odejdź.

Odchodzi, ale z szybkością pantery wskakuje przez otwarte okno na siedzenie pasażera, wsuwając najpierw stopy.

– Powinnaś naprawić te drzwi.

Wygląda na to, że wybiera się ze mną na przejażdżkę. Skręcam na drogę do kanionu Boulder. Wiatr wlatuje przez otwarte okna, świeże powietrze omiata mi twarz, a koński ogon obija się o kark.

– Mogę naprawić te drzwi – mówi do mnie Carlos. Wystawia rękę za okno i przepuszcza wiatr przez palce.

Jadę w milczeniu w górę ulicy Boulder Canyon, pochłaniając wzrokiem krajobraz. Można by pomyśleć, że skoro człowiek mieszka

tu tak długo, to uodpornił się na jego piękno, ale mnie to nie dotyczy. Od dawna jestem zafascynowana górami i odczuwam dziwny spokój, gdy na nie patrzę.

Parkuję przy Kopule. Czasami chodzę tu z Tuckiem na górskie wędrówki. Sięgam po plecak i wysiadam z samochodu.

Carlos wystawia głowę przez okno.

– Przypuszczam, że to nie jest cel twojej wyprawy.

– Zgaduj dalej – odpowiadam nie bez satysfakcji.

Wsuwam plecak na ramiona i zaczynam iść w stronę mostu nad Boulder Creek.

– Hej, *chica* – woła za mną.

Idę dalej, kierując się do mojego sanktuarium w górach.

– ¡*Carajo!*

Nie odwracam się, ale po odgłosach, które wydaje, i hiszpańskich przekleństwach, które płyną z jego ust, mogę się domyślić, że próbuje

otworzyć drzwi. Bez powodzenia. W końcu wysiada przez okno i upada na prowizoryczny parking wysypany żwirem. Znowu przeklina.

– Kiara, do cholery, zaczekaj!

Jestem już u podnóża góry, na początku szlaku, którym często chodzę.

– Gdzie my, do diabła, jesteśmy? – pyta.

Pokazuję na znak i ruszam w stronę dużych skał.

Próbuje mnie dogonić, ale ślizga się na kamieniach. Jesteśmy na szlaku, ale za chwilę z niego zejść i ruszę swoją prywatną ścieżką. Carlos nie ma odpowiednich butów.

– Masz poważne problemy, *chica* – burczy.

Nie zatrzymuję się. Kiedy jestem w połowie drogi do celu, przystaję i wydaję z plecaka butelkę wody. Nie jest zbyt gorąco i przywykłam do wysokości, ale widywałam już tutaj odwodnionych ludzi. Nieprzyjemny widok.

– Proszę – mówię i podaję mu butelkę.

– Żarty sobie robisz? Pewnie ją zatrzymałaś.

Biorę duży łyk i znowu podaję mu wodę. Zgrywa się, przecierając otwór butelki wierzchem koszulki, jakbym miała wszy. Dopiero potem wypija duży łyk.

Kiedy oddaje mi butelkę, odstawiam jeszcze lepszą scenę, starannie ścierając jego zarazki wierzchem koszulki. Chyba się śmieje. A może tylko dyszy ciężko od wspinaczki.

Ruszam dalej, a Carlos sapie i dyszy.

– To cię bawi? Bo dla mnie to zdecydowanie nie jest najlepszy sposób spędzania czasu.

Nie zwalniam kroku. Carlos przeklina przy każdym poślizgnięciu. Gdyby skoncentrował się na wspinaczce, szło by mu się lepiej, ale on cały czas papie.

– Mówiłem ci, jak mnie to wkurza, że w ogóle się do mnie nie odzywasz? Jesteś jak niemowa, która nie zna języka migowego. Mówię poważnie, to mnie denerwuje jak wszyscy diabli. Nie sądzisz, że i bez tego mam dosyć na głowie, bo mnie wrobili, aresztowali i muszę chodzić do

tego głupiego ośrodka REACH?

Docieram do miejsca, gdzie trzeba przejść po małej półce skalnej, przytrzymując się skalnego nawisu. Jestem zabezpieczona i nawet gdybym spadła, to do dołu jest tylko niecały metr.

– Robisz sobie bekę? – pyta i idzie za mną, bo w tym momencie raczej już nie ma wyboru. – Czy idziemy do jakiegoś celu, czy po prostu kręcimy się bez sensu, aż się poślizgnę i spadnę w przepaść?

Po sforsowaniu dużej skały, która osłania moje miejsce przed innymi wędrowcami, przystaję na otwartej polanie z dużym samotnym drzewem. Trafiłam tu kilka lat temu, kiedy musiałam się gdzieś ukryć, żeby spokojnie pomyśleć. Od tamtego czasu często tu przychodzę. Robię lekcje, rysuję, słucham śpiewu ptaków i wdycham świeże górskie powietrze.

Siadam na płaskiej skale, otwieram plecak i stawiam obok siebie butelkę wody. Otwieram

książkę do matematyki i zaczynam odrabiać zadanie domowe.

– Uczysz się?

– Uhm.

– A co ja mam robić?

Wzruszam ramionami.

– Podziwiaj widoki.

Szybko patrzy w lewo i w prawo.

– Nic nie widzę, tylko skały i drzewa.

– Nic dziwnego.

– Daj mi kluczyki – żąda. – I to zaraz.

Nie zwracam na niego uwagi.

Słyszę, jak sapie i wzdycha. Ma nade mną przewagę fizyczną. Mógłby zabrać mój plecak i wziąć sobie kluczyki. Ale nie robi tego.

Wlepiam wzrok w książkę i przerabiam równania, zgrzytając ołówkiem po papierze.

Carlos bierze głęboki oddech.

– Okej, przepraszam. *Perdón*. Madison i ja to już historia i wolę pozować z tobą, niż kręcić z nią. Ło! pobyt na łonie natury przywrócił mi

wiarę w ludzkość i uczynił ze mnie lepszego człowieka. Teraz jesteś zadowolona?

agnesa

25. Carlos

Kiara zamyka książkę, podnosi na mnie wzrok i sięga do plecaka. Rzuca mi kluczyki od samochodu. Łapię jedną ręką.

– Ty tu zostajesz?

– Tak – pada odpowiedź.

– Ja wracam – ostrzegam ją.

– No to idź. – Macha ręką.

Mam zamiar. Nie będę przecież czekał, aż się nauczy. Jestem zgrzany, spocony i maksymalnie wkurzony. I obmyślam zemstę. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to zabrać jej samochód i oddać bez kropli paliwa w baku.

Wciskam kluczyki do tylnej kieszeni spodni i zaczynam schodzić. Ślizgam się kilka razy i upadam na tyłek. Rano będę miał siniaki, i to przez Kiare.

Odczuwam niejasne współczucie dla tego kolesia Tucka, że musi się z nią zadawać, ale

dochodzę do wniosku, że są siebie warci. Moje myśli wędrują do Destiny. Gdyby to ona była sama na tej górze, nie spuściłbym jej z oczu. Odgrywałbym rycerza w lśniącej zbroi. Do diabła, wniósłbym ją nawet na tę górę na własnym grzbiecie, gdyby tego chciała.

Ale chociaż Kiara nie jest moją dziewczyną i nigdy nie będzie, nie mogę jej tu zostawić. A jeśli zaatakuje ją jakiś zabłąkany niedźwiedź? Czy naprawdę sądziła, że sobie pójdę? Może chciała tylko sprawdzić, czy jestem przyzwoitym facetem?

No to nie ma szczęścia, bo nie jestem przyzwoitym facetem.

Ześlizguję się w dół zbocza. Kiedy myślę, że już znalazłem ścieżkę, natrafiam na ślepą drogą zamkniętą cholernym wielkim kamlotem.

Biorę kamlot i odrzucam go. Potem następny. I jeszcze jeden. Słyszę echo uderzeń kamieni o skały w dole, a moja złość trochę słabnie.

Zdejmuję koszulkę, wycieram nią pot z czoła i

zatykam za tył dzinsów.

Już nie jestem Meksykaninem, to pewne. Nikt z moich znajomych nie wałęsałby się po tych popieprzonych górach tylko po to, żeby się uczyć. Gdyby chodziło o to, żeby się naćpać albo wypić coś mocniejszego, to mógłbym zrozumieć ten cyrk.

Z impetem wchodzę z powrotem na górę, przeklinając ślizgające się buty, a przy okazji też Aleksa, *mi'amá* i Kiarę oraz prawie każdego, kogo znam.

– Jesteś *loco, chica* – wołam, kiedy przechodzę ponad skałą do jej miejsca odosobnienia. – Naprawdę myślałaś, że wlokłem się tu za tobą tylko po to, żeby złapać kluczyki od twojego samochodu i odjechać?

– Nie prosiłam, żebyś za mną szedł.

– A miałem wybór?

– Oboje mamy w-w-wolną wolę.

– Tak, rzeczywiście. Nie mam wolnej woli, odkąd wsiadłem do samolotu lecącego do

Kolorado.

Siadam na ziemi twarzą do niej. Kiara nie przerywa robienia notatek. Przyszliśmy tu razem i zejdziemy na dół razem. Nie podoba mi się to, ale w tym momencie nie widzę innej opcji. Co jakiś czas podnosi wzrok i łapie utkwione w niej spojrzenie. Tak, jasne, że robię to po to, żeby ją zdenerwować. Może za chwilę wkurzy się na tyle, żeby spakować manatki i zejść na dół.

Po pięciu minutach wiem, że moja taktyka się nie sprawdza.

Pora ją zmienić.

– Chcesz się całować?

– Z kim? – pyta, nie podnosząc nawet wzroku.

– Ze mną.

Podnosi głowę znad książki i rzuca mi szybkie spojrzenie.

– Nie, dzięki – mówi i wraca do przerwanej pracy.

Co to za pierdolone gierki!

Bo przecież pogrywa sobie ze mną, no nie?

– Z powodu tego *pendejo* Tucka?

– Nie. Dlatego że nie chcę resztek po Madison.

No zaraz. *Un. Momento*. Różnie mnie już nazywali, ale...

– Nazywasz mnie resztkami?

– Tak. Poza tym Tuck świetnie całuje. Czułbyś się niezręcznie, bo nie jesteś w stanie z nim konkurować.

Przecież ten facet nawet nie ma porządných ust.

– Założysz się?

Różnie można mnie nazywać, ale nie resztkami. Kiedy przeprowadziliśmy się do Meksyku i Destiny ze mną zerwała, umawiałem się z jedną dziewczyną po drugiej. Do diabła, mógłbym napisać podręcznik całowania *chicas*, gdybym chciał.

Pochyliam się w stronę Kiary i czuję małą satysfakcję, gdy wstrzymuje oddech, a ołówek w jej dłoni nieruchomieje. Zbliżam wargi do

wgłębienia tuż pod jej prawym uchem. Kiara ani drgnie. Wyciągam lewą rękę i dotykam kciukiem wrażliwego miejsca pod jej lewym uchem, a moje usta są tuż przy jej szyi. Musi czuć mój gorący oddech na nagiej skórze.

Przechyla odrobinę głowę, dając mi lepszy dostęp. Nie wiem, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, że to robi. Ani drgnę. Wydaje ledwie słyszalny jęk, ale nie odpuszczam. Wiem, że ją kręcę. Podoba jej się to. I chce więcej. Ale powstrzymuję się... resztki, głównie prawda.

Problem w tym, że zaskakuje mnie zapach Kiary. Dziewczyny pachną na ogół kwiatami i wanilią, ale Kiara ma słodki zapach malin, który mnie zupełnie rozwala. I chociaż mój umysł wie, że przystawiam się do niej tylko po to, żeby coś udowodnić, to ciało ma ochotę pobawić się „w lekarza”.

– M-m-możesz się p-p-przesunąć? – Próbuje ukryć podniecenie moją bliskością, ale słowa ją zdradzają. – Muszę pracować. Zasłaniasz mi

słońce – dodaje szeptem. Domyślam się, że się nie jąka, kiedy mówi szeptem.

– Jesteśmy w cieniu, pod drzewem – mówię, ale się odsuwam, bo muszę ochłoniąć, żeby nie stracić kontroli.

Opieram się o skałę. Jej ostre krawędzie wpijają mi się w nagą skórę. Zginam nogę w kolanie i przybieram swobodną pozę, chociaż wcale nie czuję się odprężony. Próbuję dojść do siebie, a Kiara wciąż siedzi pod tym cholernym drzewem i odrabia lekcje. Nie jest spocona i nie wydaje się ani trochę spięta. Nie wiem, czy mi gorąco z powodu tego, co przed chwilą między nami zaszło, czy przez to, do czego nie doszło. A może to wina pogody. Pochodzę z Meksyku i niby powinienem być przyzwyczajony do upału, ale urodziłem się w Chicago i właśnie tam spędziłem większość życia. Lato w Chicago jest wilgotne i gorące, ale trwa tylko dwa miesiące.

W środku wszystko mi wariuje. Serce wali jak dzikie, a powietrze, odkąd pochyliłem się na

Kiarą, wydaje się strzelać energią.

Co to ma znaczyć? Chyba wysokość rzuca mi się na głowę. Muszę szybko zmienić temat i skierować rozmowę na coś, co nie ma żadnego związku z seksem.

– O co chodzi z tym jękaniem? – pytam.

agnieszka

26. Kiara

Mój ołówek zawisa w powietrzu. Próbuję się skoncentrować nad równaniami, ale nie mogę skupić spojrzenia. Do tej pory jedynymi osobami, które wypytywały mnie o jąkanie, byli logopedzi. Nie mam gotowej odpowiedzi, zwłaszcza że sama nie wiem, dlaczego się jąkam. To moja natura, taka się urodziłam i taka jestem od dziecka.

Zanim Carlos zapytał o jąkanie, byłam w stanie myśleć tylko o niedoszłym pocałunku. Jego gorący oddech parzył mi skórę i sprawiał, że żołądek wywijał koziółki. Carlos chciał mi tylko dokuczyć. Ja to wiem i on to wie. I chociaż pragnęłam rozpaczliwie odwrócić głowę i poczuć jego usta na swoich, wolałam uniknąć upokorzenia.

Ładuję rzeczy do plecaka, zakładam go na ramiona i zaczynam schodzić ze zbocza.

Idę szybko, mając nadzieję, że zostanie daleko w tyle, że będzie musiał się skupić, żeby mnie dogonić, i przestanie zadawać pytania. Popełniłam ogromny błąd, zabierając go tutaj. To było impulsywne i głupie. A najgorsze, że zanim zapytał mnie o jąkanie, najbardziej na świecie pragnęłam go pocałować – i to mnie zupełnie zaskoczyło.

Przechodzę przez mostek nad Boulder Creek i idę do samochodu. Sięgam do plecaka po kluczyki i wtedy sobie przypominam, że ma je Carlos. Wyciągam rękę.

Nie oddaje mi kluczyków, tylko opiera się o samochód.

– Zawrzyjmy umowę.

– Nie zawieram umów.

– Każdy to robi, Kiara. Nawet mądre dziewczyny, które się jąkają.

Nie mogę uwierzyć, że znowu o tym mówi. Odwracam się i ruszam do domu piechotą. Carlos wyjeżdża samochodem z miejsca

parkingowego, bo odholują auto, jeśli zostanie tu na noc.

Znowu przeklina.

– Chodź tutaj.

Idę przed siebie.

Słyszę chrzęst opon po żwirze. Carlos do mnie podjeżdża. Zdążył włożyć koszulę. To dobrze, bo kiedy jest na pół nagi, nie mogę się skupić.

– Wsiadaj, Kiara.

Idę wciąż przed siebie, więc znowu do mnie podjeżdża.

– Spowodujesz wypadek.

– Nie widzisz, że mam to gdzieś?

Odwracam głowę w jego stronę.

– Ale ja nie mam. Bardzo lubię swój samochód.

Ktoś na niego trąbi. Nie przejmuje się tym i dalej jedzie wolno obok mnie. Na pierwszym łuku wyprzedza mnie z piskiem opon i przecina drogę.

– Nie przeginaj – mówi. – Jeśli zaraz nie

wsiądziesz, sam zapakuję cię do auta. – Mierzmy się wzrokiem. Widzę, że mięśnie szczęki drgają mu z determinacją. – Jeśli wsiądziesz, umyję ci samochód.

– Właśnie go umyłam.

– To będę przez tydzień wykonywał twoje obowiązki w domu.

– Nie... nie przeszkadzają mi – odpowiadam.

– No to dam sobie wpuścić gola i pobawię się z twoim bratem żołnierzykami.

Brandon codziennie próbuje strzelić Carlosowi gola, ale bez powodzenia. Mój braciszek będzie w siódmym niebie, jeśli go w końcu pokona.

– Dobrze – mówię. – Ale ja prowadzę.

Przechodzi nad konsolą i wskakuje na miejsce dla pasażera, a ja siadam za kółkiem. Zerkam na niego. Patrzy z triumfalnym wyrazem twarzy.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – Wcale mnie nie dziwi, że nie czeka, aż odpowiem, tylko brnie dalej: – Robisz z

wszystkiego wielkie halo. Na przykład z całowania. Pewnie myślisz, że jak kogoś pocałujesz, będzie to miało epokowe znaczenie.

– Nie całuję się z ludźmi dla rozrywki, tak jak ty.

– Czemu nie? Kiara, czy nikt ci nigdy nie mówił, że w życiu liczy się zabawa?

– Bawię się w inny sposób.

– Akurat – mówi z zupełnym niedowierzaniem. – Palilaś kiedyś trawkę?

Kręcę głową.

– Brałaś ecstasy?

Unoszę górną wargę z obrzydzeniem.

– A ostry seks na szczycie góry? – zadaje kolejne pytanie.

– Masz wypaczone pojęcie zabawy, Carlos.

Kręci głową.

– Okej, *chica*. To co uważasz za zabawę? Chodzenie po górach? Odrabianie lekcji? Znoszenie, jak Madison wyśmiewa cię przy całej klasie? Słyszałem o tym.

Z piskiem opon zjeżdżam na pobocze i staję.

– Myślisz, że takim chamskim zachowaniem... p-p-pokażesz... – wpadam w pułapkę słów. Przełykam, biorę głęboki oddech. Nie mogę wypowiedzieć słów. Mam nadzieję, że nie zauważy mojej paniki i frustracji. Wiem, gdy to nadchodzi, ale nie mogę nic zrobić. – ... jakim jesteś twardzielem.

– Wcale nie chcę być twardzielem, Kiara. Nie rozgryłaś mnie. Mam inny cel. Chcę być dupkiem – mówi i posyła mi wielki arogancki uśmiech.

Kręcę głową ze złością i wyjeżdżam na drogę. Kiedy docieramy do domu, tata bawi się z Brandonem w ogrodzie.

– Gdzie byliście?

– Kiara zabrała mnie w góry. Prawda, K.?

– Żeby nabrać wprawy? – pyta mnie tata, a potem wyjaśnia Carlosowi: – Wybieramy się całą rodziną na kemping.

– Dick, nie chodzę po górach i nie lubię

kempingów.

– Ale gra w nogę. – Przechyliłam głowę z uśmiechem. – Jeśli się nie mylę, mówiłeś, że nie możesz się doczekać, żeby pograć z Brandonem?

– O mały włos zapomniałem – mówi Carlos, a arogancki uśmiech znika.

– To świetnie – oznajmia tata i klepie Carlosa w plecy. – To dla niego dużo znaczy. Bran, chodź pograć z Carlosem w nogę.

Patrzemy na Brandona. Śpieszy się, żeby strzelić gola.

– Super! Carlos, dzisiaj z tobą wygram.

– Nie licz na to, *muchacho*.

Carlos kopie piłkę i zaczyna odbijać ją od kolan jak zawodowy piłkarz. Wbrew temu, co wcześniej mówił, musiał dużo grać.

– Trenowałem z tatą – woła Bran. – Poradzę sobie z tobą.

Z treningiem czy bez, mój braciszek nie ma szans z Carlosem, o ile ten nie pozwoli mu wygrać. Nie mogę się doczekać tej chwili

triumfu Brandona, kiedy puści piłkę obok Carlosa i strzeli gola. Siedzę na werandzie i patrzę, jak się rozgrzewają.

– Nie masz nic do roboty? Jakichś lekcji? – pyta Carlos.

Kręcę głową.

Wyraźnie próbuje rzucić mi wyzwanie. Prowadzimy gierkę o to, kto będzie górą.

– Zdaje się, że przepuściłaś jakieś chwasty.

– Kiara, chodź z nami pograć! – krzyczy Brandon.

– Jest zajęta – mówi Carlos.

Brandon patrzy na mnie skołowany.

– Przecież siedzi i się gapi. Nic nie robi.

Carlos stoi z piłką pod ramieniem.

– Popatrzę sobie – odpowiadam.

– No chodź – Brandon podbiega do mnie. Ciągnie mnie za rękę, aż muszę wstać. – Pograj z nami.

– Może nie umie grać – mówi Carlos do mojego brata.

– No co ty? Umie. Daj jej piłkę.

Carlos kopie piłkę w powietrze. Przyjmuję ją na kolana, podbijam i podaję do niego głową. Carlos oniemiał. Jest pod wrażeniem. Mam swój moment chwały, więc strzepują z ramion niewidzialne pyłki.

– Co za niespodzianka, Kiara umie grać – mówi Carlos i ustawia się na bramce. – Zaskakujesz mnie. Zobaczymy, czy uda ci się strzelić gola.

Kopie do mnie piłkę, podaję Brandonowi, on podaje do mnie. Z całej siły uderzam na bramkę.

Okej, wcale nie jestem zaskoczona, że Carlos z łatwością broni. Teraz to on strzepuje z ramion niewidzialne pyłki. Żałuję, że nie udało mi się go przechytrzyć.

– Masz ochotę na powtórkę? – pyta.

– Może innym razem – odpowiadam. I nie jestem pewna, czy mówię o niedoszłym pocałunku, czy o piłce nożnej.

Brwi Carlosa szybują w górę. Dociera do niego

podwójne znaczenie moich słów.

– Nie mogę się doczekać.

– Moja kolej! – krzyczy Brandon.

Carlos ustawia się przed bramką, pochyla i koncentruje.

– Masz trzy szanse, ale pogódź się z faktami, Brandon. Po prostu nie jesteś dość dobry.

Mój brat wysuwa koniuszek języka. Jest bardzo skoncentrowany i chce wygrać. Jestem pewna, że kiedy podrośnie, będzie miał szansę pokonać Carlosa.

Brandon ustawia piłkę i cofa się o pięć kroków, odliczając. Klęka jak golfista określający linię strzału. Czy Carlos pozwoli mu wygrać? Nie potwierdził w żaden sposób, że nasza umowa obowiązuje, i wydaje się zdecydowany obronić strzał brata.

– Daj sobie spokój, *cachorro*. Nie uda ci się strzelić mi gola. Będiesz mnie nazywał Niepokonanym Bramkarzem... jedynym i niepowtarzalnym Carlosem Fuentesem!

Przez te docinki mój brat wydaje się jeszcze bardziej zdeterminowany. Zaciska usta i zwiija dłonie w pięści. Kopie z całej siły, na jaką stać sześciolatek, i nawet wydaje jęk, gdy jego stopa dotyka piłki. A ta wzbija się w powietrze i leci.

Carlos wyskakuje do góry, żeby ją złapać...

I chybia o centymetr. Mało tego, upada na ziemię i przewraca się na plecy.

Nigdy w życiu nie widziałam wyrazu takiego triumfu na twarzy brata.

– Jest! – krzyczy. – Jest! I to za pierwszym razem! – Podbiega do mnie i przybija piątkę, a potem wskakuje Carlosowi na plecy. – Udało się! Udało się!

Carlos jęczy.

– Słyszałeś kiedyś o goryczy zwycięstwa?

– Nie. – Brandon schyla się do ucha Carlosa. – To znaczy, że musisz się ze mną pobawić żołnierzykami!

– Możemy zagrać rewanż? – pyta Carlos. – Dwa do trzech. Albo trzy do pięciu.

– Nie ma mowy, José.

– Mam na imię Carlos, a nie José. – Ale Brandon już nie słucha. Biegnie do domu powiedziec rodzicom, że pokonał Carlosa.

A ten wciąż leży na ziemi. Klękam obok niego.

– Czego chcesz? – pyta.

– Podziękować.

– Za co?

– Że dotrzymałeś swojej części umowy i pozwoliłeś Brandonowi wygrać. Na ogół bardzo się starasz, żeby być dupkiem, ale masz potencjał.

– Do czego?

Wzruszam ramionami.

– Żeby być przyzwoitym człowiekiem.

27. Carlos

Po kolacji wyjmuję telefon z szuflady i dzwonię do Luisa i *mi'amá*.

– *¿Te estás ocupando de mamá?* – pytam młodszego brata.

– *Sí*. Opiekuję się nią.

Głośne walenie w drzwi przypomina mi, że po południu przegrałem rywalizację.

– Czas na G.I. Joe, Carlos! – dobiega głos Brandona.

– *¿Quién es ése?*

– Mały dzieciak, który tu mieszka. Czasami przypomina mi ciebie.

– Jest taki grzeczny, co? – mówi Luis i się śmieje. – Co u Aleksa?

– *Alex es buena gente*. Jest taki, jak był.

– *Ma* powiedziała, że masz kłopoty.

– *Sí*, ale wszystko będzie dobrze.

– Mam nadzieję. Bo oszczędza, żeby

przyjechać w zimie do Kolorado. Powiedziała, że jak będę grzeczny, to też pojedę. *Podemos volver a ser familia, Carlos*. Będzie super, no nie?

Tak, byłoby super, gdybyśmy znowu mogli być rodziną. Dla Luisa rodzina w komplecie to nasza czwórka – ja, *mamá*, Alex i Luis. Nasz *papá* zginął, zanim Luis nauczył się mówić.

Wolę nie mieć dzieci, bo nie chciałbym, żeby w razie czego moja żona musiała sama zarabiać na życie, a dzieciaki myślały, że beze mnie rodzina jest w komplecie.

Puk, puk, puk. Puk, puk, puk.

– Jesteś tam? – woła znowu Brandon, ale tym razem jego głos dobiega ze szpary pod drzwiami. Widzę usta małego w wąskiej przestrzeni między brzegiem drzwi a dywanem. Mógłbym otworzyć bez ostrzeżenia, a wtedy ten mały *diablo* odskoczyłby jak oparzony.

– Będzie super, jak przyjedziesz tu z *mamá*. *Déjame hablar con mamá*.

– Nie ma jej w domu. *Está trabajando* – jest w

pracy.

Serce mi się ściska. Nie chcę, żeby pracowała za grosze jak niewolnica. Kiedy byłem w Meksyku, sam zarabiałem na rodzinę. Teraz chodzę do szkoły, a ona musi harować jak wół. To nie w porządku.

– Powiedz jej, że dzwoniłem. *¡Que no se te olvide!* – mówię, chociaż wiem, że mój młodszy brata jest tak zajęty zabawą z kolegami, że prawdopodobnie w ogóle zapomni o moim telefonie

– Będę pamiętał. Obiecuję.

Rozłączamy się, kiedy Brandon znowu wali w drzwi.

– Przestań walić, bo łeb mnie boli. – Otwieram.

Brandon zrywa się błyskawicznie na nogi – jeszcze nie widziałem, żeby ktoś się tak szybko ruszał. Trochę się chwieje. Pewnie mu się zakręciło w głowie. Dobrze mu tak.

– Brandon – upomina Westford, który właśnie przechodzi. – Mówiłem ci, żebyś nie zawracał

głowy Carlosowi. Idź poczytać do swojego pokoju.

– Nie zawracam głowy Carlosowi – odpowiada niewiniątko. – Powiedział, że się ze mną pobawi G.I. Joe. Prawda, Carlos? – Patrzy na mnie błagalnie zielonymi oczami.

– Prawda – mówię do Westforda. – Pięć minut zabawy i na tym kończymy odgrywanie starszego brata.

– Dziesięć minut – sprzecza się Brandon.

– Trzy – odbijam piłeczkę. To działa w dwie strony, mały.

– Nie, nie, nie. Pięć może być.

Idziemy do jego pokoju, wciska mi laleczki do rąk.

– Proszę!

– Mały, przykro mi to stwierdzić, ale nie mam zwyczaju bawić się lalkami.

Fuka na mnie obrażony.

– G.I. Joe to nie żadna lalka. Tylko marine, tak jak mój tata kiedyś. – Brandon wyjmuję

żołnierzyki z plastikowego pojemnika i rozstawia je po całym pokoju. Robi to dość chaotycznie, ale czuję, że w tym szaleństwie jest metoda. – Nie miałeś G.I. Joe, jak byłeś mały?

Kręcę głową. Z tego, co pamiętam, miałem niewiele zabawek. Bawiliśmy się raczej patyczkami, kamykami i piłkami. A gdy czasem Alex zakradał się do pokoju matki, to wymyślaliśmy najdziwsze zabawy, wkładając kamienie w jej rajstopy. Kilka razy obcięliśmy nogawki i zrobiliśmy procę. Albo napełnialiśmy je wodą i ciskaliśmy w siebie. Kilka razy *mi'amá* sprąła nam tyłki na kwaśne jabłko za takie pomysły, ale kara nie miała znaczenia. I tak było warto zaryzykować.

– No dobrze – mówi Brandon i poważnieje. – Kobry to źli faceci, którzy chcą rządzić światem. A oddział G.I. Joe musi ich schwytać. Łapiesz?

– Tak. Bierzmy się do roboty.

Brandon podnosi rękę.

– Zaraz, zaraz. Jeśli chcesz być G.I. Joe musisz

mieć ksywę. Jaką chcesz? Ja jestem Ścigaczem.

– Będę *Guerrero*.

Przechyla głowę.

– Co to znaczy?

– Wojownik.

Kiwa głową z aprobatą.

– Okej, *Guerrero*, naszym zadaniem jest schwytanie Doktora Mrugacza. – Brandon robi duże, okrągłe oczy. – Doktor Mrugacz to największy, najgorszy i najtwardszy złoczyńca na ziemi. Gorszy nawet niż dowódca Kobry.

– Może zmienimy mu nazwisko na groźniejsze? No bo wiesz, Doktor Mrugacz nie kojarzy się z twardzielem.

– Nie, nie wolno zmieniać nazwiska. Nie ma mowy.

– Czemu nie?

– Lubię to nazwisko. Doktor Mrugacz cały czas mruga.

Nic nie poradzę, ale dzieciak jest zabawny.

– No dobra. Co złego zrobił Doktor M.?

– Doktor Mrugacz – poprawia mnie Brandon.
– Nie Doktor M.

– Nieważne. – Biorę żołnierzyka G.I. Joe i mówię do plastikowego kołesia: – Joe, chcesz kopnąć Doktora M. w tyłek? – Odwracam się do Brandona. – Joe mówi, że jest gotowy.

Brandon podrywa się, jakby był na tajnej misji.

– Za mną – mówi i czołga się przez pokój. – Chodźmy! – rozkazuje głośnym szeptem, widząc, że nie ruszam za nim.

Czołgam się za małym i udaję, że jestem sześciolatkiem, który ma cierpliwość, żeby się w to bawić.

Brandon przykłada zwiniętą dłoń do mojego ucha i szepcze:

– Doktor Mrugacz chyba ukrył się w szafie. Wezwij pluton.

Patrzę na rozstawione po podłodze żołnierzyki i wołam:

– Pluton, otoczyć szafę.

– Nie możesz być G.I. Joe i mówić normalnym głosem. Musisz mówić jak marine – pouczam mnie Brandon, który najwyraźniej nie jest zachwycony tym, że nie potrafię się wcielić w bohatera filmu akcji.

– Nie przeginaj, bo sobie pójdę – ostrzegam.

– Okej, okej. Nie idź. Możesz mówić swoim głosem.

Ustawiam z Brandonem żołnierzyki wokół drzwi do szafy. Powoli wciągamy się w zabawę i próbuję ją trochę ożywić.

– Joe powiedział mi, że zdobył informacje o Doktorze Mrugaczu.

– Jakie? – Brandon od razu łapie przynętę.

Teraz muszę szybko coś wymyślić.

– Doktor Mrugacz ma nową broń. Jak na ciebie mrugnie, nie żyjesz. Uważaj, nie patrz mu prosto w oczy.

– Dobra! – mówi Brandon z entuzjazmem i przypomina mi teraz mojego młodszego brata, który ekscytuje się nawet drobiazgami.

Kiedy myślę o Lusie, od razu mam przed oczami *mamá* i uświadamiam sobie, że w ostatnich latach bardzo rzadko się uśmiechała. I chociaż jestem buntownikiem, zrobiłbym wszystko, żeby przywołać jej uśmiech.

agnesa

28. Kiara

Stoję w drzwiach i patrzę, jak Carlos bawi się żołnierzycami z moim bratem. Wymyślił rozbudowaną scenę, w której koszulki Brandona rozwieszono na sznurku odgrywają rolę tuneli. Sznurek ciągnie się przez całą długość pokoju. Jeden jego koniec jest przywiązany do zasuwki przy oknie, a drugi do klamki od szafy.

Carlos wydaje się odprężony i chyba bawi się równie dobrze jak mój brat.

Mama rozciera mi ramię.

– Wszystko dobrze? – mówi, poruszając bezgłośnie ustami.

Przytakuję.

– Niepokoję się o ciebie.

– Wszystko dobrze. – Cofam się myślami do tego popołudnia. Gra z Brandonem i Carlosem sprawiła mi dużą frajdę. Przytulam mamę mocno. – Lepiej niż dobrze.

– Chyba nieźle się bawią – mówi i pokazuje głową na scenę wojenną rozgrywającą się w pokoju Brandona. – Myślisz, że Carlos cieplej odnosi się do pomysłu, że ma tu mieszkać?

– Może.

– Pięć minut minęło dawno temu – słyszę głos Carlosa.

Mama wchodzi do pokoju i podnosi Brandona, gasząc w zarodku jakiejkolwiek typowe dla niego próby negocjowania warunków.

– Czas spać, Bran. Jutro idziesz do szkoły. – Pakuje go do łóżka, otula kołdrą i pyta: – Umyłeś zęby?

– No... – Brat kiwa głową. Ale dostrzegam, że usta ma zamknięte. Domyślam się, że nie mówi prawdy.

– Dobranoc, Ścigaczu. – Carlos wychodzi za mamą z pokoju.

– Dobranoc, *Guerrero*. Kiara, Carlos nie chce mi opowiedzieć żadnej historyjki. Możesz mi zaśpiewać? Albo zagrać w literki? Proszę – błaga

Brandon.

– Co wolisz? – pytam.

– Literki.

Brat siada plecami do mnie i podnosi górę od piżamy.

Gram z nim w literki, odkąd skończył trzy lata. Palcem piszę literę na jego plecach. Musi zgadnąć, jaką.

– A – mówi z dumą.

Piszę następną literę.

– H!

I kolejną.

– D... nie, B! Zgadłem?

– Tak. Okej, jeszcze jedna. A potem śpisz.

Piszę kolejną literę.

– Z!

– Tak. – Całuję go w czoło i otulam kołdrą. – Kocham cię – mówię.

– Też cię kocham. Kiara?

– Tak?

– Powiedz Carlosowi, że jego też kocham.

Zapomniałem mu powiedzieć.

– W porządku. A teraz już śpij.

Carlos opiera się o ścianę na korytarzu. Mama zniknęła, prawdopodobnie poszła do salonu oglądać z tatą telewizję.

– Słyszałem, co powiedział, więc nie musisz mi powtarzać – mówi Carlos. Jego zwykła arogancja gdzieś zniknęła. Wydaje się teraz odkryty, jak gdyby wyznanie Brandona zburzyło emocjonalny mur, który wznosił. Na chwilę ukazuje się zza niego prawdziwy Carlos.

– Okej. – Wbijam wzrok w buty, bo szczerze mówiąc, nie jestem w stanie patrzeć Carlosowi w oczy. Ma teraz intensywne, hipnotyzujące spojrzenie. – Jeszcze raz dziękuję, no wiesz, że pobawiłeś się z moim bratem. On cię naprawdę lubi.

– Bo nie wie, jaki jestem naprawdę.

29. Carlos

Jeszcze przed szkołą idę za trybuny piłkarskie poszukać Nicka. Jak było do przewidzenia, pali skręta.

Panika przemyka przez jego twarz, ale szybko maskuje ją uśmiechem.

– Hej, chłopie, co jest grane? Podobno cię zapuszkowali w zeszłym tygodniu. To do dupy. – Wyciąga swojego skręta. – Chcesz się sztachnąć?

Łapię go za kołnierzyk i przyciskam do metalowej bariery.

– Dlaczego mnie wrobiłeś?

– Zwariowałeś!?! Nie wiem, o czym gadasz. Po co miałbym cię wrabiać?

Biję go pięścią w twarz. Osuwa się.

– Może to ci odświeży pamięć?

– O, do cholery – krzyczy Nick, gdy nad nim stoję. Skopię go, jeśli nie puści pary. Jeżeli jest w jakikolwiek sposób powiązany z *Gurreros del*

barrio i Wesem Devlinem, to Kiara i Westfordowie mogą być w niebezpieczeństwie tylko dlatego, że u nich mieszkam. Nie mogę do tego dopuścić.

Chwytam go za koszulkę i podnoszę z ziemi.

– Dlaczego włożyłeś narkotyki do mojej szafki? Gadaj! I lepiej się pośpiesz, bo nie jestem w dobrym nastroju, odkąd gliniarze zakuli mnie w kajdanki.

Podnosi ręce na znak, że się poddaje.

– Jestem tylko pionkiem, Carlos, tak jak ty. To mój dostawca, ten Devlin, kazał mi podrzucić narkotyki. Nie wiem, po co. Miał broń. Dał mi puszkę i powiedział, że mam ją wsadzić do plecaka albo gdzieś. Nie wiem, po co. Przysięgam, że to nie był mój pomysł.

W takim razie muszę się dowiedzieć, czyj. Problem w tym, że to wymaga skontaktowania się z Devlinem, a wtedy trzeba mieć oczy dookoła głowy.

– Carlos, kolej na ciebie.

Siedzę w REACH. Wszyscy wlepiają we mnie oczy. Berger chce, żebym się przed nimi wywnętrzał. Jakby nie starczyło, że muszę wysłuchiwać opowieści o ich głupich problemach. O tym, że tata Justina ciągle mu powtarza, że jest idiotą albo że Keno ma się za bohatera, bo jego znajomi pili piwo przez cały weekend, a on się nie dał namówić.

Co za kupa bzdetów!

Pani Berger patrzy na mnie znad okularów.

– Carlos?

– Tak?

– Chcesz nam opowiedzieć o tym, co robiłeś w zeszłym tygodniu i co było dla ciebie ważne?

– Nie za bardzo.

Zana prychnęła i wydyma pociągnięte błyszczkiem usta.

– Carlos myśli, że jest ponad to.

– Tak – dołącza się Carmela. – Uważasz, że jesteś lepszy od nas, co?

Keno rzuca mi groźne spojrzenie, jakby chciał mnie przestraszyć. Ciekawe, czy wie coś o Devlinie.

Wiem, że nie mam co liczyć na Meksykanina, więc patrzę na Justina.

– Możesz robić, co chcesz – mówi Justin, dzieciak z zielonymi włosami. – O ile to mnie nie dotyczy.

Co to, do diabła, ma znaczyć?

Quinn wbija wzrok w podłogę.

Berger wychyla się do przodu.

– Carlos, przychodzisz tu od tygodnia i jeszcze się nie otworzyłeś. Każdy z członków grupy podzielił się z tobą jakimś osobistym wyznaniem. Powiedz nam chociaż trochę o tym, co się z tobą dzieje, żeby inni mogli poczuć z tobą więź.

Czy ona naprawdę myśli, że chcę czuć więź z tymi ludźmi? Chyba ją pogięło.

– No powiedz coś – ponagla Zana.

– Właśnie – zgadza się Keno.

Berger posyła mi spojrzenie z gatunku „jesteśmy tu, żeby ci pomóc”.

– Nasza grupa jest bardziej zgrana, jeśli każdy oddaje część siebie. Pomyśl, że to klej spajający nas w jeden zespół, w którym wszyscy nawzajem sobie pomagają i nikt nie stoi z boku.

Chce kleju, będzie mieć klej. Nie mam zamiaru opowiadać tych gówien o Nicku i Devlinie, ale przychodzi mi do głowy coś innego. Podnoszę ręce, jakbym się poddawał.

– No dobra. W środę niewiele brakowało, żebym pocałował tę dziewczynę, Kiarę. To było na szczycie jakiejś głupiej góry, na którą kazała mi się wdrapać.

Kręcę głową na samo wspomnienie. Problem w tym, że od dwóch dni nie mogę przestać myśleć, jaki byłby ten pocałunek.

Keno wychyla się do przodu w krześle.

– Podoba ci się?

– Nie.

– To dlaczego chciałeś ją pocałować? – pyta

Zana.

Wzruszam ramionami.

– Żeby coś udowodnić.

Wszyscy cichną wpatrzeni we mnie.

– Co chciałeś udowodnić? – pyta Berger.

– Że umiem całować lepiej niż jej chłopak.

Justin zasłania dłonią otwarte usta, wyraźnie zaszokowany. Jeśli to go bulwersuje, to założę się, że dziewczyny, które całował, można by zliczyć na palcach jednej ręki i jeszcze coś by zostało.

– Odwzajemniła pocałunek? – pyta Carmela.

Keno unosi brwi.

– Jest Meksykanką?

– To nie był pocałunek. Ale niewiele brakowało. W sumie nic wielkiego.

– Lubisz ją – mówi Zana. Prycham, więc dodaje: – No weź. Ludzie mówią, że to nic wielkiego, kiedy jest coś wielkiego.

– Co masz na myśli, Zana? – wtrąca Justin. – Przecież jej nie całował. A ona ma chłopaka.

Nieważne, czy ją lubi, czy nie, jest zajęta.

– Musisz nad sobą popracować, Carlos, bo inaczej nie masz szans na normalny związek – mówi Zana tonem ekspertki.

Tak, rzeczywiście. Nie lubię Kiary. Ostatnia rzecz, o której marzę, to normalny związek... w dodatku nawet nie wiem, czy takie związki w ogóle istnieją.

Opieram się i krzyżuję ręce na piersi.

– To tyle, jeśli chodzi o gadanie, pani B.

Berger kiwa głową z aprobatą.

– Dziękuję, że nam o tym powiedziałaś, Carlos. Doceniamy to, że pokazałaś nam skrawek prywatnego życia. Myśl, co chcesz, ale nasza grupa jest dzięki tobie bardziej zgrana.

Pokazałbym jej za pomocą palca, co myślę o tej teorii, ale to by pewnie naruszało jakieś cholerne zasady.

Do końca terapii grupowej siedzę jak na mękach wśród tych wyrzutków, chociaż mógłbym przysiąc, że traktują mnie teraz jak

swojego. Kiedy w końcu wychodzę z budynku, Alex czeka na mnie na parkingu w samochodzie Brittany.

Stoimy na światłach, przez ulicę przechodzi parka, trzymając się za ręce. Nigdy nie zauważyłem, żeby Tuck i Kiara trzymali się za ręce, więc może jedno z nich boi się zarazków.

– Ten chłopak Kiary to jest totalny *pendejo* – wybucham. – Śmiesznie razem wyglądają.

Alex zaczyna kręcić głową.

– No co? – pytam.

– Nie zaczynaj z nią kręcić.

– Nie mam zamiaru.

Alex się śmieje.

– To samo powiedziałem Paco, kiedy mnie ostrzegął przed Brittany.

– Postawmy sprawę jasno. Nie jestem tobą. I nigdy nie będę. I kiedy mówię, że między Kiarą i mną nic nie ma, to nie żartuję.

– Dobra.

– Zazwyczaj wkurza mnie jak wszyscy diabli.

Mój brat znowu odpowiada śmiechem.

W domu Westfordów nikogo nie zastajemy. Samochód Kiary stoi na podjeździe, a okno po stronie pasażera jest otwarte jak zawsze.

– Trzeba je naprawić – mówi Alex, kiedy podchodzimy do auta. Chyba obaj wyobrażamy sobie, jak wyglądałby ten samochód, gdyby go wyremontować. – Drzwi po stronie pasażera się nie otwierają.

Alex chwyta klamkę, sprawdza.

– Powinieneś je wymontować i zobaczyć, czy da się je naprawić.

Wzruszam ramionami.

– Czemu nie.

– Tak czy siak, to świetne auto.

– Wiem. Prowadziłem je. – Wstawiam głowę przez okno.

– Co powiesz na to, że kupiłem sobie podobne? – pyta Alex.

– Naprawdę? Masz wreszcie własny samochód?

– Tak. Trzeba przy nim trochę podłubać. Będzie stać w warsztacie, aż nie wyremontuję silnika.

– À propos silników, to ten się chyba trochę krztusi – mówię i podnoszę maskę auta Kiary.

– Nie będzie miała nic przeciwko? – pyta Alex.

– Raczej nie. – Mam nadzieję, że to prawda.

Oglądamy silnik i rozmawiamy o samochodach. Myślę sobie, że to dobry moment, żeby powiedzieć bratu, czego się dowiedziałem.

– To chyba Devlin kazał mnie zrobić.

Alex tak szybko unosi głowę, że uderza o maskę.

– Devlin? Wes Devlin?

Przytakuję.

– Ale dlaczego Devlin? – Przeciera oczy dłonią, jakby nie był w stanie sobie wyobrazić, jak mogłem się wpakować w taki bajzel. – Rekrutuje członków gangu, gdzie tylko może. Nie ma znaczenia, jakie kto ma powiązania. Jak, do diabła, mogłeś do tego dopuścić?

– Nie dopuściłem. Po prostu tak się stało.

Brat patrzy mi prosto w oczy.

– Okłamywałeś mnie, Carlos? Kontaktowałeś się z *Guerreros* w Meksyku i zaplanowałeś wcześniej te sprawy z narkotykami? Bo Devlin się nie opierdala. Do diabła, miał powiązania nawet z Latynoską Krwią w Chicago.

– Myślisz, że tego nie wiem? – Wyciągam numer telefonu Devlina, który znalazłem w szafce Nicka. Podaję Aleksowi. – Zadzwońię do niego.

Rzuca okiem na kartkę i kręci głową.

– Nie.

– Muszę. Muszę się dowiedzieć, czego chce.

Alex wybucha krótkim śmiechem.

– Chce cię mieć na własność, Carlos. *Guerreros* musieli mu o tobie powiedzieć.

Patrzę bratu prosto w oczy.

– Nie boję się go.

Mój brat wyrwał się z Latynoskiej Krwi i mało go nie zabili. Wie, że ruszenie szefa gangu to nie

jest prosta sprawa.

– Nie waż się niczego robić beze mnie.
Jesteśmy braćmi, Carlos. Nie zostawię cię w
potrzebie, nie ma mowy.

Tego się właśnie obawiałem.

agnesa

30. Kiara

Po szkole poszłam z Tuckiem pobiegać przed jego treningiem frisbee. Przez pierwsze pół kilometra rozmawialiśmy, ale potem pokonujemy drogę w milczeniu. Jedyne dźwięki to odgłos naszych stóp uderzających o chodnik. W ciągu dnia było gorąco, ale teraz chłód wisi w powietrzu.

Lubię biegać z Tuckiem. To sport, który uprawia się w pojedynkę, ale bieganie w towarzystwie jest zabawniejsze.

– Jak tam Meksykanin? – pyta Tuck, a jego głos odbija się od górskiego zbocza.

– Nie nazywaj go tak – mówię. – To rasizm.

– Przecież nazywanie go Meksykaninem nie jest rasistowskie. Bo jest Meksykaninem.

– Nie chodzi o to, co powiedziałeś, ale jak to powiedziałeś.

– Mówisz jak twój tata przewrażliwiony na

punkcie poprawności politycznej.

– A co w tym złego, że uważa, co mówi? – pytam go. – A gdyby Carlos w ten sam sposób nazwał cię gejem?

– Na pewno nawet nie zna żadnego geja. Ten facet ma potężną tarczę z testosteronu.

Wbiegamy na ścieżkę do biegania w Canyon Park. Zatrzymuję się.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – mówię, ciężko dysząc. Biegam dość często, ale dzisiaj serce bije mi jakoś szybciej niż zwykle i nie wiem z jakiego powodu.

Tuck podnosi ręce w obronnym geście.

– Może mnie nazywać gejem. Nie przeszkadza mi to, bo jestem gejem. A on jest Meksykaninem, więc po co robisz tyle hałasu, że nazwałem go Meksykaninem?

– Nie wiem. Po prostu wkurza mnie, jak nazywasz go Meksykaninem.

Tuck patrzy na mnie zwężonymi oczami. Marszczy twarz, jakby chciał domyślić się moich

motywów.

– O, mój Boże.

– Co?

– Lubisz Meksykanina. Że też wcześniej tego nie zauważyłem. To dlatego znowu zaczęłaś się jąkać... Przez niego!

Przewracam oczami i prychem.

– Wcale go nie lubię. – Zaczynam biec ścieżką, ignorując teorię Tucka.

– Nie mogę uwierzyć, że go lubisz – lamentuje Tuck i dźga mnie palcem w bok.

Przyśpieszam.

– Zwolnij. – Słyszę sapanie Tucka za plecami. – Okej, okej. Nie będę go nazywał Meksykaninem. Jeśli powiesz, że go lubisz.

Zwalniam i czekam, aż mnie dogoni.

– Myśli, że jesteśmy parą, i mnie to odpowiada. Nie mów mu, że to nieprawda, okej?

– Jeśli tego chcesz.

– Chcę.

Zatrzymujemy się na szczycie góry.

Podziwiamy miasto Boulder widoczne w dole, a potem wracamy do domu.

Alex i Carlos stoją przy moim samochodzie na podjeździe.

Carlos omiata nas spojrzeniem i odrzuca głowę.

– Hej, macie takie same ubranka. Niedobrze mi. – Wskazuje na nas palcem. – No zobacz, Alex. Jak by mało było wszystkiego, to muszę znieść jeszcze to: białasów w równych ubrankach.

– Nie są takie same – zaprzecza Tuck. I wzrusza ramionami, kiedy patrzy na moją koszulkę, bo uświadamia sobie, że Carlos ma racje. – No dobra, są.

Nie zauważyłam tego wcześniej. I Tuck, jak widać, też nie. Oboje mamy na sobie czarne koszulki z białymi napisami: „Nie bądź cieniem, zdobądź czternastkę!” Kupiliśmy je po wejściu na szczyt góry Princeton w zeszłym roku. Wcześniej nie zdobyliśmy żadnej

„czternastki”, co oznacza w Kolorado góry, które mają co najmniej czternaście tysięcy stóp wysokości.

Carlos wlepia we mnie oczy.

– Co robisz przy moim samochodzie? – zmieniam temat.

Patrzy na Aleksa.

– Sprawdzamy go – mówi Alex. – Prawda, Carlos?

Carlos odwraca wzrok na moje monte carlo.

– Tak, dokładnie.

Chrząka i wciska ręce do kieszeni, jakby był zawstydzony.

– Mama powiedziała, żebym cię wzięła na zakupy do marketu. Pójdę tylko po torebkę i kluczyki i możemy jechać, jeśli chcesz.

Idę do swojego pokoju i zastanawiam się po drodze, czy dobrze zrobiłam, zostawiając Carlosa z Tuckiem. Ci dwaj w ogóle do siebie nie pasują. Biorę torebkę z łóżka i już chcę wychodzić, ale Carlos staje w drzwiach pokoju.

Przejeżdża dłonią po głowie i wzdycha.

– Wszystko w porządku? – Robię krok w jego stronę.

– Tak, ale wolałbym, żebyśmy pojechali sami. Ty i ja, bez Tucka.

Przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą, jakby się denerwował.

– Może być.

Nie rusza się z miejsca. Wyraźnie chce powiedzieć coś jeszcze, więc czekam. Im dłużej tak stoimy, patrząc na siebie, tym większy odczuwam niepokój. Nie chodzi o to, że Carlos mnie onieśmiela. Po prostu kiedy jest w pobliżu, powietrze wydaje się naelektryzowane. Znowu odkrywa na chwilę swoją wrażliwą stronę, prawdziwego Carlosa, tego, który nie osłania się obronnym murem.

Kiedy w środę przy Kopule odgrażał się, że mnie pocałuje, hamowałam się z całej siły. Teraz, mimo że na zewnątrz są Tuck i Alex, znowu czuję, że Carlos mnie pociąga, i to tak mocno, jak

nikt do tej pory.

– Nie przebierzesz się? – Patrzy na koszulkę z „cieniasem”, na której widnieją plamy potu od biegania. – Ten T-shirt musi zniknąć.

– Za bardzo przejmujesz się wyglądem.

– Lepsze to niż w ogóle się nie przejmować.

Przewieszam torbę przez ramię i ruszam w jego stronę.

Schodzi mi z drogi.

– A skoro już mowa o wyglądzie, to czy zdejmujesz czasami tę gumkę z włosów?

– Nie.

– Bo wyglądają jak psi ogonek.

– I dobrze. – Kiedy go mijam, odrzucam głowę i próbuję smagnąć go kitką w twarz. Uprzedza mój ruch, ale zamiast pociągnąć za kitkę, pozwala, by włosy przepłynęły przez jego palce. Odwracam się do niego. Uśmiecha się. – Co jest?

– Masz miękkie włosy. To mnie zaskoczyło.

Brakuje mi tchu na samą myśl, że w ogóle zwrócił na to uwagę. Przełykam z trudem, kiedy

wyciąga rękę i znowu przeczesuje palcami moje włosy. To takie intymne.

Kręci głową.

– Któregoś dnia, Kiara, wpakujemy się w kłopoty. Wiesz o tym, prawda?

Mam ochotę go poprosić, żeby uściślił, jakie kłopoty ma na myśli, ale się powstrzymuję.

– Ja nigdy nie pakuję się w kłopoty – mówię i wychodzę.

Tuck i Alex czekają na nas przed domem.

– Co tak długo tam robiliście? – pyta Tuck.

– Lepiej żebyś nie wiedział – odpala Carlos i patrzy na mnie. – Powiedz mu, że z nami nie jedzie.

Tuck otacza mnie ramieniem.

– O czym on gada, cukiereczku? Myślałem, że posiedzimy trochę u mnie, no wiesz. – Strzela brwiami i klepie mnie w tyłek.

Tuck wczuwa się w rolę mojego chłopaka, ale jak dla mnie, w ogóle nie jest przekonujący. Mimo to Carlos chyba daje się nabrać, o ile

można sądzić po obrzydzeniu wypisanym na jego twarzy.

– Przystopuj trochę, cukiereczku – mówię Tuckowi prosto do ucha.

– Okej, ciziu-miziu.

Odpycham go, a potem wybucham śmiechem.

– Spadam stąd – mówi Tuck i biegnie do domu.

Alex odjeżdża zaraz po nim. Zostajemy z Carlosem sami.

– To nie do wiary, że od razu się nie domyśliłem – mówi Carlos. – Jesteście tylko przyjaciółmi. Bez poszerzonego zakresu usług.

– To śmieszne. – Wsiadam do samochodu i staram się nie patrzeć mu w oczy.

Carlos wsuwa się przez okno.

– I to ma być ten mistrz całowania? To czemu nie widziałem, żebyście się całowali?

– Całujemy się na okrągło. – Chrząkam i dodaję: – Ale... nie robimy tego przy ludziach.

Jego twarz przybiera chytry wyraz.

– Nie kupuję tego. Gdybyś była moją dziewczyną i taki ogier jak ja mieszkałby w twoim domu, to całowałbym cię przy nim non stop, żeby mu to wbić do głowy.

– Ale co wbić?

– Że jesteś moja.

agnesa

31. Carlos

Pcham wózek w markecie i cieszę się, że mam okazję kupować jedzenie, które znam. Przepycham się między klientami w dziale warzywnym, biorę awokado i rzucam do Kiary.

– Założę się, że nigdy nie jadłaś prawdziwego meksykańskiego zarcia.

– Oczywiście, że jadłam – mówi, łapiąc awokado. Wkłada je do wózka. – Moja mama często robi tacosy.

– Z jakim mięsem? – rzucam na próbę. Założę się, że pani W. nic nie wie o prawdziwych tacosach.

Kiara mruczy coś niezrozumiale.

– Co? Nie słyszę.

– Tofu. Tacosy z tofu pewnie nie są prawdziwą meksykańską potrawą, ale...

– Tacosy z tofu nawet nie leżały koło meksykańskiego jedzenia. Wkładanie w coś tofu

i mówienie, że to meksykańska potrawa, obraża moich rodaków.

– Akurat.

Idzie wzdłuż półek, patrząc, jak pakuję do wózka pomidory, cebulę, kolendrę, limonkę, zielone chili i jalapeño. Świeży zapach produktów przypomina mi kuchnię *mi'amá*. Biorę coś, co zawsze u nas było.

– To jest tomatillo.

– Co z tego zrobisz?

– Mogę zrobić salsa verde.

– Lubię czerwoną salsę.

– Poczekaj, aż spróbujesz mojej.

– To się zobaczy – mówi bez przekonania. Mógłbym zrobić wyjątkowo pikantną porcję specjalnie dla niej, żeby zapamiętała raz na zawsze, że nie można mnie prowokować.

Kiara snuje się za mną po markecie. Kupuję podstawowe rzeczy – fasolę, ryż, mąkę kukurydzianą i różne gatunki mięsa (nalegała, żeby wziąć ekologiczne, chociaż kosztuje dwa

razy tyle co zwykle). Wracamy do domu.

W kuchni u Westfordów wyjmuję wszystkie produkty i zgłaszam się na ochotnika do przygotowania kolacji. Pani W. jest mi wdzięczna, bo Brandon ma jakieś zadanie do szkoły. Chyba próbował narysować mapę na swoim ciele permanentnymi markerami i teraz nie idzie tego zmyć.

– Pomogę ci – odzywa się Kiara. Stawia miskę na stole, a na kuchence patelnię.

Po raz pierwszy cieszę się, że Kiara ma na sobie T-shirt, bo przynajmniej nie muszę pomagać jej w podciąganiu rękawów.

– Będzie dużo bałaganu – mówię po umyciu rąk.

Wzrusza ramionami.

– Nie ma sprawy.

Wsypuję do miski mąkę kukurydzianą i dolewam wodę.

– Gotowa? – pytam.

Kiwa głową.

Zanurzam ręce w misce i zaczynam wyrabiać ciasto.

– Chodź, pomóż mi.

Kiara staje obok mnie i wkłada ręce do miski, przesuwając między palcami mokrą i kleistą masę. Nasze dłonie stykają się kilka razy, wydaje mi się nawet, że przez pomyłkę biorę jej palce za kawałek ciasta.

Dolewam wody i obserwuję Kiare.

– Jaka ma być konsystencja? – pyta, nie przerywając ugniatania.

– Powiem ci, kiedy przestać.

Nie wiem, dlaczego stoję oparty o blat jak idiota i gapię się na nią. Może dlatego, że ta dziewczyna nigdy nie narzeka. Nie boi się chodzić po górach, naprawiać samochody, prowokować takich dupków jak ja i brudzić sobie rąk w kuchni. Czy jest coś, czego by nie potrafiła albo nie chciała zrobić?

Zaglądam do miski. Solidna kula ciasta. Wygląda na gotowe.

– Myślę, że jest dobre. Teraz zrób kulki, a ja je rozplaszczę patelnią. Musimy sobie jakoś poradzić, bo nie spodziewam się, żebyście mieli przyrząd do robienia tortilli. Uważaj, żebyś sobie nie pobrudziła ciastem tej śmiesznej koszulki.

Szukam po szafkach plastikowej folii, żeby przykryć kulki ciasta, zanim je zmiążdżę patelnią. Nagle czuję uderzenie w plecy. Patrzę na podłogę, po której toczy się jedna z kulek.

Podnoszę wzrok na Kiarę. Trzyma w ręce drugą kulę i celuje we mnie.

– Chyba nie powiesz, że rzuciłaś we mnie kulką? – pytam nie bez rozbawienia.

Bierze kulę także do drugiej ręki.

– Rzuciłam. To kara za to, że powiedziałaś, że mam śmieszna koszulkę.

Uśmiecha się triumfalnie i ciska we mnie ciastem, ale tym razem łapię kulę. Szybkim ruchem podnoszę drugą z podłogi i jestem uzbrojony.

– Kara, tak? – mówię i podrzucam tę, którą

złapałem, po czym znowu ją łapię. – Sama się o nią prosisz. Zemsta będzie słodka, *chica*.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Najpierw musisz mnie złapać. – Pokazuje mi język jak małe dziecko, a potem ucieka do ogrodu. Daję jej fory, a w tym czasie biorę miskę ciasta i ruszam za nią. Mój arsenał się powiększył. – Nie rujnuj moich jaj! – Śmieje się, gdy to mówi. Patrzą z rozbawieniem, jak dopada do małego stolika na werandzie i podnosi go jak tarczę.

– Wolę zmarnować twoje niż moje, *chica*. – Rzucam w nią kulami z ciasta raz za razem, aż wyczerpuję amunicję.

Wojna na kule z ciasta toczy się dalej, aż cały ogród jest nimi zawalony.

Westford wychodzi na dwór ze zdziwioną miną.

– Myślałem, że robicie kolację.

– Robiliśmy – odpowiada Kiara.

– Wy się tu bawicie, a reszta umiera z głodu.
Kiedy będzie kolacja?

Patrzemy z Kiarą na jej tatę, potem na siebie.
Bez słowa obrzucamy go kulami. Nie ma wyjścia
– musi się włączyć do bitwy. W końcu
przychodzą na odsiecz pani Westford i Brandon.

Kusi mnie, żeby zadzwonić po Aleksa i
Brittany, bo chętnie bym w nich rzucił kulami z
ciasta. Może powinienem zaproponować pani
Berger, żeby wprowadziła wojny na ciasto w
REACH. To bije na głowę terapię grupową.

32. Kiara

Przyjdź do mnie wieczorem – mówi Madison do Carlosa, gdy stoimy przy szafkach w piątek rano.
– Moi rodzice jeszcze nie wrócili. Mam wolną chatę przez cały weekend.

Tkwią przy swojej szafce i słyszę każde słowo. Carlos ma dziś ze mną pojechać do domu opieki i pozować na zajęciach plastycznych. Wystawi mnie do wiatru?

– Nie mogę – odpowiada.

– Czemu nie?

– Jestem zajęty.

Robi krok w tył zaszokowana. Chyba jeszcze nikt jej nie odmówił.

– Z dziewczyną?

– Tak.

– Z kim? – pyta głosem ostrym jak brzytwa.

Nim orientuję się, co jest grane, Carlos przyciąga mnie do siebie.

– Z Kiarą.

Jestem w szoku, a Madison prycha pogardliwie.

– Żartujesz, co?

– Właściwie... – zaczynam i chcę go wkopać, ale Carlos ściska mnie za ramię tak mocno, że krew mi prawie nie przepływa.

– Chodzimy ze sobą w tajemnicy od zeszłego tygodnia. – Uśmiecha się do mnie i patrzy tak, jakbym była tą jedną jedyną. Może oszuka tym Madison, ale nie mnie. – Prawda, K.?

Ściska mnie jeszcze mocniej.

– Uhm – wydaję słaby pisk.

Madison kręci głową raz za razem, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie wybiera Kiary Westford zamiast mnie.

Ma rację. Złapała nas.

– Chcesz się założyć? – Oczy wychodzą mi z orbit, kiedy Carlos pochyla nade mną głowę. – Pocałuj mnie, *cariño*.

Pocałować? Na korytarzu? Przy wszystkich? Nie potrafię nawet wykrztusić słowa przy Madison, a co dopiero pocałować chłopaka, który jej się podoba.

– N-n-n-nnie...

Próbuję coś wydukać, ale zaczynam się jąkać. Carlos, jakby w ogóle nie zauważył, że chcę coś powiedzieć, kładzie dłoń na moim policzku i delikatnie przesuwając palce na moje usta. Tak jak robi chłopak z dziewczyną, za którą szaleje... i... i wiem, że to kompletna ściema. Ja to wiem. On to wie. Ale Madison nie ma pojęcia.

Czuję jego gorący oddech na twarzy i słyszę niemal bezgłośnie „dziękuję”, a potem przechyla głowę i dotyka ustami moich warg. Zamykam oczy i próbuję zapomnieć, gdzie jestem. Próbuję się cieszyć tą chwilą. I chociaż to udawany pocałunek, wcale nie wydaje się na niby. Jest słodki i ekscytujący. Wiem, że powinnam odepchnąć Carlosa, ale nie mam siły.

Podnoszę ręce i obejmuję go za szyję. W tym

samym momencie przyciąga mnie bliżej i bez ostrzeżenia dotyka moich ust językiem delikatnie i erotycznie, aż sama je otwieram. Nie wiem, gdzie nauczył się tak całować, ale nie mogę powstrzymać jęku. Czuję, że coś topnieje w moim ciele, gdy nasze języki się stykają.

Carlos odsuwa się z westchnieniem i rozplata moje ręce.

– Poszła sobie.

– C-c-c-c-co to m-m-ma znaczyć? – pytam.

Rozgląda się, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje.

– Musisz być moją dziewczyną. No, powiedziałem to.

Nie odpowiadam, więc bierze mnie za łokieć i prowadzi korytarzem do pracowni komputerowej. Nikogo tam nie ma, oprócz trzydziestu komputerów ustawionych w równych rzędach.

Ten facet kompletnie mnie rozwał. Wciąż czuję mrowienie warg od jego erotycznego

pocałunku i nie mogę pozbierać myśli. W końcu łapię równowagę i skupiam się na tym, co chcę powiedzieć, zanim wypowiem słowa. Nie mam zamiaru się jąkać.

– O co chodzi z Madison? Przecież uprawialiście seks w łóżku jej rodziców.

– Nie uprawiałem z nią seksu, Kiara. To ona tak rozповідаła, nie ja. Kiedy mnie zaprosiła na tę beznadziejną imprezę, ledwie ją znałem. Tak nisko mnie cenisz?

– A co mam myśleć? Ciągłe gadasz jakieś bzdury.

Odwracam się do niego plecami i zaczynam iść do drzwi. Chyba dostaję szału, bo ten pocałunek wydawał się taki prawdziwy, a w rzeczywistości Carlos chciał tylko zrobić Madison w konia.

– No dobra, przyznaję. Gadam bzdury. Ale nie uprawiałem z nią seksu. Uganiam się za mną tylko dlatego, że chce wzbudzić zazdrość w Ramie. Muszę się od niej uwolnić. To jak będzie?

Zgodzisz się udawać, że jesteśmy parą? – Wciska ręce do kieszeni. – Powiedz, co za to chcesz.

– Dlaczego ja?

– Bo jesteś za mądra, żeby się nabrać na moje gadki, a ja nie potrzebuję dziewczyny. Kiedyś miałem i to była kompletna katastrofa. No dalej, powiedz, co za to chcesz.

Nie przywiązuję znaczenia do ubioru, ale chciałabym, żeby choć raz chłopak zaprosił mnie na szkolną zabawę. To ostatni rok we Flatiron i druga okazja może się nie zdarzyć.

– Chodź ze mną na bal absolwentów.

– Nie chodzę na tańce. – Kręci głową. – Bal absolwentów odpada. I nawet nie myśl o tym, żeby mnie zaciągnąć na bal maturalny.

– To zapomnij o sprawie.

Ruszam do drzwi, ale Carlos chwytą mnie za łokieć i zmusza, żebym się do niego odwróciła.

– Nie znam tu nikogo innego, kto mógłby mi pomóc.

– Bal absolwentów albo z umowy nici – mówię

stanowczo.

Carlos zgrzyta zębami.

– Dobra. Bal absolwentów. Ale musisz włożyć sukienkę... i szpilki. Tylko nie żadne babcine obcasy.

– Nie mam szpilek.

– To sobie kup. – Wyciąga rękę. – Umowa?

Zwlekam sekundę, po czym podaję mu rękę i mocno potrząsam.

– Umowa.

Staram się ukryć radość, ale uścisk dłoni mi nie wystarcza. Otwieram ramiona i mocno ściskam Carlosa. Chyba jest zdziwiony, ale mam to gdzieś. Idę na bal absolwentów! I to nie z byle kim... ale z Carlosem, najwspanialszym chłopakiem na niby. Gdybym tylko mogła uciąć „na niby”...

W piątek po południu podjeżdżam po Carlosa do REACH i zabieram go do domu opieki.

Staruszkowie siedzą przy sztalugach i niecierpliwie czekają na początek zajęć.

Idę z nim do Betty Friedman, jednej z administratorów ośrodka, która układa plan zajęć.

– Betty, to jest Carlos. Dzisiaj będzie mi pomagał.

Betty patrzy znad biurka.

– Dzięki, Carlos. Cieszę się, że tu jesteś. Wszyscy byli bardzo podekscytowani, że będą mieć żywych modeli. Pomoże wam dzisiaj jeden z naszych pensjonariuszy. Artysta.

Idziemy z nią do sali rekreacyjnej. Jakiś facet w czarnym golfie i obcisłych spodniach tego samego koloru napełnia słoiczki farbami w różnych barwach.

– Oto nasi modele – mówi do niego Betty. – Kiara, Carlosie, to jest Antoine Soleil.

– Przyniosłem kostiumy – oznajmia Antoine, wyjmując koszulę w czerwoną kratkę i pas kowbojski dla Carlosa, a dla mnie strój kowbojski.

Pożyczyłem te kostiumy z działu teatralnego w szkole.

Carlos rzuca okiem na kostium i cofa się o dwa kroki.

– Nie mówiłaś o kostiumach.

– Naprawdę?

– Tak.

– Sorry. Będziemy pozować w kostiumach.

Betty pokazuje na pokój obok sali.

– Możecie się przebrać w konferencyjnym. Albo w toalecie dla gości, ale widziałam, że wchodziła tam pani Heller, więc tak szybko się nie zwolni.

Carlos bierze koszulę i pas i idzie do sali konferencyjnej. Ruszam za nim z kostiumem kowbojki.

– Możesz mi powiedzieć, czemu się na to zgodziłem?

– Bo chciałeś zrobić dla mnie coś miłego – mówię, zamykając drzwi na zasuwkę, żeby nikt tu przypadkiem nie wparował.

– Dobra. – Zdejmuje T-shirt przez głowę i odsłania twarde jak skała tors, na którego widok każdy facet pękłby z zazdrości, a każdej dziewczynie zmiękłyby nogi. – Jak jeszcze raz będę chciał zrobić coś „miłego”, to dziel mnie w twarz. – Patrzy na mnie i unosi kącik ust. – Żartowałem.

– Domyśliłam się.

Wciągam przez głowę kowbojską sukienkę z dzinsu i koronki i cieszę się w duchu, że mogę się schować chociaż za stołem. Kiedy suknia jest na miejscu, wydobywam spod spodu T-shirt, a potem zsuwam spodnie. Rety. Suknia jest krótka. I to bardzo. Patrzę na swoje gołe nogi. Próbuję ściągnąć trochę suknię, ale koronkowe falbany sterczą na boki, jak płatki kwiatu.

– Tylko mi nie mów, że mam nosić ten śmieszny pas – mówi Carlos z drugiego końca pokoju, kiedy zapina ogromną srebrną klamrę.

– Możesz udawać, że jesteś mistrzem rodeo – odpowiadam.

– Chyba mistrzem zapasów, sądząc po wielkości tej klamry. Jak tam twój strój? Mam nadzieję, że wyglądasz tak śmiesznie jak ja.

Patrzę na krótką, falbaniastą sukienkę z przyszytą na przodzie kamizelką.

– Nawet gorzej.

– Wyjdź z za stołu. Pokaż się.

– Nie.

– No daj spokój. Przecież jesteśmy parą, no nie?

– Tylko udajemy, Carlos.

Siada na brzegu stołu konferencyjnego.

– Tak sobie pomyślałem... Skoro wiemy, że i tak nic z tego nie będzie, to możemy trochę ze sobą pokręcić.

– Co dokładnie masz na myśli? – pytam.

– No wiesz, możemy spędzać ze sobą więcej czasu. Jesteś zabawna, Kiara, a przyda mi się teraz trochę rozrywki. – Przechodzi na moją stronę stołu, ogląda kostium, a potem gwizdże z aprobatą. – Ładne nogi. Powinnaś częściej je

pokazywać.

Wzruszam ramionami.

– Pomyślę o tym.

– O pokazywaniu nóg czy kręceniu ze mną?

– O jednym i drugim.

Chociaż sama myśl o kręceniu z Carlosem jest ekscytująca, nie mogę pozwolić, żeby złamał mi serce. Jeśli mam z nim chodzić, to muszę zachować emocjonalny mur i pilnować, żeby się za bardzo nie zaangażować. Ale nie wiem, czy mój mur się nie zawali.

Wracamy do sali. Przedstawiam Carlosa Sylvii, Mildred, panu Whittakerowi i pozostałym. Sylvia łapie mnie za rękaw.

– Ale z niego ciacho.

– Wiem. Problem w tym, że on też to wie.

Mildred przywołuje gestem Carlosa.

– Pozwól mi na siebie popatrzeć. – Objeżdża go spojrzeniem z góry na dół. – Obserwowałam cię, jak wszedłeś do sali. Po co ci te wszystkie tatuaże? Wyglądasz przez to jak chuligan.

– Chyba jestem chuliganem – mówi Carlos. – Cokolwiek to znaczy.

– To znaczy, że ściągasz kłopoty – mówi Mildred i celuje w niego pędzlem. – Nic tylko kłopoty. Mój mąż był chuliganem. Kłopoty go uwielbiały. Rozbijał się na motorze jak jakiś James Dean.

– Co się z nim stało? – pyta Carlos.

– Stary dziadyga zginął dziesięć lat temu w wypadku samochodowym. – Klepie Carlosa po policzku. – Jesteś do niego trochę podobny. Podejdź bliżej. – Posłusznie podchodzi, a Mildred zamyka oczy i sięga dłonią do jego twarzy. Wodzi po niej palcami. Carlos nieruchomieje. Pozwala jej przenieść się w fantazji do szczęśliwszych czasów i udawać przez chwilę, że dotyka twarzy męża. Mildred wzdycha i otwiera oczy.

– Dziękuję ci – szepcze ze łzami w oczach.

Carlos kiwa głową i nic nie mówi. Rozumie, że ofiarował jej coś cennego. Stoje bez ruchu i

patrzę na niego z podziwem. Na zewnątrz gra rolę twardziela, który nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie. Ale czasami dostrzegam w nim przebłyски ciepła i współczucia, a wtedy czuję, że mój wewnętrzny mur zaczyna pękać.

– No dobrze, zaczynamy zajęcia – ogłasza Antoine.

Antoine przygotował małe podium z przodu sali.

– Chodźcie – mówi, wskazując na nas. – Stańcie tu i pozujcie.

Carlos pierwszy wchodzi na podium i podaje mi rękę.

– Co teraz? – pyta.

– Mamy pozować – odpowiadam szeptem.

– Jak?

Antoine uderza pięścią w podium, przyciągając naszą uwagę.

– Powiem wam, jak. Kiaro, obejmij go za ramiona. Carlosie, chwyć ją w pasie.

Ustawiamy się według jego instrukcji.

– Tak? – pytam i staram się nie czuć ręki Carlosa w talii.

– Wyglądacie, jakbyście bali się do siebie zbliżyć – mówi Antoine. – Jesteście zbyt sztywni. Kiara, pochyl się w stronę Carlosa. O, właśnie tak. A teraz zegnij nogę w kolanie. Carlos, przytrzymaj ją, żeby nie upadła... Kiara, patrz na niego, jakbyś była zakochana, jakbyś czekała na pocałunek... A ty, Carlos, patrz jej w oczy, jakby Kiara była kowbojką, o której marzyłeś całe życie. Doskonale! Teraz nie ruszajcie się przez pół godziny.

Odwraca się do pensjonariuszy domu opieki, opowiada o światłocieniu i zasadach rysowania sylwetki, a ja... tonę w oczach Carlosa.

– Świetnie sobie poradziłeś z pensjonariuszami – mówię. – Cieszę się, że tu przyszedłeś.

– A ja się cieszę, że masz na sobie sukienkę.

Przez następne pół godziny staramy się nie ruszać. Wpatruję się w głębokie ciemne oczy

Carlosa, a on nie odrywa wzroku od moich. Chociaż jestem trochę ścierpnięta, czuję się bezpieczna i szczęśliwa. I nie przychodzą mi do głowy żadne inne słowa jak tylko:

- Podjęłam decyzję.
- W jakiej sprawie?
- W sprawie nas. Chciałabym, żebyśmy trochę ze sobą pokręcili.

Unosi brew.

- Naprawdę?
- Tak.
- Zaklepiemy to uściskiem dłoni?
- Mam zajęte ręce.

Posyła mi swój arogancki uśmiech, bez którego nie byłby Carlosem.

- Ręce tak, ale usta nie.

33. Carlos

Najczęściej rano budzi mnie głos Brandona. Zwykle wyśpiewuje jedną z tych swoich porannych pioseneczek, które potem chodzą mi po głowie. „Panie Janie, panie Janie, rano wstań, rano wstań, wszystkie dzwony biją, wszystkie dzwony biją, bim, bam, bom, bim, bam, bom”. Każdego by to doprowadziło do szału.

Ale dziś to nie brat Kiary mnie budzi. Tylko głos Tucka wyjącego na korytarzu: *La cucaracha, la cucaracha, yano puede caminar, porque no tiene, porque le falta*, reszty nie znam la la la la!

Brandon nie denerwuje mnie z rozmysłem, ale Tuck przeciwnie: robi wszystko, żeby mnie wkurzyć.

– Może się już zamkniesz? – krzyczę. Mam nadzieję, że mnie usłyszy.

– Hej, *amigo* – mówi Tuck, otwierając drzwi. –

Słońce już wysoko!

Podnoszę głowę.

– Nikt ci nigdy nie mówił, do czego służą klucze w drzwiach?

Kręci w powietrzu wygiętym spinaczem.

– Jasne. Na szczęście wiem, jak działa magiczny wytrych.

– Wynoś się.

– Potrzebuję twojej pomocy, *amigo*.

– Nie ma mowy. Wynocha.

– Nienawidzisz mnie, dlatego że Kiara lubi mnie bardziej od ciebie?

– To stan przejściowy. Wynoś się, kurwa. I to już – mówię, ale koleś ani drgnie.

– Okej, bądźmy poważni. Nie wiem, czy to prawda, ale słyszałem, że ludzie używają wulgarnych słów, żeby zrekompensować sobie pewne braki. No wiesz, na przykład za mały rozmiar tego i owego.

Odrzucam kołdrę, wyskakuję z łóżka i gonię go po korytarzu, ale znika.

Kiara ostrożnie otwiera drzwi.

– Gdzie on jest? – pytam.

– Uhm.... – bąka.

Prześwietlam jej pokój, otwieram nawet drzwi do szafy. Jasne, stoi w środku.

– Żartowałem, Carlos. Nie znasz się na żartach, chłopie?

– Nie o siódmej rano.

Tuck się śmieje.

– Włóż coś na siebie, bo przestraszysz biedną Kiarę poranną stójką.

Zerkam na spodenki. No jasne, mam *la tengo dura*, na oczach Kiary i Tucka. Cholera. Sięgam po pierwszą z brzegu rzecz i zasłaniam się jak tarczą. Tak się składa, że to jeden z pluszaków Kiary, ale nie mam wielkiego wyboru.

– To Mojo – mówi Tuck i się śmieje. – Kapujesz? Mojo?

Bez słowa wracam do swojego pokoju i rzucam Mojo na podłogę. Znając Kiarę, pewnie będzie chciała, żebym jej kupił nowego pluszaka.

Siadam na łóżku i zastanawiam się, jak zbliżyć się do Kiary, skoro ciągle kręci się koło niej Tuck. Dziwię się, że w ogóle mi na tym zależy. Lubię ją całować, to wszystko. Pukanie do drzwi wyrywa mnie z zamyślenia.

– Czego chcesz? – pytam gburowato.

– To ja, Kiara.

– ... i Tuck – dodaje drugi głos.

Otwieram drzwi.

– Chce cię przeprosić – mówi Kiara.

– Przepraszam, że wszedłem do twojego pokoju bez pozwolenia – mówi Tuck, jak mały dzieciak, który nabroił. – Obiecuję, że nigdy więcej tego nie zrobię. Proszę o wybaczenie.

– Dobra już – zaczynam zamykać drzwi, ale Kiara je przytrzymuje.

– Poczekaj. Tuck naprawdę potrzebuje twojej pomocy, Carlos.

– W czym?

– Najlepsi mają tylko sześciu zawodników, a musi być siedmiu. To moja drużyna. Trzech

ludzi ma grypę, a dwóch zostało kontuzjowanych w ćwierćfinałach i nie może grać. Kiara uważa, że jesteś w miarę spoko.

W miarę spoko?

– Dlaczego sama z nimi nie zagrasz? – pytam Kiare. – Jesteś wysportowana.

– To nie jest żeńska drużyna – odpowiada. – Grają w niej sami faceci.

Tuck składa błagalnie ręce i czuję, że z jego ust zaraz popłynie gówniana gadka.

– Proszę, *amigo*. Potrzebujemy cię, Kimosabe, Jedyny i Wszechmocny. Potrzebujemy cię bardziej niż wschodu ziemi na zachodzie.

– Słońce wschodzi na wschodzie, bałwanie.

– Jeśli stoisz na Ziemi. Jeśli jesteś na Księżycu, to Ziemia wschodzi na zachodzie. Wchodzisz w to czy nie? Mecz zaczyna się za pół godziny. Jak nie będzie kompletu, to przegramy walkowerem. Niestety, jesteś ostatnią deską ratunku.

Patrzę na Kiare.

– Tuck naprawdę potrzebuje twojej pomocy. Przyjdę popatrzeć.

– Dobra, zgoda. Zrobię to. Dla ciebie – mówię do niej.

– Zaraz, zaraz...Co to znaczy, że zrobi to dla ciebie? – Tuck patrzy to na mnie, to na Kiarę, ale oboje milczymy. – Czy ktoś mi powie, co tu jest grane?

– Nie. Dajcie mi pięć minut.

Kiedy jedziemy na mecz, Kiara prosi, żebym zadzwonił do brata i poprosił go, żeby przyjechał.

– No zadzwoń – mówi. – Albo ja zadzwonię.

– Może wcale nie chcę, żeby przyjeżdżał.

Podaje mi swoją komórkę.

– A może bardzo chcesz, ale jesteś zbyt uparty, żeby się przyznać? Rzucam ci wyzwanie.

Po co ona to robi?

Biorę telefon i dzwonię do brata. Mówię mu o meczu. Bez wahania odpowiada, że przyjedzie.

Rozłączam się i oddaję Kiarze telefon, a Tuck

streszcza mi reguły gry. Staram się zapamiętać najważniejsze: kiedy złapię frisbee, muszę się zatrzymać i wykonać następne podanie w ciągu dziesięciu sekund.

– To nie jest sport kontaktowy, Carlos – przypomina mi Tuck po raz nie wiadomo który.
– Jeśli masz ochotę kogoś walnąć, popychać czy bić, zrób to po meczu.

Na boisku Tuck przedstawia mnie swojej drużynie. Nie daje mi spokoju jedna myśl: czy jeśli pomogę im wygrać, to w oczach Kiary stanę się bohaterem?

Ćwiczę z chłopakami przez dziesięć minut przed meczem. Nie rzucałem dysku od wielu lat, ale nie mam problemu z celnym podaniem innemu zawodnikowi.

Jeden z koleś z mojej drużyny mija mnie w biegu, mruga i klepie mnie w tyłek.

Co to ma, do diabła, być? Jakiś rytuał Najlepszych? Nie ze mną rytuały, które wymagają klepania po tyłku innych facetów.

Podchodzę do Tucka, który rozgrzewa się za linią boczną.

– Czy ten facet na mnie leci, czy coś mi się przywidziało?

– Ma na imię Larry. Uważa, że jesteś sexy, zupełnie nie wiem, dlaczego. Ślini się, odkąd tylko cię zobaczył. Nie zachęcaj go.

– Nie ma obawy.

– Proszę. – Tuck ryje w plecaku i rzuca mi koszulkę. – To koszulka meczowa.

Trzymam koszulkę w wyciągniętych rękach.

– Jest różowa.

– Masz coś przeciwko różowemu?

– I to dużo. To gejowski kolor.

Tuck zaciska ust.

– Hm, no tak. To chyba dobry moment, żebym ci coś wyznał, Carlos. Raczej ci się to nie spodoba.

Po słowach Tucka przyglądam się badawczo innym zawodnikom z mojej drużyny. Dennis ma dość kobiecego wygląd. Koleś, który mnie

klepnął w tyłek, przygryza teraz dolną wargę, jakby chciał mnie przelecieć. I te różowe koszulki...

– Ci kolesie to geje, tak?

– A po czym to poznałeś? Po różowych koszulkach czy po tym, że połowa drużyny ślini się na twój widok?

Wciskam mu koszulkę do rąk.

– Nie gram.

– Uspokój się, Carlos. Nie zostaniesz gejem, jeśli zagrasz w drużynie gejów. Nie bądź homofobem. To takie niepoprawne.

– Mam w dupie, czy jestem poprawny, czy nie.

– Pomyśl o kibicach, którzy będą rozczarowani. O Kiarze... i swoim bracie.

Nie wiem, czy Alex się śmieje, czy denerwuje: widzę tylko, że patrzy na mnie z trybun i podnosi w górę oba kciuki. Brittany też się tu nagle pojawiła nie wiadomo skąd. Rozmawiają sobie z Kiarą jak dwa gołąbki.

Wiem, że lepiej nie pytać, ale nie mogę się

powstrzymać.

– Jak się właściwie nazywa nasza drużyna?

– Najlepsze Cioty – mówi Tuck i wybucha śmiechem.

Wcale nie jest mi do śmiechu.

– Co jest? Nie podoba ci się ta nazwa? Jesteś teraz jednym z nas, Carlos.

To też mnie nie śmieszy.

Tuck łapie dysk podany przez jednego z koleśi i odrzuca.

– Ach, jeszcze o czymś zapomniałem. Zanim wyjdziemy na boisko, obejmujemy się w kółeczku i krzyczymy: „Cioty, do boju!” Jak najgłośniej!

Tego już za wiele.

– Spadam.

Zaczynam schodzić z boiska. Gdyby mnie zobaczył któryś z dawnych kumpli, nie miałbym życia od Atencingo do Acapulco i z powrotem.

– Żartowałem, chłopie – woła za mną Tuck. Staję.

– I nie nazywamy się Najlepsze Cioty. –
Podnosi w górę dłonie. – Okej, okej, nie
krzyczymy: „Cioty, do boju”, chociaż Joe, ten z
postawionymi włosami, proponował to na
początku sezonu. Nasza drużyna nazywa się po
prostu Najlepsi. Nie udało nam się wymyślić nic
lepszego, więc Larry zaproponował Najlepszych i
tak zostało. Ulżyło ci?

Kręcę głową i biorę od niego koszulkę.

– Nie wyplacisz się za to – mówię i zdejmuję
swoją T-shirt przez głowę, żeby włożyć różowy
strój.

– Wiem. Powiedz, czego chcesz, *amigo*.

– Później. – Zerkam na trybuny, na Kiare. –
Czy Kiara miała kiedyś chłopaka?

Przykłada palec wskazujący do brody.

– A mówiła ci o Michaelu?

– Co to za jeden? – pytam.

– Koleś, z którym chodziła w lecie.

Nigdy o nim nie wspomniała.

– Coś poważnego?

Tuck szczerzy się w uśmiechu.

– No, no, nie jesteś za ciekawy?

– Odpowiadaj.

– Powiedział jej, że ją kocha, a potem zerwał esemesem.

– Co za fiut.

– Dokładnie. – Tuck pokazuje na drugą część boiska, gdzie przygotowuje się przeciwna drużyna. – To ten wysoki koleś, który podnosi butelkę wody, o tam, ten z nazwiskiem Barra na koszulce.

– Ten z zieloną bandaną na głowie?

– No. Właśnie ten – mówi Tuck. – Michael Barra, esemesowy zrywacz.

– Jest łysy?

– Nie. Barra dba o swoje cenne owłosienie. Nie chce się potargać w czasie meczu. – Tuck kładzie rękę na mojej klacie. – Pamiętaj, co ci mówiłem w samochodzie, kiedy tłumaczyłem zasady. To nie jest sport kontaktowy, Carlos. Dostajemy karniaki za niepotrzebną brutalność.

– Uhm.

Patrzę na drugą stronę boiska, na byłego Kiary. Bierze łyk wody i rzuca butelkę w stronę bocznej linii. Nawet nie widzi, że trafił psa jednego z kibiców. Nawet nie znam gościa, a już go nienawidzę.

Zaczyna się mecz. Dennis bierze zamach i rzuca dysk na pole przeciwników. Idzie nam dobrze, dopóki jeden z przeciwników nie rzuca pod nosem jakichś obelg pod moim adresem, kiedy przechwytyję jego podanie. Krew gotuje mi się w żyłach tak jak zawsze, gdy ktoś mnie nazywa brudnym Meksykaninem.

Jestem gotowy do konfrontacji, nabuzowany i chętnie skopałbym tyłek któremuś z Najlepszych.

Chyba powinienem dać Tuckowi do zrozumienia, że rozgrzany do czerwoności *Mexicano* absolutnie nie będzie się dłużej wstrzymywał z brutalnymi zagraniami.

34. Kiara

Na widok Michaela ogarnia mnie dziwne uczucie. Wiedziałam, że tu będzie, ale nie miałam pojęcia, co będę czuła, gdy go zobaczę po zerwaniu. Myślałam, że zapali się chociaż jakaś isierka i przypomnę sobie, dlaczego z nim chodziłam, ale patrzę i patrzę na niego, i zupełnie nic nie czuję. Zrobiłam krok do przodu. Problem w tym, że osoba, w której zaczynam się zakochiwać mocno i błyskawicznie, nie chce niczego więcej niż krótki romansik. A mnie nie zależy na takim związku. Będę dalej udawać, że łączy nas tylko przelotne i niezobowiązujące zainteresowanie, ale kiedy jesteśmy razem, czuję się tak wspaniale, że to nie może być ani przelotne, ani niezobowiązujące.

Marzę o Carlosie, kiedy się rano budzę, rozmyślam w szkole, gdy coś mi o nim przypomni, i przed zaśnięciem. Z Michaeliem

było inaczej – nie czułam przypływu radości na samą myśl o nim, a Carlos... rozjaśnia każdy dzień.

Chociaż wychodzi ze skóry, żeby odgrywać dupka, to i tak codziennie wymyka się spod tej maski prawdziwy Carlos. Kiedy bawi się z moim bratem, pokazuje łagodność, którą ukrywa przed resztą świata. Kiedy ze mną żartuje, ujawnia chęć do zabawy. Kiedy mnie całuje, wyczuwam w nim rozpaczliwe pragnienie uczuć. Kiedy gotuje meksykańskie potrawy albo wplata hiszpańskie słówka do angielskiego, jego przywiązanie do dziedzictwa i kultury swojego kraju błyszczy jak promień światła.

Wiem, że Carlos ma wielkie zalety i że to właśnie z ich powodu czuję z nim taką więź, jak z nikim do tego pory. Ale nie pozwala mi zobaczyć swojej ciemnej strony, tej, która budzi w nim złość i zawiść, i poczucie klęski. I wiem, że właśnie przez to nie chce się uczuciowo zaangażować.

Drużyny ustawiają się w szeregu na swoich polach, a Tuck rozpoczyna grę. Michael wybiega pierwszy i łapie dysk, po czym szybko podaje kolejnemu zawodnikowi ze swojej drużyny. Problem w tym, że Carlos błyskawicznie przejmuje jego podanie.

W pierwszych dwóch minutach gry Najlepsi zdobywają punkt. Tuck przybija piątkę z Carlosem. Miło mi, kiedy widzę, jak współpracują, zamiast się kłócić.

– Carlos jest naprawdę dobry – mówi Brittany do Aleksa i do mnie.

– Jest Fuentesem, musi być dobry – odpowiada z dumą Alex.

Wiedziałam, że Carlos sobie poradzi. Gdyby nie sądził, że będzie w tym dobry, nie zgodziłby się zagrać.

Kiedy Carlos znowu przejmuje frisbee, Michael staje przed nim i coś mówi. Obaj wyglądają, jakby mieli się zaraz rzucić na siebie z pięściami. Nie myślę się. Carlos podaje dysk

swojemu zawodnikowi, a potem popycha Michaela, aż ten ląduje na tyłku.

– Faul! – krzyczy ktoś z drużyny Michaela.

– Gównu prawda – kłóci się Carlos. – Wszedł mi przed twarz.

– Dokuczał naszemu zawodnikowi – woła Tuck i pokazuje na Michaela. – Ten koleś powinien dostać karniaka za wyzwiska.

Michael wstaje i pokazuje na Carlosa.

– To on włązi przede mnie od początku meczu!

– Gramy jeden na jednego – mówi Tuck. – Krył cię.

– Popchnął mnie. Sam widziałeś. Powinien być wykopnięty!

Jeśli wykopną Carlosa, mecz się skończy, bo Najlepsi nie mają rezerwowych. Carlos na mnie patrzy. Serce fika mi koziołka. Zgodził się zagrać nie dlatego, że go poprosił Tuck. Robi to dla mnie... i mam niejasne podejrzenie, że właśnie z mojego powodu jest agresywny wobec

Michaela.

Na szczęście konflikt nie wymyka się spod kontroli i mecz zostaje wznowiony. Przez następną godzinę patrzę spokojnie na jego przebieg. Najlepsi wygrywają trzynaście do dziewięciu.

Schodzę z trybun i widzę, że Michael idzie w moją stronę. Wygląda tak jak w lecie, tylko jest spocony. Zdjął bandanę. Jego jasnobrązowe włosy są perfekcyjnie zaczesane na jeden bok. Kiedyś podziwiałam, że nigdy nie ma potarganych włosów, ale teraz mnie to wkurza.

Michael wyciera ręcznikiem pot z twarzy.

– Nie wiedziałem, czy przyjdiesz na mecz.
– Tuck grał – mówię, jakby to wszystko wyjaśniało. – I Carlos.

Marszczy brwi.

– Który to Carlos? Ten gej, z którym o mało się nie pobiliśmy?

– Tak. Ale nie jest gejem.

– Tylko nie mów, że z nim jesteś.

– Nie nazwałabym tego w ten sposób. Jesteśmy tylko...

Nagle wyrasta przed nami Carlos. Jest bez koszulki. Wślizguje się między mnie i Michaela i zostawia smużki potu na jego przedramieniu. Mój eks patrzy z obrzydzeniem na swoje ramię i ściera ręcznikiem pot Carlosa. Ale Carlosowi nie wystarcza to wejście smoka. Staje obok mnie i obejmuje mnie za ramiona.

– Kręcimy ze sobą – mówi do Michaela.

Ten kompletnie lekceważy obecność Carlosa i pyta mnie:

– Co to znaczy?

– To znaczy, koleś, że każdej nocy ma w rękach gorące latynoskie ciacho – odpowiada za mnie Carlos, po czym pochyla głowę, żeby mnie pocałować.

Tym razem nie ulegam, strącam jego ramię i się odsuwam. Powiedział to tak, jakby mnie bzykał, jakbyśmy byli przyjaciółmi świadczącymi sobie pewne usługi, a może...

nawet nie przyjaciółmi.

– Przestań – odzywam się do niego.

– O co ci chodzi?

– Przestań się zgrywać. Zachowuj się normalnie. – Staram się zachować twarz przed Michaeliem, a jednocześnie ukryć fakt, że Carlos mnie zranił.

– Normalnie? Nie jestem dla ciebie wystarczająco normalny? – mówi Carlos. – Chcesz tego kolesia zamiast mnie? Zauważyłaś, że jego włosy są przyklejone do czachy? To nie jest normalne. Jak chcesz z nim znowu chodzić, to wolna droga. Do diabła, jeśli chcesz za niego wyjść i do końca życia być Kiarą Barr, to też nie będę płakał.

– To nie jest to, czego...

– Nie chcę tego słuchać. *Hasta*. – Carlos mnie ignoruje i odchodzi.

Czuję, że twarz mi płonie ze wstydu. Patrzę na Michaela.

– Sorry. Carlos jest czasem irytujący.

– Nie musisz przepraszać. Facet ma wyraźnie jakieś poważne problemy, a tak nawiasem mówiąc, moje włosy się ruszają... kiedy tego chcę. Posłuchaj – mówi, zmieniając temat. – Moja drużyna jedzie na lunch do Old Chicago na Pearl Street. Pojedź z nami, Kiaro. Musimy porozmawiać.

– Nie mogę. – Patrzę na Tucka, Brittany i Aleksa. – Przyjechałam ze znajomymi...

Michael macha ręką do jednego z chłopaków z drużyny.

– Muszę iść. Jeśli zmienisz zdanie, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Idę do Brittany i Aleksa, którzy rozmawiają z Tuckiem przy moim wozie. Carlosa nigdzie nie widać.

– Wszystko dobrze? – pyta mnie Brittany.

Kiwam głową.

– Tak.

– Wybacz wścibstwo – mówi Brittany – ale widziałam, że Carlos cię obejmował. Odszedł

wyraźnie wkurzony i gdzieś zniknął. Czy ty i Carlos...

– Nie. Nie jesteśmy.

– Udają, że ze sobą chodzą, ale Kiara wcale nie udaje – odzywa się Tuck.

– Poszukam go – mówi Alex, kręcąc głową ze złością. – I powiem mu do słuchu.

– Nie, nie – jestem w panice. – Proszę, nie rób tego.

– Czemu nie? Nie może sobie udawać, że chodzi z dziewczynami i traktować je jak...

– Alex – przerywa mu Brittany – niech Kiara i Carlos załatwią to sami.

– Ale on jest głu... – przerywa w pół zdania, gdy Brittany ściska go za rękę.

– Załatwią to sami – zapewnia go Brittany z uśmiechem. – Nie wtrącaj się.

– Musisz tak logicznie myśleć? – pyta ją.

– Muszę, bo mój chłopak ma gorącą krew i zawsze jest gotowy do kłótni – odpowiada, po czym odwraca się do mnie i Tucka. – To typowe

cechy Fuentesów. Wszystko się ułoży, Kiara –
zapewnia mnie.

A ja po prostu nie wiem, czy do tego czasu
moje serce nie będzie już w strzępach.

agnesa

35. Carlos

Carlos, możesz mi pomóc przy samochodzie żony? – pyta Westford późnym popołudniem.

Popijam na werandzie jedną ze specjalnych herbatek pani W.

– Jasne – mówię. – W czym problem?

– Pomożesz mi zmienić olej? Muszę też sprawdzić, czy tłumik nie nawalił. Colleen mówi, że coś jej dudni w aucie.

Pomagam profesorowi unieść samochód podnośnikiem i oprzeć go na ceglach, które przytargał do garażu. Obaj wsuwamy się pod auto, podczas gdy olej spływa do małego wiaderka.

– Dobrze się bawiłeś rano na meczu? – pyta profesorek.

– Tak, nie licząc tego, że nie wiedziałem, że będę grał w drużynie gejów.

– To ci przeszkadzało?

Z początku tak, ale później byliśmy już tylko grupą facetów z jednej drużyny.

– Nie. Wiedział pan, że Tuck jest gejem?

– Postawił sprawę jasno, kiedy kilka lat temu u nas zamieszkał. Jego rodzice przeprowadzali wtedy burzliwy rozwód i potrzebował spokojnego miejsca. – Odkłada latarkę i patrzy na mnie. – Coś jak ty.

– Może pan pożałować tej decyzji, kiedy panu powiem, że Kiara i ja spędzamy razem dużo czasu.

– To dobrze. Dlaczego miałbym z tego powodu żałować, że pozwoliłem ci tu zamieszkać?

Żałuję, że muszę to mówić, kiedy leżymy pod samochodem.

– A co pan na to, że ją pocałowałem?

– Aha – mówi. – Rozumiem.

Zastanawiam się, czy nie ma przypadkiem ochoty spuścić na mnie auto i rozwlec moje flaki po podjeździe. Albo dać mi do wypicia olej silnikowy, chyba że obiecuję, że będę trzymał

swoje brudne meksykańskie łapy z dala od jego córki.

– Pewnie prędzej czy później dowiedziałby się pan o tym od kogoś innego – wyjaśniam.

– Doceniam twoją szczerą, Carlos. To dowodzi prawości charakteru i jestem z ciebie dumny. Na pewno nie było ci łatwo to wyznać.

– Więc nie wykopnie mnie pan z domu ani nic? – Muszę wiedzieć, czy wieczorem nie znajdę się na ulicy.

Westford kręci głową.

– Nie, nie wykopnę cię. Oboje macie tyle lat, że powinniście zachowywać się odpowiedzialnie. Sam byłem kiedyś nastolatkiem i nie jestem taki naiwny, żeby myśleć, że dzisiejsze dzieciaki są inne niż my. Ale uważaj, bo jeśli włos jej spadnie z głowy albo zmusisz ją do czegoś, czego by nie chciała, to wtedy nie tylko wykopnę cię z domu, ale obedrę ze skóry. Jasne?

– Jasne.

– To dobrze. Weź latarkę i sprawdź ten tłumik.

Może trzeba go przepłukać.

Biorę od niego latarkę, ale zanim wychodzę spod samochodu, mówię:

– Dzięki.

– Za co?

– Że nie traktuje mnie pan jak oprycha.

– Nie ma za co – mówi z uśmiechem.

Po skończeniu roboty przy samochodzie pani Westford dzwonię do mamy i Luisa. Opowiadam im o meczu Najlepszych, o Kiarze, Westfordach i różnych bzdurach. Fajnie, że mogę porozmawiać z *mi familia*. Kiedy mówię im, że nie rzuciłem szkoły, czuję, że mam wiernych kibiców. Już dawno tak dobrze się nie czułem. Oczywiście, nie wspominam o Devlinie, bo nie chcę, żeby *mi'amá* się tym martwiła.

Po rozmowie idę do kuchni, ale nie ma nikogo z Westfordów.

– Jesteśmy w telewizyjnym – woła do mnie pani W. – Chodź do nas.

Cała rodzina siedzi przed telewizorem w

niedużym pokoju na uboczu. Profesor i jego żona na fotelach, a Kiara i Brandon razem na sofie. Przed nimi leżą na małym stoliku kawałki lasagne.

– Weź talerz, nałóż sobie lasagne i usiądź – instruuje mnie Westford.

– To Rodzinny Wieczór Rozrywki! – krzyczy Brandon i skacze po sofie.

– Rodzinny Wieczór Rozrywki? – powtarzam.
– Co to takiego?

Pani W. podaje mi talerz.

– Robimy coś razem, całą rodziną. Urządzamy to raz w miesiącu.

– Nabieracie mnie, co?

Rozglądam się po pokoju i widzę, że wcale nie żartują. Naprawdę mają Rodzinny Wieczór Rozrywki i naprawdę chcą spędzać razem czas w sobotni wieczór.

Patrzę na Kiarę i myślę sobie, że nie byłoby źle posiedzieć z nią przed telewizorem. Nakładam sobie jedzenie i siadam na sofie.

– Posuń się, *cachorro*.

Brandon przesuwa się między mnie a Kiareę.

Po kolacji odnoszę talerze do kuchni, a Kiara robi popcorn.

– Nie musisz z nami siedzieć, jeśli nie chcesz – mówi.

Wzruszam ramionami.

– I tak nie chciałem wychodzić.

Rzucam w powietrze kawałek popcornu i łapię ustami.

Wracam do pokoju, ale myślę tylko o Kiarze, jakby innych nie było. Leci film rysunkowy, który wybrał Brandon, ale co chwilę zerkam na nią ukradkowo.

– Bran, czas spać – mówi pani Westford po filmie.

– Chcę jeszcze zostać – jęczy i chwyta się ramienia Kiary.

– Nie ma mowy. Już późno – odpowiada pani Westford. – Daj buziaka siostrze i Carlosowi i chodź na górę.

Brandon staje na sofie i rzuca się w ramiona Kiary. Przytula go mocno i całuje w policzek.

– Ja cię kocham bardziej niż ty mnie – mówi mały.

– Niemożliwe – odpowiada Kiara.

Wysuwa się z jej ramiona i skacze do mnie po kanapie. Otwiera szeroko ramiona i obejmuje mnie za szyję.

– Kocham cię, *amigo*.

– Mówisz *Español, cachorro*?

– Tak. Nauczyłem się na lekcji. *Amigo* to przyjaciel.

Klepię go po plecach.

– Moja mała *Mexicano* papużka.

– Co to znaczy?

– Wyjaśni ci rano. Czas spać, Bran – mówi pani W. – No chodź. Nie przedłużaj.

– Wybierzcie następny film – prosi Westford, rzucając nam pilota. – Idę zrobić więcej popcornu. Bran, przyjdę ci powiedzieć dobranoc, jak będziesz w piżamie i umyjesz zęby.

Pani W. zabiera Brandona na górę, a profesor idzie do kuchni z miskami po popcornie. Zostaje z Kiarą sam. Nareszcie.

Trzymam jedną rękę na oparciu sofy, a drugą opieram na kolanie. Jestem do bólu świadomy obecności tej dziewczyny. Wstaje i podchodzi do regału z rzędami płyt – najwyraźniej Westfordowie mają własną kolekcję. Nigdy wcześniej nie byłem w domu z takim zbiorem filmów.

– Przy tobie nie umiem zachowywać się normalnie – mówię.

Odwraca się do mnie zaskoczona.

– O czym ty mówisz?

– Dziś rano przy Michaelu poprosiłaś, żebym się normalnie zachowywał. – Biorę głęboki oddech i chcę powiedzieć to, co powinienem był powiedzieć zaraz po meczu, czyli prawdę. Wtedy by mnie nie ignorowała, kiedy w końcu wróciłem do domu. – Nie potrafię. Kiedy Tuck mi powiedział, że chodziłaś z Michaelem, to

wyobrażałem sobie was razem i dostawałem świra. Nie chcę, żebyś była z innym facetem.

– Nie chcę być z innym facetem. Chcę być z tobą. Wybierz film, zanim powiem coś, czego nie chcesz usłyszeć. – Macha na mnie ręką. – No wybierz.

– Wybierz, co chcesz. Jest mi obojętnie – mówię i wolę nie pytać o to, czego nie chciałbym usłyszeć. Zupełnie mi wystarczy to, co już powiedziała. Chce być ze mną. A ja chcę być z nią. Po co to komplikować dalszymi wyznaniem?

Wybiera *West Side Story* i wybucha śmiechem.

– Lubisz ten film?

– Tak. Lubię taniec. I śpiew.

Zastanawiam się, czy rusza się tak dobrze, jak naprawia samochody. I czy uważa, że mieszane rasowo pary są z góry skazane na niepowodzenie z powodu różnic.

– Tańczysz?

– Trochę. A ty? To znaczy, uhm, coś oprócz horyzontalnego tanga.

Kiara mnie czasem zadziwia. Za każdym razem jestem w szoku, kiedy ujawnia swoją gorącą naturę.

– Tak. W Meksyku co tydzień chodziliśmy z przyjaciółmi do klubów. Tańczyliśmy, podrywaliśmy dziewczyny, piliśmy, ćpaliśmy... dla zabawy. A teraz jestem tutaj i biorę udział w Rodzinnym Wieczorze Rozrywek z Westfordami. Czasy się zdecydowanie zmieniły.

– Nie wolno brać prochów.

– A ty robisz tylko to, co wolno? Daj życie, Kiara, nie wierzę. Na pewno nie jesteś taka niewinna, jak sobie wszyscy myślą. Jesteś taka sama jak reszta grzeszników. Nie palisz, nie pijesz, nie bierzesz prochów, okej. Ale masz inne wady. Każdy ma. – Milczy, więc mówię dalej: – Zaszokuj mnie czymś.

Siada na sofie.

– Mam cię zaszokować?

– Tak. Do szpiku kości.

Przysiada na kolanach i wychyla się do mnie.

– Myślę o tobie, Carlos – szepcze mi do ucha. – W nocy, w łóżku. Myślę, jak się całujemy, jak nasze języki się dotykają, myślę o twoich rękach w moich włosach. Myślę, że chciałabym poczuć dotyk twojej twardej klatki piersiowej i wtedy dotykam mojej...

– Przyniosłem popcorn! – Westford wparowuje do pokoju z dwoma dużymi miskami wypełnionymi po brzegi świeżo uprażonym popcornem. – Kiara, co ty robisz?

Scena musi budzić jednoznaczne skojarzenia. Kiara pochyla się nade mną wsparta na rękach. Jej twarz jest tuż przy mojej.

Przełykam. Mam przed oczami obraz, który mi podsunęła, i nie mogę złapać tchu. Wpatruję się prosto w oczy Kiary, ale nie wiem, czy mnie nabiera. W jej wzroku płonie ogień, ale nie wiem, czy z namiętności, czy z podniecenia, że próbowała mnie pokonać moją własną bronią.

Milczę. Niech Kiara coś wykombinuje.

Odchyła się na piętach.

– Uhm... ja... uhm... nic takiego.

Westford patrzy na mnie pytająco.

– Lepiej niech pan nie pyta – mówię.

– O co nie masz pytać? – odzywa się pani W.,
wchodząc do pokoju.

Profesor podaje mi popcorn, a pani W. rozsiada się w fotelu. Zaczynam przeżuwać, żebym nie musiał nic mówić.

– Nie mogę wydusić słowa wyjaśnienia od tych nastolatków – oznajmia Westford.

Kiara siada na drugim końcu sofy.

– Mamo, tato, co byście zrobili, gdybyście nas przyłapali, jak się całujemy?

36. Kiara

Chciałam, żeby to zabrzmiało jak luźna hipoteza. Nie przypuszczałam, że Carlos zakrztusi się popcornem.

– Nic ci nie jest? – pytam, bo coraz mocniej kaszle.

Carlos patrzy na mnie, jakbym była największą wariatką pod słońcem.

– Po co, do diabła, ich o to pytasz?

– Bo chcę znać odpowiedź.

Czuję, że rodzice próbują porozumieć się telepatycznie, żeby udzielić jednakowej odpowiedzi.

– No cóż... – zaczyna mama. – Hm...

– Mama chce powiedzieć – śpieszy jej na ratunek tata – że też kiedyś byliśmy nastolatkami, więc rozumiemy, że eksperymentowanie to normalna rzecz w tym wieku...

– Ale musicie zawsze szanować siebie i swoje ciało – dodaje mama. Przypuszczam, że z rozmysłem nie odpowiada wprost na pytanie.

– Tak, matko.

Tata bierze pilota.

– No dobrze, skoro to ustaliliśmy, to powiedz, jaki film wybraliście.

Trochę mi głupio, kiedy mówię:

– *West Side Story*.

Oglądamy film, ale od czasu do czasu Carlos parska, jakby niektóre momenty go śmieszyły. Na końcu płaczę na całego i musi mi podać chusteczkę ze stolika.

– Podaj mi też – mówi mama, pociągając nosem. – Tyle razy oglądałam ten film, ale zawsze płaczę.

– Nie cierpię tego zakończenia – oznajmiam wszem wobec, kiedy wyjmuję płytę z odtwarzacza i wkładam następną.

Mój tata odwraca się do Carlosa.

– Sam widzisz, jak jest. Moje kobiety lubią

szczęśliwe zakończenia.

Mama, która z włosami spiętymi klamrą wygląda jak nastolatka, patrzy na tatę.

– Co wam się nie podoba w szczęśliwych zakończeniach?

– Nie są realistyczne – odpowiada Carlos.

– Nie wiem, jak inni... ale ja idę spać. Jestem skonany – mówi tata i wstaje z krzesła, jęcząc i przeciągając się. – Moje stare kości nie wytrzymują dłużej niż do północy. Do zobaczenia rano.

Mama woła za nim:

– Zaraz do ciebie przyjdę.

Puszczamy kolejny film. Tym razem kino akcji, więc pewnie coś w guście Carlosa. Po dziesięciu minutach mama ziewa.

– Co prawda, jestem młodsza od taty, Kiaro, ale też nie wytrzymuję siedzenia do nocy. – Wstaje, ale przed wyjściem, ustawia pauzę i grozi nam palcem. – Zaufanie i szacunek. – Mówi pod naszym adresem, po czym rzuca Carlosowi

pilota i znika.

– Twoja mama wie, jak zepsuć nastrój – zauważa przeciągle Carlos.

Oglądamy dalej. Kilka razy zerkam na Carlosa. Chyba wciągnął go film, bo zniknęło zwykle napięcie i wygląda na odprężonego.

Łapie mój wzrok.

– Chcesz wody? – pyta.

– Jasne.

Znika w kuchni, ale wraca po kilku minutach z dwoma szklankami lodowatej wody.

W pokoju jest ciemno, nie licząc jarzącego się ekranu telewizora. Jego palce muskają moje, kiedy odbieram szklankę. Nie wiem, czy też to poczuł, ale moje ciało reaguje na delikatny dotyk jego dłoni i nie sposób tego zignorować. To nie to samo co dziś rano po meczu, kiedy objął mnie na pokaz.

Waha się, a jego oczy napotykają mój wzrok. Otacza nas ciemność, jesteśmy sami i niczego bardziej nie pragnę, jak powiedzieć mu, że chcę,

aby mnie dotykał, wszędzie, mimo że moja mama zepsuła nastrój.

Zaufanie i szacunek. Ufam Carlosowi. Wiem, że nie robi mi fizycznej krzywdy, ale uczucia to co innego. Szybko odwracam wzrok i podnoszę szklankę zimnej wody do ust, bo w przeciwnym razie poprosiłabym go, żeby znowu mnie pocałował bez względu na konsekwencje.

Bez słowa wyciąga swoje szczupłe ciało na sofie. Nasze uda niemal się dotykają i chociaż film wciąż leci, to jestem w stanie myśleć tylko o Carlosie.

Bohater utknął w magazynie z piękną blondynką. Podejrzewa, że dziewczyna może być po stronie złych, ale nie może się jej oprzeć i zaczynają się całować.

Carlos zmienia pozycję, chrząka i bierze kolejny łyk wody. Potem następny. I jeszcze jeden.

Zastanawiam się, czy ta scena nie kojarzy mi się z moją fantazją na nasz temat. Biorę powoli

głęboki oddech i staram się skupić na filmie, żeby nie zwracać uwagi na to, że nasze kolana się stykają.

Po chwili zerkam na niego. Wygląda, jakby spał, ale nie mam pewności.

– Carlos? – mówię ostrożnie.

Otwiera oczy, te czarne głębiny, w których odbija się światło telewizora. Nie sposób nie dostrzec w nich namiętności i pożądania.

– Tak?

– Spałeś?

Śmieje się.

– Nie. Daleko mi do tego. Przekonywałem się w myślach, żeby się do ciebie nie dobierać.

W jednej chwili zapominam o filmie, przewyciężam lęki i postanawiam sprawdzić, co jest między nami. Wstaję i zamykam na klucz drzwi do pokoju, żeby zapewnić nam trochę prywatności.

– Zakłuczyłaś drzwi – mówi.

– Wiem.

Nie jestem mocna w gadaniu, a gdybym teraz chciała coś powiedzieć, zaczęłaby się jąkać i po nastroju. Nie potrafię powiedzieć mu, co czuję, ale z pewnością mogę to pokazać. Nagle uświadamiam sobie, że ufam temu chłopakowi, nawet jeśli on nie ufa samemu sobie.

Kłękam obok niego na sofie i powoli podnoszę drżącą rękę do jego twarzy. Wodzę palcami po kielkującym zarostcie. Oddech Carlosa się rwie.

– Kiara...

Kładę palce na jego pięknych, pełnych wargach.

– Ciii.

– Czy... mamy zamiar... wpakować się... w kłopoty? – pyta.

Pochylam się nad nim. Słowa powoli cichną, gdy zbliżam usta do jego warg. Przesuwam dłonie na pierś Carlosa i siadam mu okrakiem na kolanach, przytulając się mocno do twardego ciała. Czuję, jak jego ciepły oddech miesza się z moim oddechem i nie mogę się dłużej

powstrzymywać.

– W wielkie kłopoty – mówię.

Wiem, że nie będzie mój, ale chcę mu pokazać, co znaczy intymność połączona z prawdziwymi uczuciami.

Kiedy moje wargi dotykają delikatnie jego ust, wrywa się z nich jęk. Czuję pod dłońmi, jak wali mu serca. Wszystko we mnie topnieje, gdy słyszę słodki dźwięk naszych pocałunków. Carlos pozwala mi kontrolować sytuację, trzymając ręce nieruchomo po bokach, ale za każdym razem, gdy przykładam wargi do jego ust i odrywam je po kilku sekundach, jego oddech staje się coraz cięższy.

– Mogę cię posmakować? – szepcze.

Po raz kolejny pochylam głowę, kilka razy dotykam delikatnie jego ust, po czym zbieram się na odwagę, żeby rozchylić wargi i pogłębić pocałunek. Czuję przypływ energii, gdy nasze języki w końcu się dotykają i splatają. Och, chcę więcej. Odgłosy filmu stają się tylko odległym

tłem.

Bierze moją twarz w dłonie i zmusza mnie, żebym spojrzała w jego ciemne, seksowne oczy, pełne namiętności i pożądania.

- Prowadzisz niebezpieczną grę, *chica*.
- Wiem. Ale ufam ci.

agnesa

37. Carlos

Jej słowa dźwięczą mi w głowie. Ufam ci. Jest pierwszą dziewczyną, która mi to powiedziała. Nawet Destiny stwierdziła, że muszę zdobyć jej zaufanie, bo z początku myślała, że ją zwodzę. A tymczasem Kiara, dziewczyna, która wie, że nie będę jej rycerzem w lśniącej zbroi, ufa mi bez wahania. Siedzi na mnie okrakiem z ustami wilgotnymi od pocałunków. I jest szalona, bo myśli, że zachowam się, jak należy.

Otaczam dłońmi jej twarz. Szanuję tę dziewczynę tak bardzo, że muszę uczciwie powiedzieć jej prawdę.

– Nie ufaj mi.

Rumieńce wypełzają na jej policzki, kiedy sięga do włosów i ściąga z nich gumkę.

– Nie potrafię.

Strząsa włosy. Spadają na ramiona, a końce sięgają nad piersi. Nigdy w życiu nie widziałem

seksowniejszego widoku, a jeszcze nawet nie jest naga.

Jeszcze? Co ja sobie myślę? Nie mam zamiaru jej rozbierać. Ale chcę. Do diabła, niczego bardziej nie pragnę, jak zdjąć z niej warstwy ciuchów i badać zagłębienia i wypukłości oczami i rękoma. Moje ciało woła: Nie wahaj się! Chcesz tego. Ona też tego chce. W czym problem?

Problemem jest to cholerne słowo... zaufanie. Kiara mi ufa.

Zaciskam powieki. Co mam powiedzieć, żeby jej udowodnić, że jestem złym chłopakiem? Jest głupia, że mi ufa. Wykorzystam ją, jeśli da mi okazję, ale jak mam ją o tym przekonać?

Może się przestraszy, gdy jej pokażę, że jestem gotowy przejść na wyższy poziom tej gry. Obejmuję pośladki Kiary, a potem napieram na nią, nie pozostawiając wątpliwości co do swoich zamiarów.

Problem w tym, że zaczyna się poruszać razem ze mną. Cholera. Nie jest dobrze. Ma nade

mną za dużą władzę. Wolę mieć kontrolę, ale w tej chwili zupełnie ją straciłem.

Przyciągam Kiare do siebie i przywieram do jej ciała, błędząc rękoma wzdłuż pleców. W pokoju słysząc nasze ciężkie oddechy. Całe szczęście, że telewizor jest włączony. Przynajmniej zagłusza odgłosy, które wydajemy.

Odchylam się i patrzę w jej ufną twarz.

– Musisz przestać, zanim sprawy wymkną się spod kontroli, bo na mnie nie masz co liczyć.

Ignoruję fakt, że sprawy już wymknęły się spod kontroli, a Kiara nie ma najmniejszego zamiaru przestać.

Nieruchomieje i przyciska policzek do mojego.

– Jestem dziewicą – szepcze mi do ucha, jakby chciała się podzielić tym sekretem tylko ze mną.

O, do diabła.

Opieram głowę na sofie i mówię to, co myślę.

– Nie zachowujesz się jak dziewczyna.

– Bo chodzi o ciebie, Carlos. Tylko ty tak na

mnie działasz.

Przejmuję kontrolę. Nie powinna była tego mówić. Teraz wiem, że mam nad nią władzę, jeśli nie fizycznie, to przynajmniej mentalnie. Oddawanie mi kontroli nie jest z jej strony mądrym posunięciem.

Zabieram tę dziewczynę do niebezpiecznej strefy, ale sam spędziłem tam przecież większość życia. Powoli przesuwam dłonie w stronę jej talii.

– Zdejmij koszulkę, *chica*.

Chwyta brzeg koszulki. Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu, aż ujrzę to, co pod nią chowa. Podnoszę wzrok i widzę w jej oczach niepewność. I coś jeszcze, czego wolę nie nazywać.

Jednym szybki ruchem ściąga przez głowę wyciągnięty T-shirt i pokazuje ciało warte grzechu.

– Nie mam takiego ciała jak Madison – mówi nieśmiało i próbuje się zasłonić, krzyżując ręce

na piersi.

– Co?

– Nie jestem chuda.

Chudość nie jest moim ideałem. Wolę dziewczynę, którą można przytulić bez obawy, że się złamie.

Delikatnie odsuwam ręce Kiary i przyciskam je lekko do jej boków. Odchylam się i wlepiam oczy, kompletnie oniemiały, w różowy stanik skromnie zasłaniający piersi. Ta dziewczyna nie ma się czego wstydzic. Jest seksowna jak wszyscy diabli i w dodatku nie zdaje sobie sprawy, że ma lepsze ciało niż Madison, bez dwóch zdań. Kiara ma wypukłości i wgłębienia tam, gdzie Bóg przykazał. Chciałbym bez końca je pieścić i zapamiętać każdy centymetr. Czuję, że jestem największym farciarzem na świecie.

– *Eres hermosa...* jesteś piękna.

Nie podnosi oczu.

– Popatrz na mnie, *chica*.

Kiedy w końcu to robi, powtarzam:

– *Eres hermosa.*

– Co to znaczy?

– Jesteś piękna.

Pochyla się nade mną i przesuwa usta wzdłuż moich, obsypując je drobnymi pocałunkami.

– Twoja kolej – szepcze i przygryza wargę, czekając, aż ściągnę koszulkę.

Bez wahania rzucam T-shirt na podłogę.

– Mogę cię dotknąć? – pyta, jakby nie była w tej chwili wyłączną właścicielką mojego ciała.

Biorę jej dłoń i kładę na swojej nagiej piersi. Jej palce podejmują grę i torują powoli ścieżki w górę i dół mojego torsu. Każdy dotyk rozpala mi skórę, a kiedy jej palce zatrzymują się na tatuażu schowanym częściowo w dżinsach i zanurzają pod pasek, jest już prawie po mnie.

– Co to znaczy? – pyta, błędząc palcami po napisie.

– Buntownik – wyjaśniam.

Zanurzam palce w jej włosy i przyciągam ją do siebie. Muszę znowu ją posmakować. Muszę

poczuć jej miękkie usta na swoich. Zaczynamy się całować, jakby to był pierwszy i może ostatni raz, nasze języki i oddechy przenikają się gorączkowo.

Kiara bada dalej moje ciało, a ja skupiam się całkowicie na niej. Opuszczam ramiączka stanika, aż wiszą luźno na ramionach. Odchyła się do tyłu i nie potrafię wyobrazić sobie bardziej podniecającego widoku i seksowniejszej dziewczyny niż ta, która siedzi na mnie okrakiem. Puls gwałtownie mi przyśpiesza, kiedy zsuwam śliskie paski materiału.

Jej palce nieruchomieją, gdy dotykam jej nagich boków i przesuwam dłonie w górę, aż kciuki dosięgają brzegów piersi. Nic nie da się porównać z tą falą emocji, która mnie zalewa, gdy patrzę w roziskrzzone oczy Kiary.

– Myślę, że zaczynam się w tobie zakochiwać – mówi tak cicho, że mógłbym to wziąć za głos wyobraźni. Nagle rozlega się huk wystrzałów.

Pif! Pif! Pif!

Oszalały z paniki, rzucam Kiareę na sofę i zasłaniam ją swoim ciałem przed niebezpieczeństwem.

Podnoszę głowę, zupełnie skołowany. Zaraz, przecież w pokoju nie ma nikogo oprócz nas. Co do diabła?

Patrzę na ekran. Bohater filmu stoi nad martwym ciałem jakiegoś gościa, z którego piersi płynie krew. Odgłosy wystrzałów dochodziły z telewizora.

Odwracam oczy na oniemiałą, przerażoną, na pół rozebraną Kiareę.

– Przepraszam – mówię, schodząc z niej, i siadam na drugiej stronie sofy. – Przepraszam. To było w telewizorze. – Serce wali mi głośniejsz niż perkusja na koncercie rockowym. Kiedy usłyszałem wystrzał, w pierwszym odruchu chciałem bronić życia Kiary. Nawet poświęcając własne. Przeraża mnie sama myśl, że mógłbym ją stracić w taki sam sposób, jak straciłem ojca, a o mały włos także Aleksa. Czuję, że robi mi się

słabo.

Kurwa mać.

Złamałem zasadę numer jeden: nigdy nie angażować się uczuciowo.

Przecież miałem zamiar zadawać się tylko z dziewczynami, które chcą się dobrze zabawić? Słowo *amor* i jego odpowiednik „miłość” nie istnieje w moim słowniku. Nie nadaję się na czyjegoś chłopaka. Jeśli chcesz miłości i zaangażowania, nie pukaj do moich drzwi. Muszę się z tego wyplątać, zanim zabrnę na dobre.

– Już w porządku. – Siada i pochyła się nade mną, stanowczo za blisko. Nie mogę jasno myśleć, gdy czuję ciepło jej ciała. Ogarnia mnie uczucie klaustrofobii, jakbym był w pułapce. Muszę się stąd wydostać.

Odsuwam ją delikatnie, aby zwiększyć dystans.

– Nie, wcale nie jest w porządku. To nie jest w porządku. – Moja reakcja na wystrzały każe mi

spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Nie mogę zrobić tego z Kiarą. Przyciskam pięści do oczu i wydaję rozpaczliwe westchnienie. – Ubierz się – mówię i podnoszę jej koszulkę.

Gdy rzucam Kiarze za duży T-shirt, staram się unikać jej spojrzenia. Nie chcę widzieć w nim żalu, tym bardziej że sam go wywołałem.

– Ch-ch-chciałam t-t-tego – jąka się drżącym głosem. – T-t-ty t-t-też.

Cholera. Jest tak poruszona, że nie może wydobyć z siebie słowa. Lepiej by było, gdyby mnie znienawidziła, zamiast zakochiwać się we mnie.

– No dobra, potrzebuję dziewczyny, która będzie się ze mną pieprzyć, a nie deklamować dozogonną miłość.

– Ja n-n-nie...

Podnoszę rękę, żeby zamilkła. Wiem, co chce powiedzieć. Że wcale nie mówiła, że to się zmieni w coś więcej.

– Powiedziałaś, że zakochujesz się we mnie, a

to ostatnia rzecz, jaką chce usłyszeć taki facet jak ja. Przyznaj się, Kiara. Takie dziewczyny jak ty chcą obciąć facetowi jaja i powiesić jak maskotkę na wstecznym lusterku.

Nawijam jak kompletny *pendejo*. Słowa płyną z moich ust, zanim zdążę pomyśleć, co wygaduję. Wiem, że każde z nich ją rani. Czuję się podle, że muszę jej to robić, ale powinna wiedzieć, że nie będę facetem, który ją wesprze w razie potrzeby. Sprawa z Devlinem wciąż wisi mi nad głową, a z tej konfrontacji mogę nie wrócić żywy. Nie chciałbym za nic w świecie, żeby Kiara opłakiwała kogoś, kto w ogóle nie zasługuje na jej miłość.

- Możemy zostać przyjaciółmi... – mówię.
- Przyjaciółmi, którzy się pieprzą, bez uczuć?
- Tak. Co w tym złego?
- Chcę czegoś więcej.
- To się nie spełni. Jeśli chcesz więcej, znajdź sobie innego palanta.

Kieruję się do drzwi, bo muszę natychmiast

stąd wyjść, zanim padnę na kolana i zacznę ją błagać, żeby znowu wzięła mnie w ramiona i dokończyła to, co zaczęliśmy. Gdy wychodzę, staram się wyrzucić z głowy jej obraz. Marne szanse, że mi się to uda.

Idę do siebie i siadam na łóżku. Nie ma sensu się kłaść, bo i tak nie zasnę. Nie tej nocy. Kręcę głową, bo nie mogę się nadziwić, jak mogłem się wpakować w taki bajzel. Zostawienie jej samej w tamtym pokoju było pierwszą niesamolubną rzeczą, jaką zrobiłem po przyjeździe do Kolorado.

Szkoda tylko, że czuję się jak skończony gówniarz.

38. Kiara

Siedzę w telewizyjnym i myślę o tym, co między nami zaszło. Wciąż powtarzałam sobie, że bzykanie się z Carlosem nie pomoże zbudować poważnego związku, ale miałam nadzieję na coś przeciwnego. Dokładnie wiedziałam, co robię, a ponieważ to nie wypaliło, muszę uznać fakt, że Carlos ma rację. Nie jest materiałem na mojego chłopaka. Chce tylko dziewczyny, która rozbierze się dla niego i nie będzie wymagała w zamian żadnych zobowiązań ani obietnic.

Chce dziewczyny takiej jak Madison.

Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Byłam głupia, jeśli myślałam, że oddając mu swoje ciało, zdołam go zmienić. Czy naprawdę sądziłam, że ta zdumiewająca fizyczna więź między nami może sprawić, że będzie chciał związać się ze mną na stałe? Szczerze mówiąc,

tak.

Kiedy się całowaliśmy, było idealnie. Dokładnie tak, jak chciałam, jak oczekiwałam, jak marzyłam. Gdy tylko ujął w dłonie moją twarz, było po mnie. Wiedziałam, że nic, co odczuwałam z Michaelem, nie daje się porównać z tą intensywnością wrażeń, jakie mnie rozpalają przy Carlosie.

A teraz wszystko przepadło, bo Carlos mnie odtrącił. I w dodatku język tak mi skołowaciał, że nie mogłam wykrztusić słowa bez jąkania.

Och, tak strasznie mi wstyd. Jak spojrzę mu w oczy rano? Co gorsza, jak spojrzę w oczy samej sobie?

39. Carlos

Ostatniej nocy przespałem jakieś dwie godziny. Kiedy budzi mnie słońce, jęczę i kulę się w łóżku, żeby jeszcze trochę pospać. To prawie niemożliwe w pokoju tak żółtym jak samo słońce. Gdy będę koło sklepu z farbami, kupię czarną i przemaluję to miejsce, żeby pasowało do mojego nastroju.

Leżę na boku i przyciskam poduszkę do oczu. Gdy znowu je otwieram, jest dziesiąta.

Dzwonię do *mi'amá*, bo muszę znowu usłyszeć jej głos. Mówi, że chce kupić bilety, żeby mnie odwiedzić. Wyczuwam w jej głosie podekscytowanie, jakiego nie słyszałem od lat. Przypominam sobie, że obiecałem pani W., że pomogę jej dzisiaj w sklepie. Wyślę *mi'amá* dodatkową kasę, żeby miała na podróż.

Biorę prysznic i pukam do drzwi pokoju Kiary. Nie ma jej, więc idę na dół.

– Gdzie jest Kiara? – pytam Brandona, który gra w jakąś grę na komputerze w gabinecie profesora.

Nie wiem, czy mnie ignoruje, czy nie słyszy.

– Hej, Ścigaczu! – wołam.

– Co jest? – mówi Brandon, ale się nie odwraca.

Staję obok niego i patrzę, w co się tak wkręcił. Na ekranie jakaś banda rysunkowych postaci spaceruje po parku. W narożniku widzę napis: „Towar: 3 gramy kokainy, 7 gramów marihuany”.

– Co to za gra? – pytam dzieciaka.

– W handlowanie.

Ten dzieciak jest pieprzonym elektronicznym dilerem.

– Wyłącz to – mówię.

– Czemu?

– Bo to głupia gra.

– Skąd wiesz? – Brandon patrzy na mnie niewinnym wzrokiem. – Chyba w to nie grałeś.

– Właśnie że grałem. – I to w realu. I robiłem to tylko po to, żeby przetrwać. Ale Brandon ma wybór i nie musi handlować narkotykami, żeby przeżyć. Nie ma sensu, żeby grał w grę, która już przedszkolakom wbija do głowy takie rzeczy.

– Wyłącz to, Brandon, albo sam to zrobię. Nie żartuję.

Wysuwa brodę i gra dalej.

– Nie.

– W czym problem? – pyta Westford, wchodząc do pokoju.

– Carlos kazał mi wyłączyć grę. Tatusiu, powiedziałaś, że mogę pograć na twoim komputerze i znalazłem grę w handlowanie. Wszyscy moi koledzy w to grają.

Pokazuję na Brandona.

– Pana syn i jego koledzy są elektronicznymi handlarzami narkotyków – mówię do Westforda.

Profesor robi wielkie oczy i podchodzi do ekranu.

– Handlarze narkotyków? Brandon, w co ty grasz?

Wychodzę z pokoju, kiedy Westford tłumaczy Brandonowi, że niedozwolone narkotyki nie mogą być towarem. Potem mruczy coś na temat rodzicielskiej kontroli i że nie można w ten sposób zastąpić rodziców, i że powinien bardziej uważać, co Brandon robi na komputerze.

Wychodzę na dwór. Kiara majstruje coś przy samochodzie. Nogi wystają jej spod przednich drzwi. Leży wsunięta pod deskę rozdzielczą i wywija śrubokrętem.

– Pomóc ci? – pytam.

– Nie – mówi, nie patrząc na mnie.

– Mogę obejrzeć drzwi? Może dam radę je naprawić.

– Są w porządku.

– Wcale nie. Zacięły się. Nie możesz w nieskończoność jeździć z zepsutymi.

– Uważaj.

Schylam się z boku samochodu. Czekam. I

czekam. Jeśli nie wyłoni się za kilka minut, to wyciągnę ją stamtąd siłą.

Z domu wychodzi Westford.

– Kiara, o której jedziecie z Carlosem do Hospitali-Tea?

– Jak tylko uda mi się połączyć kabelki, tato. Na razie mi nie wychodzi.

– Pewnie trzeba je przylutować – mówię do niej, chociaż wiem, że w tej chwili nie chce mojej rady.

– Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa. Carlos, chcę zamienić z tobą słówko. – Westford kiwa na mnie palcami. – Chodź do mojego gabinetu.

Sądząc po jego minie, coś do mnie ma. Prawdę mówiąc, nic dziwnego. Wczoraj w nocy dobierałem się do jego córki.

Po drodze mijam Brandona, który ogląda kreskówkę w telewizyjnym.

– Co się dzieje? – pytam profesora i siadam.

– Najwyraźniej nie to, co powinno. – Rzuca mi T-shirt, który miałem na sobie wieczorem. –

Znalazłem to na podłodze w pokoju telewizyjnym. Co tam wyprawialiście?

Okej, czyli już wie, że się miętoliliśmy. Dobrze chociaż, że na koszulce nie leżał stanik Kiary.

– Taaak... sprawy trochę nam się wymknęły, kiedy pani W. poszła spać – odpowiadam.

– Tego właśnie się obawiałem. Colleen i ja uważamy, że z dziećmi trzeba rozmawiać otwarcie. I chociaż nie jesteś moim rodzonym synem, w tym momencie jestem za ciebie odpowiedzialny. – Profesor przeciera twarz dłonią i wciąga głośno powietrze. – Myślałem, że jestem przygotowany do takiej rozmowy. Też byłem kiedyś nastolatkiem i robiłem to samo w domu rodziców. – Patrzy na mnie. – Oczywiście, bardziej uważałem, żeby nie zostawiać dowodów.

– To się więcej nie powtórzy, sir.

– Co? Zostawianie dowodów czy kręcenie z moją córką w moim domu? I daruj sobie to „sir”. Nie jesteśmy w wojsku.

– To ja mu się narzucałam, tato. – Kiara staje w drzwiach. – To nie była jego wina.

Profesor marszczy czoło i mówi:

– Do tanga trzeba dwojga. Nie mam zamiaru nikogo obwiniać. Po prostu rozmawiamy. Szkoda, że nie ma twojej mamy. Ona lepiej sobie radzi z takimi sprawami. Czy pomyśleliście chociaż o zabezpieczeniu?

Kiara wydaje jęk i zwija się ze wstydu.

– Tato, nie uprawialiśmy seksu.

– Och – mówi profesor. – Naprawdę?

Kręcę głową.

Nie mieści mi się we łbie, że to się dzieje naprawdę. Ojcowie w Meksyku nie prowadzą takich rozmówek, zwłaszcza z chłopakami, z którymi kręcą ich córki. Najpierw skopaliby kolesiovi tyłek, a potem zadawali pytania. A na koniec zabroniliby córce wychodzić z domu bez przyzwoitki. Nie zajmują się takimi bzdurami jak „otwarte rozmowy”.

Czuję się, jakbym brał udział w jakimś

programie telewizyjnym białasów, i nie jestem pewien, co mam powiedzieć. Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby jakiś ojciec chciał rozmawiać o takiej gównianej sprawie. Czy to normalne, czy dotyczy tylko ojców, którzy są psychologami i ryją nam w mózgach?

– Nie jestem taki głupi, żeby myśleć, że mogę wam wyperswadować robienie tego... co tam robiliście – mówi dalej Westford. – Ale ustanawiam nową zasadę: koniec z migdaleniem się pod moim dachem. Jeśli wam to utrudnię, to może dwa razy się zastanowicie. I powiem wam jedno, jako twój ojciec, Kiaro, i twój opiekun, Carlosie, lepiej pozostać w dziewictwie do ślubu.

Opiera się i uśmiecha do nas, wyraźnie zadowolony z ostatniej kwestii. Szkoda, że ta rozmowa odbywa się kilka lat za późno, przynajmniej dla mnie.

– A pan był prawiczkiem, kiedy brał pan ślub?
– pytam prowokacyjnie. Jego uśmiech szybko gaśnie.

– Tak, hm, cóż... To były zupełnie inne czasy. Dzisiaj dzieci są mądrzejsze i lepiej wykształcone. Wiedzą o nieuleczalnych chorobach... wiedzą, co może grozić obojgu partnerom, jeśli nie pozostają w poważnym, monogamicznym i odpowiedzialnym związku. – Kiwa na nas palcem. – I nie zapominajcie o słowie na „c”.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. ¿*Perdón?*

– O słowie na „c”?

– O ciąży! – Profesor patrzy na mnie, mrużąc oczy. – Nie chcę jeszcze być dziadkiem, i to przez długi, długi, długi czas.

Myślę o mamie, która zaszła w ciążę, kiedy miała siedemnaście lat. *Mi'amá* kazała mi obiecać, że zawsze będę używał prezerwatywy – nie chciała, żeby któryś z jej synów skończył tak jak ona i *mi papá*. Do diabła, sama schowała kilka kondomów między moje majtki, żebym pamiętał.

Ostatnia noc przeraziła mnie jak diabli. Bo

choć zawsze uważam, żeby zabezpieczyć siebie i dziewczynę, z którą się bzykam, to nie wiem, czy ostatniej nocy byłbym w stanie się powstrzymać, mimo że w zasięgu ręki nie było prezerwatywy. I pomyśleć, że byłem trzeźwy jak niemowlę. Gdyby nie te strzały z telewizora, które mnie śmiertelnie przestraszyły, to rozmowa z profesorem wyglądałaby zupełnie inaczej.

– Tato, my wszystko wiemy – włącza się Kiara.

– Nie zaszkodzi przypomnienie, zwłaszcza w świetle faktu, że koszulka Carlosa leżała rano w pokoju telewizyjnym.

Podnoszę T-shirt, żeby Kiara wiedziała, o co chodzi. Krztusi się ze zdziwienia.

– Och.

Westford zerka na zegar na biurku.

– Muszę zabrać Brandona na dwór, zanim uzależni się od telewizji. – Wyciąga ręce, jakby chciał mi dać prezent. – Carlos, czy wszystko jasne?

– Tak – mówię. – Możemy ze sobą kręcić, pod warunkiem że nie w pana domu i że nie będzie pan o tym wiedział.

– Wiem, że sobie żartujesz. Bo żartujesz, prawda?

– Może.

Kiara wchodzi do pokoju.

– Tato, on żartuje.

Profesor wymawia słowa, odliczając je na palcach, i przygważdża mnie wzrokiem:

– Pamiętaj... po pierwsze: poważny, po drugie: monogamiczny, po trzecie: odpowiedzialny związek, po czwarte: nie pod moim dachem i po piąte: oparty na zaufaniu.

– Zapomniał pan o po szóste: słowo na „c” – przypominam mu.

Kiwa głową.

– Tak. Słowo na „c”. Wystarczyłby jeden dzień w wojsku, Carlos, żeby wybili ci z głowy tę arogancję.

– Szkoda, że nie planuję wstąpienia do armii.

– Wielka szkoda. Gdybyś wstąpił i wkładał tyle energii w bycie żołnierzem, ile wkładasz w wymądrzanie się, daleko byś zaszedł. Mam ochotę wsadzić do pralki coś czerwonego, żeby twoje majtki zafarbowały na różowo. Wtedy byś pamiętał o tej rozmowie.

Wzruszam ramionami.

– W porządku. Nie noszę majtek – kłamię.

– Wypad, mądralo – mówi i wypycha nas za drzwi. Mam wrażenie, że kącik ust drga mu z rozbawienia, ale to szybko gaśnie. – Znikajcie oboje z mojego gabinetu. I niech to zostanie między nami. Zabierajcie się do sklepu. Moja żona ma zamiar zaprząć was do pracy. Tylko żadnych przystanków po drodze – woła za nami, kiedy jesteśmy już na korytarzu. – Zadzwonię tam za piętnaście minut i dowiem się, czy dotarliście.

40. Kiara

Posłuchaj, *chica*... – mówi Carlos, kiedy kilka minut później jedziemy do sklepu mamy.

Zaciskam dłonie na kierownicy.

– Nie mów tak na mnie.

– To jak mam mówić?

Wzruszam ramionami.

– Jak chcesz. Tylko nie *chica*.

Włączam radio, ale wciąż nie działa. Ściskam kierownicę jeszcze mocniej i koncentruję się na drodze, chociaż stoimy właśnie na czerwonym świetle.

Carlos podnosi ręce.

– Czego ode mnie chcesz? Żebym kłamał? Tego chcesz? Okej, będę kłamał. Kiara, bez ciebie jestem niczym. Kiara, masz moje serce i duszę. Kiara, kiedy nie ma cię przy mnie, moje życie jest bez sensu. Kiara, kocham cię. To chcesz usłyszeć?

– Tak.

– Jeśli nawet jakiś facet to mówi, nie robi tego na poważnie.

– Założę się, że twój brat mówi to Brittany na poważnie.

– To dlatego, że stracił rozum. Myślałem, że akurat ty nie dasz się nabrać na moje gadki.

– I tak jest. To, że chciałam, żebyś był moim prawdziwym chłopakiem, to tylko błąd w ocenie – mówię. – Ale już to mam za sobą. Niczego od ciebie nie oczekuję i uświadomiłam sobie, że wcale nie jesteś w moim typie. Właściwie – zerkam na niego – może zadzwonię do Michaela. Chce się znowu spotykać.

Carlos wyjmuję komórkę z mojej torebki. Próbuję mu ją wyrwać, ale jest szybszy.

– Co ty wyprawiasz?

– Skup się na drodze, Kiara. Chyba nie chcesz, żebyśmy się rozbili?

– Oddaj telefon – rozkazuję.

– Oddam. Ale muszę coś sprawdzić.

Na następnych światłach odbieram mu komórkę. Czytam esemesa, którego Carlos wysłał Michaelowi: „Pieprz się”.

– Nie wierzę.

– Lepiej uwierz. – Opiera się wygodnie, zadowolony z siebie. – Później mi podziękujesz.

Podziękować mu? Podziękować mu! Zjeżdżam na pobocze, biorę torebkę i celuję jak pałą w głowę Carlosa.

Udaremnia cios, chwytając torebkę.

– Nie wierzę, że chciałaś znowu kręcić z tym kolesiem.

– Nie wiem już, czego chcę.

Włączam się do ruchu i jadę do sklepu mamy. Parkuję i wysiadam, nie czekając na Carlosa.

– Kiara, zaczekaj. – Carlos burczy coś, gdy wysiada przez okno. Słyszę, że rusza za mną biegiem. – Naprawię te cholerne drzwi, nawet jak to będzie ostatnia rzecz, którą zrobię. – Przejeżdża dłonią po włosach. – Posłuchaj, gdyby sprawy wyglądały inaczej...

– Jakie sprawy?

– To skomplikowane.

Odwracam się plecami. Jeśli mi nie powie, nie ma sensu się kłócić.

– Cześć, dzieciaki! – Mama wychodzi przed sklep, przerywając naszą rozmowę. – Kiaro, przygotowałam rachunki z zeszłego miesiąca i ostatniego tygodnia. Zrób wszystko, żeby się zgadzały. Carlos, chodź ze mną.

Siedzę w biurze, zapisuję rachunki i robię obliczenia, a mama wyjaśnia Carlosowi, jak porozdzielać pudełka z luźnymi liśćmi herbaty, które niedawno dostała.

Około pierwszej po południu mama wstawia głowę w drzwi i prosi, żebym przyszła do kuchenki na lunch. Mama nie wyczuwa na razie, że w powietrzu wisi napięcie. Chciałaby, żeby wszyscy byli non stop szczęśliwi i energetyczni, więc jestem ciekawa, kiedy zauważy, że poziom szczęścia w tym pokoiku jest bliski zeru.

– Dostałam to od Teddy’ego, sprzedawcy,

który ma stragan na zewnątrz – mówi i wyjmuje z torby jedzenie.

– Co to jest? – pyta Carlos, kiedy podaje mu paczkę.

– Organiczny wegański hot dog.

– A co to jest wegański hot dog?

– Jedzenie wegetariańskie. Bez produktów pochodzenia zwierzęcego.

Carlos ostrożnie odwija swojego hot doga.

– Od zdrowego jedzenia się nie umiera, Carlos – mówi mama. – Ale jeśli tego nie lubisz, to pójde ci kupić przetworzoną żywność.

Zaczynam jeść wegańskiego hot doga. Te wszystkie zdrowe rzeczy, którymi karmi nas mama, na ogół mi smakują, ale od czasu do czasu lubię zjeść coś przetworzonego.

Carlos wbija zęby w hot doga.

– Nawet dobry. Są do tego frytki?

Mało nie wybucham śmiechem, kiedy mama podaje mu na serwetce garść pomarańczowych frytek.

– To frytki z pieczonych słodkich ziemniaków. Ze skórką, żeby było więcej błonnika. Jeśli się nie mylę, zawierają też tłuszcz omega-3.

– Lubię jeść i nie myśleć, co jest w środku – mówi Carlos, przeżuając.

Mama nalewa nam po szklance mrożonej herbaty z dużego dzbanka, który przygotowała.

– Powinieneś zwracać uwagę na to, czym się odżywasz. Na przykład ta herbata to mieszanka acai, ekstraktu ze skórki pomarańczy i mięty.

– Mamo, jedz – mówię, bo wiem, że jak jej nie przerwę, to palnie nam wykład o antyoksydantach i wolnych rodnikach.

– Już dobrze, dobrze. – Wyjmuje swojego hot doga i zaczyna jeść. – Jak wam się podobał film?

– Był dobry – odpowiadam i liczę w duchu, że nie spyta o szczegóły, bo nie mam pojęcia, o czym był.

Bierze frytkę i odgryza kawałek.

– Trochę za dużo przemocy. Nie lubię takich filmów.

– Ja też nie – mówię.

Carlos siedzi cicho. Czuję na sobie jego wzrok, ale nie podnoszę oczu. Skupiam się na wszystkim, byle tylko nie patrzeć na niego.

Drzwi do kuchenki otwierają się i zagląda Iris, jedna z weekendowych pracownic mamy.

– Colleen, jakaś klientka chce rozmawiać tylko z tobą. Chyba jej się śpieszy.

Moja mama odgryza ostatni kawałek hot doga.

– Obowiązki wzywają.

Wstaję i też chcę wyjść, ale Carlos łapie mnie za nadgarstek. Boże, tak bym chciała, żeby przyciągnął mnie do siebie i powiedział, że ostatnia noc nie była pomyłką. To, co jest między nami, nie musi być skomplikowane.

– Nie chodzi o ciebie. Nie zdarzyło mi się, żebym tak bardzo chciał z kimś być od czasu... – urywa i puszcza mój nadgarstek.

– Od czasu? – pytam.

– Nieważne.

– Dla mnie ważne.

Waha się, jakby nie chciał wymawiać jej imienia.

– Od czasu Destiny – mówi w końcu i nie potrafi ukryć, że jeszcze coś do niej czuje. Wymawia jej imię tak, jakby pieścił każdą sylabę.

Jestem zazdrosna jak diabli. Nie mogę rywalizować z Destiny. Carlos najwyraźniej jeszcze ją kocha.

– Rozumiem.

– Nie, nic nie rozumiesz. Wczoraj w nocy przestraszyłem się jak wszyscy diabli, Kiara. Bo poczułem coś, czego nie czułem...

– Od czasu Destiny – kończę.

– Nie dopuszczę do tego, żeby po raz drugi zakochać się tak w dziewczynie.

– Czy nadal mam udawać w szkole, że ze sobą chodzimy?

– Jeszcze przez jakiś czas, aż Madison odpuści.

– Patrzy na mnie. – Wtedy wymyślimy jakiś

falszywy powód zerwania. Umowa stoi?

– Tak.

Wracam do biura mamy i wpatruję się w rachunki. Liczby rozmywają mi się przed oczami. Odkładam ołówek, obejmuję głowę rękoma i wzdycham.

Byłam głupia. Niepotrzebnie powiedziałam Carlosowi, że zaczynam się w nim zakochiwać. Tylko go przestraszyłam. Przez całe życie się powstrzymywałam. Aż poznałam Carlosa. Dla niego mogłabym rzucić się przed siebie na oślep i nie żałować ani sekundy.

Kiedy grał z moim bratem w nogę, widziałam przeblyski jego wspaniałomyślności. Okazuje ją tylko tym, którzy według niego są tego warci. Wiedziałam, że w przypadku Carlosa człowiek niekoniecznie otrzymuje to, co widzi.

Pod koniec dnia pracy odnajduję go na zapleczu. Starannie miesza różne składniki do mamy herbatek.

– Wiem, jaki powód zerwania możemy podać

– mówię.

– Wal.

– Taki, że nadal jesteś zakochany w Destiny.

Jego palce nieruchomieją.

– Znajdź inny.

– Na przykład?

– Nie wiem. Inny. – Ustawia składniki na półkach. – Idę do warsztatu pogadać z Alekssem. Powiedz rodzicom, że wrócę później.

– Mogę cię podwieźć – proponuję. – Też już wychodzę.

Kręci głową.

– Chcę się przejść.

Kilka minut później odprowadzam go wzrokiem, gdy wychodzi tylnymi drzwiami. Zastanawiam się, czy nie chce przypadkiem jak najszybciej uwolnić się ode mnie.

41. Carlos

Gdy jestem już daleko od herbaciarni, wyciągam telefon, który dostałem od Brittany. Wybieram numer Devlina i czekam.

W końcu odbiera.

– Mówi Carlos Fuentes. Chciał pan zwrócić moją uwagę. I udało się.

– Ach, *señor* Fuentes. Czekałem na ten telefon – mówi łagodny głos po drugiej stronie. Domyślałam się, że to Devlin.

– Czego pan ode mnie chce? – pytam prosto z mostu, żeby wiedział, że nie dam się zbyć.

– Chcę tylko porozmawiać.

Nie zatrzymuję się ani na chwilę, bo mam obsesję, że wysłał za mną ogony.

– To po co kazał pan Nickowi Glassowi, żeby mnie wrobił?

– Musiałem przyciągnąć twoją uwagę, Fuentes. Ale skoro się odezwałeś, to czas się

spotkać.

Cały sztywnieję. Obojętnie, czy tego chcę, czy nie, będę musiał spotkać się z Devlinem.

– Kiedy?

– Może zaraz?

– Twoi ludzie za mną łążą? – pytam, chociaż z góry znam odpowiedź.

– Oczywiście, Fuentes. Jestem biznesmenem, a ty moim nowym narybkiem. Muszę cię mieć na oku.

– Nie powiedziałem, że będę dla ciebie pracował.

– Nie, ale będziesz. Powiedziano mi, że się do tego nadajesz.

– Kto?

– Powiedzmy, że jeden *Guerrero*. Dostyc gadania. Jak podjedzie do ciebie mój człowiek, wsiadaj do wozu.

– Skąd będę wiedzieć, że to twój człowiek – pytam go.

Devlin się śmieje.

– Rozpoznasz go.

Rozłącza się. Kilka minut później zatrzymuje się przy mnie czarny SUV z przyciemnionymi szybami. Biorę głęboki oddech. Drzwi się otwierają. Jestem gotowy na spotkanie z tym, co mnie czeka. Obojętnie, co mówi *mi familia*, to moje przeznaczenie.

Wsuwam się na tylne siedzenie i rozpoznaję Diega Rodrigueza, *Guerrero*, który był tak wysoko w hierarchii, że wszyscy o nim gadali, ale mało kto go widział. Kiwam głową i zastanawiam się, co robi u Wesa Devlina. Wiem, że niektórzy goście uważają się za hybrydy i nie chcą należeć do konkretnego gangu, ale nigdy nie słyszałem, aby ktoś tak ważny w organizacji mógł się wymknąć z sieci.

– Dawno cię nie widziałem – mówi Rodriguez.

Z przodu siedzą dwaj biali, którzy wyglądają jak kulturyści albo faceci do zadań specjalnych, czyli obijania innym mordy. Mają kogoś chronić, ale na pewno tym kimś nie jestem ja.

– Gdzie jest Devlin? – pytam.

– Niedługo się z nim spotkasz.

Patrzę przez okno, żeby sprawdzić, dokąd jedziemy, ale to bez sensu. Nie znam okolicy i jestem zdany na łaskę tych koleśków. Ciekawe, co by zrobiła Kiara, gdyby wiedziała, że jadę samochodem z tą bandą zbirów. Prawdopodobnie powiedziałyby, że mogłem nie wsiadać do auta. Wiem jedno, muszę być czujny i ani na chwilę nie tracić kontroli.

Moje myśli odpływają do Kiary. Wczoraj w nocy, kiedy ją objąłem i poczułem dotyk jej miękkiej skóry, zupełnie straciłem kontrolę. Do diabła, wziąłbym wszystko, co chciała mi dać, i nie przejmowałbym się konsekwencjami.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Diego, przerywając mi rozmyślanie o Kiarze i o tym, do czego mogło dojść.

„Miejsce” to duży dom za cementowym murem otaczającym posesję. Wpuszczają nas do środka. Diego prowadzi mnie do frontowych

drzwi i do gabinetu, który jest taki wielki, że onieśmieliłby nawet dyrektora generalnego korporacji.

Za biurkiem z ciemnego drewna siedzi jakiś blondas. Pewnie Devlin. Ma na sobie granatowe ubranie i jasnoniebieski krawat pod kolor oczu. Pokazuje mi, żebym usiadł po drugiej stronie. Nie siadam, więc dwóch przerośniętych koleś z samochodu staje po obu moich bokach.

Jestem na niebezpiecznym terytorium, ale wytrzymuję presję.

– Powiedz swoim pieskom, żeby dały mi spokój – mówię.

Devlin każe koleśiom odejść, więc ci natychmiast ruszają do drzwi i je blokują. Ciekawe, ile im płaci, żeby chodzili na dwóch łapkach.

Diego też jest w pokoju, cichy zastępca szefa. Devlin odchyła się w krześle i taksuje mnie wzrokiem.

– Więc to ty jesteś Carlos Fuentes, ten, o

którym Diego tyle mi opowiadał. Mówi, że urwał się z *Guerrero del barrio*. Śmiałe posunięcie, Carlos, ale jak postawisz nogę w Meksyku, będziesz martwy.

– I po to mnie tu ściągnąłeś? – pytam. – Jeśli skumałeś się z *Guerrero del barrio* i kazali ci pozbyć się mnie, to po co Nick mnie wrobił?

– Bo nie chcemy się ciebie pozbyć, Fuentes – wtrąca Diego. – Mamy zamiar cię wykorzystać.

Mam ochotę wygarnąć im, że nikt nie będzie mnie kontrolował ani wykorzystywał, ale się powstrzymuję. Im więcej powiedzą, tym więcej informacji uzyskam.

– Prawda jest taka, Fuentes – mówi Diego – że moglibyśmy odesłać cię do *Guerreros* w kawałkach, ale robimy ci przysługę, a ty nam się odwdzięczysz jako chłopak na posyłki.

Chłopak na posyłki. To znaczy, że mam być ich ulicznym dilerem i nie puścić pary, jeśli mnie gliny nakryją. Włożyli prochy do mojej szafki, żeby sprawdzić, czy wsypię Nicka. Gdybym to

zrobił, załatwiliby mnie bez wahania i teraz leżałbym już pewnie w kostnicy. Udowodniłem, że nie jestem kapusiem, więc uznali, że mogę się przydać. To przypomina grę komputerową Brandona, tylko że ta toczy się na śmierć i życie.

Devlin wychyla się do przodu.

– Postawmy sprawę jasno, Fuentes. Pracujesz z nami, to nie masz się czym martwić. No i będziesz bogatym dzieciakiem. – Wyciąga z biurka kopertę i przesuwą w moją stronę. – Zajrzyj.

Biorę kopertę. W środku jest plik studolarówek – więcej niż kiedykolwiek miałem w ręku. Odkładam ją z powrotem na biurko.

– Zabierz ją, jest twoja – mówi Devlin. – Niech ci da przedsmak tego, co możesz zarobić u mnie w tydzień.

– To rodzina Devlinów jest powiązana z *Guerreros*? Kiedy to się stało?

– Sprzymierzam się z każdym, kto pomoże mi zbliżyć się do ostatecznego celu.

– A jaki to cel? Władza nad światem?

Devlin się nie śmieje.

– Na tę chwilę chodzi o przyjęcie dostaw, które idą z Meksyku. I dopilnowanie, żeby trafiły tam, gdzie trzeba, jeśli rozumiesz, o czym mówię. Rodriguez uważa, że masz do tego kwalifikacje. Nie jestem szefem ulicznego gangu, który walczy o terytorium, nie interesuje mnie twój kolor skóry ani narodowość. Jestem biznesmenem, prowadzę interesy. Mam gdzieś, czy jesteś czarny, biały, z Azji czy z Meksyku. Do diabła, pracuje dla mnie więcej Rosjan niż na Kremlu. Dopóki przynosisz mi zyski, chcę, żebyś dla mnie pracował.

– A jeśli ja nie chcę? – pytam.

Devlin patrzy na Rodrigueza.

– Twoja *mamá* mieszka w Atencingo, tak? – pyta Rodriguez i od niechcienia robi krok w moją stronę. – Z twoim młodszym bratem. Chyba ma na imię Luis. Słodki dzieciak. Mój człowiek obserwuje ich od kilku tygodni. Wystarczy jedno

słowo, a polecą kulki. Będą martwi w mgnieniu oka.

Przyskakuję do Rodrigueza, nie zważając na to, że prawdopodobnie ma broń. Nikt nie będzie groził mojej rodzinie. Zasłania twarz rękoma, ale jestem szybki i dopadam go, zanim dwaj napakowani goście chwytają mnie za ręce i odciągają.

– Jeśli zrobisz coś *mi familia*, wyrwę ci to pieprzone serce gołymi rękami – ostrzegam i staram się oswobodzić.

Rodriguez trzyma się za policzek, w który mu przyłożyłem.

– Nie pozwólcie mu odejść – rozkazuje, a potem rzuca pod moim adresem stek przekleństw po angielsku i hiszpańsku. – Jesteś *loco*, wiesz?

– *Sí. Muy loco* – mówię, kiedy jeden z koleśków luzuje chwyt, żeby złapać mnie mocniej. Wymierzam mu mocnego kopniaka, aż ląduje na ścianie, z której z impetem spada obraz i

rozbija się o podłogę. Rozglądam się, co jeszcze mogę zniszczyć, żeby pokazać im, że nie jestem jakimś zasrańcem, który stuli ogon ze strachu, kiedy ktoś grozi jego rodzinie.

Do pokoju wpadają jeszcze dwaj kolesie. Cholera. Jestem twardy i umiem kopnąć w dupę, ale pięciu nie dam rady. Nie licząc Devlina, który siedzi w wielkim skórzanym fotelu i patrzy, jak się naparzamy, jakby to była najlepsza rozrywka na świecie.

Udaje mi się oswobodzić i bronię się przez kilka minut, ale dwóch gości napiera i przyciska mnie do ściany. Trzeci zaczyna okładać mnie pięściami, aż robi mi się ciemno w oczach. Nie wiem nawet, czy to Rodriguez, czy któryś z tamtej czwórki. Świat się rozmywa.

Próbuję walczyć, ale po każdym ciosie w żołądek zwijam się z bólu. Kiedy pięść ląduje na mojej szczęce, po kilku uderzeniach czuję smak krwi. Wałą we mnie jak w wór treningowy.

Zbieram całą energię, ignorując nieznośny

ból. Wyrywam się i rzucaam do przodu. Zderzam się boleśnie z jednym z nich. Nie poddam się bez walki, nawet jeśli nie mam szans na wygraną.

Moja przewaga jest krótkotrwała. Odciągają mnie i przewracają na dywan. Jeśli uda mi się wstać, może jeszcze któregoś walnę, ale biją mnie pięściami i nogami, gdzie popadnie, i czuję, że moja energia gaśnie. Mocny i bolesny kopniak w plecy uzmysławia mi, że jeden z nich ma podkute metalem buciory. Ostatkiem sił łapię gościa za nogę. Potyka się, ale to nie ma znaczenia. Jestem pokonany. Nie mam siły walczyć, nie mam energii... Przerażliwy ból przeszywa całe ciało przy każdym ruchu. Mogę się tylko modlić o to, żebym szybko stracił przytomność... albo umarł. W tej chwili powitałbym z radością i jedno, i drugie.

Kiedy przestaję się bronić, Devlin krzyczy, żeby przestali.

– Podnieście go – rozkazuje.

Sadzają mnie na krześle naprzeciw Devlina,

który nadal patrzy na mnie jak wszechmocny prezes korporacji w nieskazitelnym garniturze. Moja koszula wisi w strzępach, cała upaprana krwią.

Devlin podnosi mi głowę.

– Uznaj, że w ten sposób wystąpiłeś z *Guerreros del barrio* i dołączyłeś do rodziny Devlina. Jesteś teraz Devlinem. Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

Nie odpowiadam. Do diabła, nie wiem nawet, czy dałbym radę, gdybym chciał. Ale wiem na pewno, że nie jestem Devlinem i nigdy nie będę.

– Doceniam twojego ducha walki, ale nie niszczone mi więcej domu i nie rzucaj się na moich ludzi, bo cię wykończymy.

Wychodzi z pokoju, ale przedtem każe swoim ludziom posprzątać gabinet.

Ściągają mnie z krzesła. Potem nic nie wiem. Odzyskuję świadomość, kiedy upychają mnie na tylne siedzenie SUV-a.

– Nie walcz ze mną ani z Devlinem – mówi

Rodriguez, kiedy wracamy. – Mamy wielkie plany i jesteś nam potrzebny. Ludzie Devlina nie mają powiązań z Meksykiem tak jak my. Dzięki temu jesteśmy dla niego cenni.

W tej chwili nie czuję się zbyt cenny. Głowa chce mi eksplodować.

– Zatrzymaj się – rozkazuje Rodriguez kierowcy, kiedy jesteśmy kilka domów od posesji Westfordów. Otwiera drzwi i wyciąga mnie z auta. – Lepiej pilnuj tej dziewczyny, z którą mieszkasz. Nie chciałbym, żeby coś jej się stało. – Wsiada do wozu i rzuca mi kopertę z pieniędzmi. – Za tydzień będziesz jak nowy. Odezwę się – mówi i odjeżdża.

Ledwie trzymam się na nogach, ale zmuszam się, żeby dojść do frontowych drzwi domu Westfordów. Założę się, że wyglądam tak samo, jak się czuję: jak kupa gówna. Wchodzę do środka i próbuję przemknąć się na górę, żeby mnie nikt nie widział. Wciskam koszulę w usta, żeby krew nie nakapała na dywan.

Idę prosto do łazienki. Problem w tym, że Kiara z niej wychodzi, gdy próbuję wejść.

Jedno spojrzenie na mnie, a wydaje okrzyk przestachu i zasłania usta ręką.

– Carlos! Och, mój Boże, co się stało?

– Skoro mnie rozpoznajesz z tą pulpą zamiast twarzy, to dobry znak, no nie?

agnesa

42. Kiara

Serce wali mi jak dzikie ze strachu. Jestem w szoku, kiedy Carlos mnie mija i pochyla się nad umywalką.

– Zamknij drzwi – mówi i jęczy z bólu, plując krwią. – Nie chcę, żeby twoi rodzice mnie zobaczyli.

Zamykam drzwi i podchodzę szybko do niego.

– Co się stało?

– Skopali mi tyłek.

– To widać. – Ściągam z suszarki ciemnoniebieski ręcznik i moczę go pod kranem. – Ale kto?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. – Płucze usta i patrzy na swoje odbicie w lustrze. Wargi ma poprzecinane i wciąż krwawi, a lewe oko spuchło jak bania. Wyobrażam sobie, jak musi wyglądać reszta ciała.

– Musisz jechać do szpitala. I zadzwonić na

policję.

Odwraca się do mnie i marszczy twarz z wyraźnym bólem.

– Nie ma mowy o szpitalu. I policji. – Z jękiem wymawia każde słowo. – Do rana się poprawi.

– Sam w to nie wierzysz.

Znowu się krzywi. Czuję jego ból, jakby był moim własnym.

– Usiądź – mówię i pokazuję na brzeg wanny.
– Pomogę ci.

Carlos naprawdę musi być wykończony, emocjonalnie tak samo jak fizycznie, bo bez słowa siada na brzegu wanny i nie rusza się, gdy moczę ręcznik i delikatnie zmywam krew z jego ust, które jeszcze wczoraj w nocy się śmiały, kiedy go całowałam. Teraz nie są w stanie się uśmiechnąć.

Ostrożnie dotykam otwartych ran. Boleśnie odczuwam naszą bliskość. Przytrzymuje moją rękę, gdy przesuвам ręcznik po jego opuchniętej twarzy.

– Dzięki – mówi, kiedy patrzę w jego smutne oczy.

Muszę uciec przez tym intensywnym spojrzeniem, więc znowu moczę ręcznik i go wykręcam.

– Mam nadzieję, że tamci wyglądają gorzej.

Wydobywa z siebie krótki śmiech.

– Było ich pięciu. Wszyscy wyglądają lepiej niż ja, ale trzymałem się przez jakiś czas. Byłabyś ze mnie dumna.

– Wątpię. Ty zacząłeś?

– Nie pamiętam.

Pięciu facetów? Wolę nie pytać o szczegóły, bo od samego patrzenia na jego pokiereszowaną twarz wykręca mi się żołądek. Ale chcę wiedzieć, co się stało. Na umywalce leży koperta. Podnoszę ją i widzę w środku plik banknotów. Studolarowych. Bardzo gruby plik. Podaję kopertę Carlosowi.

– To twoje? – pytam ostrożnie.

– Tak jakby.

Nie wiem, skąd ma pieniądze, ale przez moją głowę przelatuje milion scenariuszy. Żaden z nich nie jest dobry, ale to nie najlepszy moment, żeby go wypytywać, skąd i dlaczego ma tyle forsy. Jest cały obolały i powinnam zawieźć go do szpitala.

Podnoszę palec i zatrzymuję między jego oczami.

– Patrz na palec. Muszę sprawdzić, czy nie masz wstrząśnienia mózgu.

Uważnie wpatruję się w jego źrenice, kiedy wodzi wzrokiem za moim palcem.

Chyba wszystko w porządku, ale przeraża mnie sam fakt, że bez szemrania wypełnia moje polecenia. Byłabym spokojniejsza, gdyby zbadał go specjalista.

– Zdejmij koszulę – mówię. Szukam w apteczce tylenolu.

– Po co? Znowu chcesz się migdalić?

– Ale śmieszne.

– Masz rację. Ale muszę cię ostrzec. Jeśli

podniosę rękę nad głowę, mogę zemdleć. Boli mnie w boku jak wszyscy diabli.

Ponieważ koszulka i tak jest w strzępach, wyjmuję z szuflady nożyczki i rozcinam przód.

– Mogę zrobić to samo, jak skończysz? – żartuje.

Staram się zachowywać tak, jakbyśmy byli tylko przyjaciółmi, ale wciąż mnie prowokuje. Czuję się skołowana.

– Myślałam, że nie chcesz się angażować.

– Bo nie chcę. Chcę zagłuszyć ból, a gdybym zobaczył cię nagą, to pewnie bym o nim zapomniał.

– Proszę – mówię, podając mu tylenol i papierowy kubek z wodą z kranu.

– Nie masz czegoś mocniejszego?

– Nie, ale jeśli pozwolisz zawieźć się do szpitala, to na pewno ci dadzą coś mocniejszego.

Bez słowa odrzuca głowę i połyka tabletki. Zdejmuję przeciętą koszulę i staram się nie wydawać okrzyków, gdy oglądam plecy i klatkę

piersiową. Już wcześniej zauważyłam kilka blizn, ale to, co mu dziś zrobili, to po prostu masakra.

– Już się w życiu biłem – mówi, jakby miało mnie to pocieszyć.

– Może byłoby lepiej, gdybyś się nie bił – sugeruję i delikatnie przecieram jego plecy i klatkę piersiową. – Masz plecy całe w ranach i siniakach. – Na widok tych obrażeń chce mi się płakać.

– Wiem. Czuję.

Kończę ścierać krew i robię krok w tył. Próbuje się uśmiechnąć, ale mu to nie wychodzi przez spuchnięte wargi.

– Lepiej wyglądam?

Kręcę głową.

– Nie da się tego ukryć przed moimi rodzicami. Wystarczy, że na ciebie spojrzą, a zaczną zadawać pytania.

– Nie chcę o tym myśleć. Nie teraz. – Wstaje, łapie się za brzuch i jęczy z bólu. – Idę do łóżka. Sprawdź rano, czy nie umarłem. – Carlos bierze

kopertę i strzępy koszulki, idzie do swojego pokoju i pada na łóżko. Gdy spostrzega, że nadal przy nim jestem, pyta: – Podziękowałem ci?

– Kilka razy.

– To dobrze. Bo naprawdę chciałem, a rzadko to mówię.

Przykrywam kołdrą jego obolałe ciało.

Ruszam do drzwi, ale słyszę, że panicznie wciąga powietrze. Wyciąga do mnie rękę.

– Nie odchodź. Proszę.

Siadam obok niego na łóżku. Widocznie boi się zostać sam. Wsuwa mi rękę pod udo i opiera czoło na moim kolanie.

– Muszę cię ochraniać – mówi miękko.

– Przed kim?

– *El Diablo*.

– *El Diablo*? Kto to jest?

– To skomplikowane.

Co to znaczy?

– Spróbuj odpocząć.

– Nie mogę. Wszystko mnie boli.

– Wiem. – Delikatnie gładzę go po ramieniu, którym obejmuje mnie za nogę. Jego oddech się uspokaja. – Chciałabym ci pomóc – mówię szeptem.

– Pomagasz – mruczy w moje kolano. – Nie zostawiaj mnie, okej? Wszyscy mnie zostawiają.

Gdy tylko wymknę się z pokoju, mam zamiar zadzwonić do Aleksa i powiedzieć jemu i tacie, co się stało. Wiem, że Carlos nie będzie mi za to wdzięczny. Wkurzy się jak wszyscy diabli.

43. Carlos

Przytulam się do Kiary i rozpaczliwie chcę ją chronić. Ale przy każdym ruchu czuję się jak skończony złamas, więc kiedy gładzi mnie po ramieniu, robię się coraz bardziej senny. Mam ochotę spać, ale boję się stracić Kiarę z oczu. Rodriguez mógłby ją skrzywdzić, a do tego nie dopuszczę. Dopóki Kiara jest bezpieczna, *está bien*. Muszę ostrzec Luisa i mamę. Ale chcę zasnąć i nie czuć bólu... chociaż przez kilka minut. Palce Kiary przesuwają się po moim ramieniu i łagodzą przeszywający ból. Zamykam oczy. Nic się nie stanie, jeśli się chwilę prześpię.

Budzi mnie skrzypnięcie otwieranych drzwi. Otwieram oczy. Od razu zdaję sobie sprawę, że Kiara już koło mnie nie siedzi. Nie spodziewałem się, że zostanie ze mną, gdy będę spał. Próbuje usiąść, ale cholernie zeszywniałem. Buntują się kości, mięśnie i ścięgna. Odpuszczam i leżę dalej

na boku, pod kocem. Mam nadzieję, że w pokoju jest tylko Kiara, a nie jej rodzice... albo, co gorsza, Brandon. Jeśli dzieciak na mnie wskoczy, może się to źle skończyć.

Zamykam oczy.

– Kiara?

– Tak.

– Powiedz, że jesteś sama.

– Nie mogę.

Cholera. Zakopuję się w poduszce, próbując ukryć to, co mam wypisane na twarzy.

– Carlos, powiedz mi, co się dzieje. I to zaraz – żąda Westford kategorycznym tonem jak sierżant podczas musztry. Zwykle jest miły i spokojny... ale nie teraz.

– Zostałem pobity – mówię. – Za kilka dni będzie dobrze.

– Możesz chodzić?

– Tak, ale wolałbym tego na razie nie udowadniać. Może później. Może jutro.

Westford ściąga kołdrę i przeklina. Nie

wiedziałem, że w ogóle to potrafi.

– Szkoda, że pan to zrobił – mówię. Nie mam na sobie koszuli, więc nic nie da się ukryć. Podnoszę oczy na Kiarę, która stoi obok łóżka. – Zdradziłaś mnie. Prosiłem, żebyś im nie mówiła.

– Potrzebujesz pomocy – tłumaczy. – Nie możesz radzić sobie z tym sam.

Westford kuca i jego twarz jest tuż przed moją.

– Jedziemy do szpitala.

– Nie ma mowy – odpowiadam.

Słyszę w pokoju czyjeś kroki.

– Jak się czuje? – pyta mój brat.

– Wezwałaś cały oddział kawalerii czy co? – pytam Kiarę.

Mój brat rzuca na mnie okiem i kręci głową. Przeciera twarz, po której przebiegają frustracja, gniew i poczucie odpowiedzialności. To nie jest jego wina, tylko moja. Nie wiem, czy miałem wybór, czy nie, ale wpakowałem się w to sam i wypłaczę się też sam. Teraz chcę tylko, żeby

wszyscy dali mi święty spokój, bo nie chce mi się tłumaczyć, kto mnie pobił i dlaczego.

– Będzie dobrze. Jak nie dziś, to jutro – mówię.

Profesor, tak zatroskany, jakbym był jego rodzonym synem, mówi do Aleksa:

– Nie chce jechać do szpitala.

– Nie może – wyjaśnia Alex.

– To chore, Alex. Każdy jedzie do szpitala, jak potrzebuje pomocy medycznej.

– Każdy oprócz takich jak my – mówię.

– To mi się nie podoba. I to bardzo. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami. Spójrz na niego, Alex. Zwija się z bólu. Musimy coś zrobić. – Słyszę, że Westford chodzi w tę i z powrotem. – Okej. Mój przyjaciel Charles jest lekarzem. Zadzwoń do niego i poproszę, żeby przyszedł zbadać Carlosa. – Westford klęka przy mnie. – Ale jeśli powie, że trzeba jechać do szpitala – grozi mi palcem – to pojedziesz, nawet gdybym musiał siłą zawlec cię do samochodu.

– Gdzie jest Brandon? – pytam, bo nie chcę,

żeby dzieciak mnie widział w takim stanie.

– Kiedy Kiara nam powiedziała, Colleen zawiozła go do swojej matki. Zostanie tam kilka dni.

Wywróciłem im życie do góry nogami. Jakby nie starczyło, że wsuwam ich żarcie i zabieram miejsce w domu. Teraz jeszcze dzieciak został wygnany z powodu takiego popaprańca jak ja.

– Przepraszam – mówię.

– Nie martw się tym. Kiaro, idę zadzwonić do Charlesa. Zostawmy Aleksa i Carlosa samych.

O, do diabła. To ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy.

Kiedy drzwi się zamykają, Alex podchodzi do łóżka.

– Wyglądasz jak kupa gówna, brat.

– Dzięki. – Patrzę na jego zaczerwienione oczy i zastanawiam się, czy przypadkiem nie płakał, kiedy się dowiedział, że mnie pobili. Nigdy nie widziałem, żeby Alex płakał, chociaż przeżyliśmy niejedną trudną chwilę. – Ty też.

– To byli ludzie Devlina, co? Kiara powiedziała mi, że mówiłeś o *El Diablo*.

– To oni mnie wrobili w narkotyki. Wczoraj w nocy zwerbowali mnie do gangu, wbrew mojej woli. Mówią, że teraz należę do Devlina.

– Tylko tak pieprzą.

Chociaż każdy ruch sprawia mi ból, nie mogę powstrzymać krótkiego śmiechu.

– Powiedz to Devlinowi. – Po namyśle dodaję:
– Żartuję. Trzymaj się z dala od Devlina. Uwolniłeś się od nich. I niech tak zostanie. Mówię poważnie.

Zaczynam wstawać, żeby się upewnić, że Alex mnie słucha. To mój brat, moja krew. Najczęściej wkurza mnie jak wszyscy diabli, ale jak głębiej pomyśleć, to już wolę, żeby skończył college i doczekał się małych irytujących Aleksiątek i Brittaniątek. A ta sprawa z Devlinem... nie mogę zagwarantować, że się z tego wyplączę. Krzywię się i wstrzymuję oddech, próbując usiąść. Szkoda że nie mogę zacisnąć zębów i udawać, że

nie boli. Nie lubię czuć się słaby i nie chcę, żeby inni oglądali mnie w takim stanie.

Alex kaszle kilka razy, po czym odwraca się, żeby nie patrzeć na moje zmagania.

– Nie mogę uwierzyć, że to się znowu dzieje. – Chrząka i odwraca się do mnie. – Co powiedział Devlin? Na pewno ma jakiś konkretny powód, że chce cię wciągnąć.

Im więcej mu powiem, tym głębiej wdepnie w to gówno. Nie mogę do tego dopuścić.

– Dowiem się.

– Akurat, niech mnie diabli. Nie wyjdę stąd, dopóki mi wszystkiego nie powiesz.

– No to trochę tu posiedzisz. W takim razie rozgość się.

Westford puka i wchodzi do pokoju.

– Zadzwoiłem do Charlesa. Już jedzie.

Po chwili wchodzi pani W. z tacą.

– Biedactwo – użala się nade mną, po czym stawia tacę i podchodzi do łóżka. Ogląda moje opuchnięte usta i siniaki. – Jak to się stało?

- Oszczędzę pani szczegółów.
- Nie cierpię bójek. To niczego nie rozwiązuje.
- Stawia tacę na moich kolanach. – To rosół – wyjaśnia. – Moja babcia mawiała, że jest dobry na wszystko.

Nie jestem głodny, ale pani W. jest dumna, że ugotowała rosół, więc zjadam łyżkę tylko po to, żeby nie patrzyła na mnie z takim niepokojem.

– I jak? – pyta.

O dziwo, bez problemu przełykam ciepłą, słonawą zupę z makaronem.

– Pycha – mówię.

Wszyscy skaczą nade mnie jak kwoki. Z Kiarą było mi dobrze, ale teraz jestem słaby i wrażliwy i nie mam ochoty nikogo widzieć. Oprócz Kiary. Gdzie ona jest?

Przyjeżdża lekarz. Przez pół godziny ogląda moje obrażenia.

– Musiałeś się wplątać w potężną bijatykę, Carlos. – Odwraca się do Westforda. – Wszystko będzie dobrze, Dick. Nie stwierdziłem

wstrząśnienia mózgu ani poważniejszych kontuzji. Ma poobijane żebra. Nie mogę stwierdzić na sto procent, że nie ma wewnętrznego krwawienia, ale kolor skóry na to nie wskazuje. Za kilka dni powinien poczuć się lepiej. Do tego czasu niech zostanie w domu. Przyjdę w środę na kontrolę.

Wszyscy schodzą na kolację, a Kiara wsuwa się do mojego pokoju, staje przy łóżku i wlepia we mnie wzrok.

– Nie żałuję, że im powiedziałam. Nie jesteś niepokonany, chociaż tak ci się zdaje. I jeszcze jedno... – Pochyliła się nade mną i patrzy mi prosto w oczy. – Skoro już wiem, że nic ci nie będzie, postanowiłam, że nie będę ci współczuć. Jeśli handlowałeś narkotykami, to lepiej z tym skończ. Wiem, że te pieniądze w kopercie, które schowałeś w powłoczkę poduszki, nie pochodzą ze sprzedaży magnetycznych ciasteczek.

– Wolałem cię, kiedy mi współczułaś – mówię.
– I za dużo sobie przypisujesz. Tych ciasteczek

nie da się oderwać, a co dopiero sprzedać. I nie handluję narkotykami.

– To powiedz, skąd masz te pieniądze.

– To skomplikowane.

Przewraca oczami.

– Z tobą wszystko jest skomplikowane, Carlos. Chcę ci pomóc.

– Dopiero co powiedziałaś, że mi nie współczujesz. To czemu chcesz mi pomóc?

– Z egoistycznych pobudek. Nie mogę znieść, że mój chłopak na niby jest taki obolały.

– Więc chodzi o ciebie, a nie o mnie? – mówię rozbawiony.

– Tak. A do tego zepsułeś mi bal absolwentów.

– Dlaczego?

– Gdybyś nie zauważył plakatów, to ci powiem, że jest w następną sobotę. Jak chcesz tańczyć? Nie możesz nawet chodzić!

44. Kiara

W środę Carlos upiera się, żeby iść do szkoły. Mówi, że lepiej się czuje, ale widzę, że porusza się wolniej niż zwykle i nadal sprawia mu to ból. Ma podbite oko i spuchniętą wargę, ale przez to wygląda na jeszcze większego twardziela. Większość uczniów Flatiron gapi się bez zahamowań, gdy przechodzimy korytarzami. Za każdym razem gdy Carlos spostrzega, że ktoś wlepia w nas wzrok, otacza mnie ramieniem. Udawanie jego dziewczyny wcale nie jest zabawne, kiedy wszyscy wybałuszają oczy. Ale jesteśmy razem, więc czerpię od niego siłę i nie przejmuję się plotkami.

Podczas lunchu siedzę z Tuckiem, gdy zjawia się Carlos.

– Auuu – mówi Tuck. – Oczy mnie bolą od patrzenia na twoją pokiereszowaną facjatę. Bądź tak dobry i załóż maskę. Albo opaskę na oczy.

Mam ochotę kopnąć Tucka pod stołem, ale Carlos chwyta oparcie jego krzesła i go zrzuca.

– Spadaj, zasrańcu.

– Co ty wyprawiasz? – mówi Tuck, zsuwając się z krzesła. Próbuje utrzymać równowagę.

– To, co muszę. A muszę porozmawiać z Kiarą na osobności.

– Przestańcie się kłócić – wtrącam się. – Carlos, nie możesz tak po prostu mówić Tuckowi, żeby sobie poszedł.

– Nawet jeśli mam zamiar zaprosić cię na bal absolwentów?

Przygryzam dolną wargę. Na pewno nie mówi poważnie. To niemożliwe. Nie jest w stanie zabrać mnie na bal, skoro trzy dni temu ledwo się ruszał. Wciąż jeszcze powstrzymuje grymas bólu, gdy wyjmuje książki z szafki albo siada. Powiedział mi, że doktor każe mu się ruszać, żeby nie zeszywniał, ale nie jest nadczłowiekiem, chociaż na takiego pozuje.

Tuck zjeżdża na podłogę.

– Masz zamiar uklęknąć? Bo i tak wszyscy już się na was gapią. Może zrobię fotę komórką i wyślę do redakcji rocznika.

– Tuck – mówię i wbijam wzrok w najlepszego przyjaciela. – Spadaj.

– Okej, okej. Idę do Jake’a Somersa. Może pójde za przykładem Carlosa i zbiore się na odwagę, żeby go zaprosić na bal.

Carlos kręci głową.

– Jak mogłem myśleć, że z nim chodzisz? – Tuck się oddala, a Carlos przysuwa bliżej krzesło. Siadając, wstrzymuje oddech. Bardzo się stara nie pokazywać po sobie cierpienia i myślę, że nikt tego nie zauważa. Oprócz mnie. Wyjmuje z kieszeni bilet. – Pójdiesz ze mną na bal absolwentów?

Wpatruje się we mnie intensywnie i w ogóle się nie przejmuje, że prawie cała stołówka robi z tego sensację. Ja natomiast czuję, że ich spojrzenia przeszywają mnie jak strzałki.

– Dlaczego pytasz mnie o to w czasie lunchu?

– Bo pięć minut temu kupiłem bilet. I denerwowałem się, czy będziesz chciała ze mną pójść.

Od czasu, gdy został pobity, jest niepewny siebie i wrażliwy. Czuję niepokój, bo nie wiem, czy w którymś momencie znowu mnie nie odtrąci. Mogłabym przyzwycząć się do tego nowego Carlosa, który nie boi się powiedzieć, jak bardzo chce ze mną być. To działa na moje uczucia, a im bardziej poddaję się emocjom, tym trudniej mi opanować jąkanie.

– Przecież ledwo się r-r-ruszasz, Carlos. N-n-nie m-m-musisz tego robić.

– Ale chcę. – Wzrusza ramionami. – Poza tym nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć cię w sukience i obcasach.

– A c-c-co ty włożysz? – pytam. – Garnitur i krawat?

Chowa bilet do kieszeni.

– Miałem zamiar włożyć dzinsy i T-shirt.

Dzinsy? T-shirt? Przecież to nie jest strój na

tańce, a poza tym...

– Nie będziemy do siebie pasować. Gdzie przypnę kwiat, jeśli nie będziesz miał butonierki?

– Butonierka? A co to za licho? I dlaczego chcesz coś do niej przypinać?

– Sprawdź w słowniku – mówię.

– A przy okazji, *amigo* – dodaje Tuck, wyłaniając się zza Carlosa – możesz też sprawdzić, co to jest korsarz.

45. Carlos

„Korsarz (fr. corsage) – niewielki stroik kwiatowy umieszczany na nadgarstku, we włosach lub w klapie marynarki”.

Tyle mówi słownik. W REACH jest mały pokój, nazywany biblioteką, w którym mają trochę podręcznych książek. Miałem szczęście i znalazłem słownik, więc zaraz po przyjeździe do niego zajrzałem. Kiara na pewno będzie zdziwiona, że to sprawdziłem. Teraz mam problem. Zastanawiam się, skąd mam wziąć jakiś przyzwoity strój na bal. A druga rzecz, która mnie martwi, to zdobycie tego całego korsarza.

Berger jeszcze nie dała sygnału do rozpoczęcia sesji terapeutycznej czy jak tam chce nazywać spotkania naszej grupy wyrzutków, żeby trzymać się poprawności politycznej. Podchodzą do mnie Zana i Justin.

– Co ci się stało? – pyta Justin. – Ciężarówka cię przejechała?

Zana, która jest ubrana w taką krótką spódniczkę, że mogłaby mieć za to wypad ze szkoły, wbija zęby w jedno z czekoladowych ciasteczek przygotowanych na nasze spotkanie.

– Krąży plotka, że zostałeś pobity w wojnie gangów – mówi cicho, żeby Berger nie usłyszała.

– Oboje się mylicie.

Opadam na krzesło i mam nadzieję, że Berger nie będzie mnie o to męczyć. Do diabła, nawet Alex w końcu dał spokój. Kazałem mu się odpieprzyć i obiecałem, że powiem, jeśli Devlin albo jego ludzie się ze mną skontaktują.

Ale przecież nie wierzę w obietnice. Dlaczego ludzie są tacy naiwni?

Keno się spóźnia. Od razu zauważam, że stara się na mnie nie patrzeć. W normalnej sytuacji bym tego nie zauważył, ale dzisiaj wszyscy wytrzeszczają na mnie oczy. Można by pomyśleć, że zamieniłem się w kosmitę. Dobrze

że nie widzieli mnie w niedzielę. Wyglądałem o niebo gorzej.

Berger wchodzi do pokoju, rzuca na mnie okiem i natychmiast wychodzi. Jasne. Po minucie zjawiają się Kinney i Morrisey.

Morrisey pokazuje na mnie palcem.

– Carlos, pójdziesz z nami.

Obaj eskortują mnie do małego pomieszczenia gdzieś z boku. Wygląda jak pokój w gabinecie lekarskim, na ścianach wiszą szafki na sprzęt medyczny. Z jedną różnicą. W narożniku znajduje się toaleta, ukryta za wąską zasłonką przyczepioną do sufitu.

Morrisey dźga mnie prawie paluchem w twarz.

– Twój opiekun przekazał nam, że nie przyjdiesz w poniedziałek i wtorek. Powiedział, że cię pobito. Chcesz nam o tym opowiedzieć?

– Nie za bardzo.

Kinney robi krok w moją stronę.

– Okej, Carlos, musimy przestrzegać procedur.

Sądząc po twoim wyglądzie, podejrzewamy, że w zeszłym tygodniu musiałeś pić i brać prochy. To zwykle idzie w parze z bójkami. Musisz oddać mocz do badania. Umyj ręce nad tą umywalką.

Mam ochotę przewrócić oczami i powiedzieć im, że nie trzeba być ćpunem, żeby cię ktoś pobił, ale wzruszam tylko ramionami.

– Jak chcecie – mówię po umyciu rąk. – Dajcie mi pojemnik i będę miał to z głowy.

– Jeśli test da wynik pozytywny, zostaniesz wyrzucony – mówi Morrissey, kiedy otwiera jedną z szafek i wyjmuje pojemnik na mocz. – Znasz zasady.

Sięgam po pojemnik, ale Kinney cofa rękę.

– Wyjaśnię ci, co masz zrobić. Musisz rozebrać się do bielizny w naszej obecności, a potem wejść za zasłonę i oddać mocz do pojemnika.

Rzucam koszulę na krzesło i ściągam dżinsy. Rozpościeram ręce i obracam się dookoła.

– Zadowoleni? – pytam. – Nie mam przy sobie kontrabandy.

Morrisey podaje mi pojemnik.

– Masz góra cztery minuty. I nie spłukuj, bo będziemy musieli wszystko powtórzyć.

Wchodzę z pojemnikiem za zasłonę i sikam. Chociaż wiem, że dla Morriseya i Kinneya to rutyna, i tak czuję się upokorzony tym, że słuchają, jak oddaję mocz.

Po wszystkim ubieram się i znowu każą mi umyć ręce, a potem wracać na salę. Wyniki będą dopiero jutro, więc do tego czasu jestem zawieszony. Kiedy wracam do klasy, wszyscy się na mnie gapią oprócz Keno. Widocznie znają procedury i domyślili się, że musiałem oddać próbkę.

– Witaj – mówi Berger. – Widzę, że miałeś ciężki tydzień. Brakowało nam ciebie.

– Byłem trochę unieruchomiony.

– Chcesz nam o tym opowiedzieć? To, co mówimy w tym pokoju, nie wychodzi poza te ściany. Prawda? – zwraca się do pozostałych.

Wszyscy przytakują, ale dostrzegam, że Keno

mamrocze coś pod nosem i nadal unika mojego wzroku. Coś wie i muszę się dowiedzieć, co. Problem w tym, żeby dorwać go samego, bo po każdych zajęciach od razu się odmeldowuje.

– Niech ktoś inny mówi – wykręcam się.

– Chodzi z Kiarą Westford – odzywa się Zana. – Widziałam, jak ją obejmował na korytarzu w szkole. A moja przyjaciółka Gina widziała ich razem w stołówce i słyszała, jak ją zaprosił na bal absolwentów.

Ostatni raz zrobiłem coś publicznie.

– Zajmij się swoimi sprawami – mówię do Zany. – Nie masz nic lepszego do roboty, tylko mleć jęzorem ze swoimi głupimi kumpelami?

– Odpierdol się, Carlos.

– Dosyć. Zana, nie rozmawiamy tutaj w taki sposób. Nie będę tolerować wulgaryzmów. Daję ci ostrzeżenie. – Berger zapisuje te głupoty w swoim zeszycie. – Carlos, opowiedz mi o balu.

– Nie ma o czym. Idę z dziewczyną, to wszystko.

– Czy to dla ciebie ktoś wyjątkowy?

Zerkam na Keno. Jeśli zna ekipę Devlina, może dać im cynk. Czy Berger naprawdę jest taka naiwna, żeby sądzić, że to, co mówimy w tym małym gronie podczas terapii, rzeczywiście tu zostaje? Dałbym sobie odrąbać rękę, że jak tylko stąd wyjdziemy, Zana przyklei się do komórki i wyklepie swoim głupim kumpelom wszystko, co tu usłyszała.

– Kiara i ja... to skomplikowane – odpowiadam.

Skomplikowane. Komplikacje to ostatnio główny temat mojego życia. Reszta grupy kieruje uwagę na Carmelę, która skarży się, że jej tata jest staroświecki i nie zgadza się, żeby w czasie zimowych ferii pojechała z przyjaciółmi do Kalifornii. Szkoda, że rodzice Carmeli nie są tacy jak Westfordowie, którzy uważają, że każdy powinien iść swoją ścieżką i popełniać własne błędy (aż nie zostanie pobity, bo wtedy skaczą nad tobą i nie zostawią cię samego). Są

przeciwieństwem rodziców Carmeli.

Kiedy wychodzimy z REACH, idę za Keno.

– Keno – wołam za nim, ale się nie zatrzymuje. Przeklinam pod nosem i biegnę, żeby go dopaść, zanim wsiądzie do wozu. – W czym masz, kurwa, problem?

– Nie mam problemu. Spadaj.

Staję między nim a samochodem.

– Pracujesz dla Devlina, tak?

Keno patrzy na prawo i lewo, jakby podejrzewał, że ktoś nas obserwuje.

– Odpieprz się ode mnie.

– Nie ma mowy, chłopie. Coś wiesz, a to znaczy, że ty i ja musimy się zaprzyjaźnić. Dam ci wycisk, jeśli mi nie powiesz, co wiesz o mnie albo o Devlinie.

– Jesteś *pendejo*.

– Już mnie gorzej przezywali. Nie wystawiaj mnie na próbę.

Zaczyna się denerwować.

– To wsiadaj do wozu, zanim nas ktoś

namierzy.

– Kiedy ostatni raz ktoś mi kazał to zrobić, pięciu *pendejos* skopało mi tyłek.

– Wsiadaj. Albo nic nie powiem.

Już chcę wskoczyć przez okno, ale uświadamiam sobie, że tylko w aucie Kiary są zepsute drzwi. Keno wyjeżdża z parkingu. Alex czeka na mnie u McConnella. Wiem, że jeśli się nie zjawię, ogłosi alarm. Dzwonię do niego.

– Gdzie jesteś? – pyta brat.

– Z... przyjacielem. – Nie jest moim przyjacielem, ale nie ma sensu go alarmować. – Spotkamy się później – mówię i rozłączam się, zanim mnie objedzie.

Keno nic nie mówi. Parkuje przy małym budynku mieszkalnym za miastem.

– Chodź ze mną – mówi i prowadzi mnie do środka.

Wita się z mamą i siostrą po hiszpańsku. Przedstawia mnie, a potem idziemy na tyły mieszkania. Jego mała sypialnia wydaje się

dziwnie znajoma. Rozpoznałbym pokój meksykańskiego nastolatka na kilometr. Na kremowych ścianach wiszą zdjęcia rodzinne. Flaga narodowa przypięta do ściany oraz zielone, białe i czerwone naklejki na biurku wprawiają mnie w dobry nastrój, chociaż wiem, że przy Keno muszę być czujny. Nie wiem, w co pogrywa.

Wyciąga paczkę fajek.

– Zapalisz?

– Nie. – Nigdy mi to nie pasowało, chociaż wychowywali mnie nałogowi palacze. *Mi'amá* pali, Alex też palił, dopóki nie zaczął się spotykać z królową piękności. Gdyby mi zaproponował tabletkę albo dwie vicodinu, to pewnie bym wziął. Od niedzieli leżałem w łóżku i ciało mam wciąż odrętwiałe.

Keno wzrusza ramionami i zapala.

– Morrisey zrobił ci test na narkotyki, co nie?

Zanosi się na to, że będziemy mówić o bzdetach, zanim dojdziemy do tego, po co mnie

tu przywiózł.

– No.

– Będzie ujemny?

– Nie mam się czym martwić.

Opieram się o parapet i obserwuję Keno, który siada za biurkiem i wydychuje dym. Facet wygląda tak, jakby miał w nosie cały świat, i w tym momencie mu zazdroszczę.

– Berger mało nie padła, jak cię dzisiaj zobaczyła.

– Możesz ze mną rozmawiać po hiszpańsku.

– Tak, jasne. Jak będę gadał po hiszpańsku, to mama będzie wiedzieć, co mówię. Wolę, żeby żyła w nieświadomości.

Kiwam głową. Zawsze lepiej, żeby rodzice żyli w nieświadomości. Niestety, wczoraj musiałem zadzwonić do wujka Julio i streścić mu pokrótce, co się dzieje. Obiecał, że dopilnuje, żeby Luis i *mi'amá* mieli ochronę, i postara się ich niepotrzebnie nie denerwować. Nie był szczęśliwy, że wplątałem się w tę sprawę z

Devlinem, ale ponieważ i tak uważa mnie za złamasa, to wcale go to specjalnie nie zaskoczyło.

Mam ochotę udowodnić, że nie jestem zupełnie bezużyteczny, ale nie warto nawet próbować. Przez całe życie jestem totalnym złamasmem. Pociesza mnie tylko to, że Kiara i jej rodzice uważają, że każdy może zacząć wszystko od nowa z czystą kartą.

– Więc chodzisz z tą laseczką Kiara, co nie? –
Wydmuchuje dym. – Jest gorąca?

– Jak nagrzana blacha – mówię, wiedząc, że Keno i tak nie zna Kiary, bo nie chodzi do Flatiron. Przebiega mi przez myśl obraz Kiary w koszulce z napisem: „Nie bądź cieniem, zdobądź czternastkę”. Muszę przyznać, że zazwyczaj pociągają mnie zupełnie inne dziewczyny i jestem pewien, że nie byłaby też w typie w Keno, ale ostatnio nie wyobrażam sobie kogoś bardziej seksownego niż dziewczyna, która umie złutować przewody i upiec cholerne

ciasteczka z magnesami. Wiem, że powinienem przestać o niej tyle myśleć, ale wcale nie chcę. Jeszcze nie. Może po balu. Poza tym muszę mieć na nią oko i chronić ją przed ludźmi Rodrigueza i Devlina.

A wracając do Devlina...

– Przestań już pierdolić na okrągło, Keno. Powiedz, co wiesz.

– Wiem, że należysz do gangu Devlina. Wszyscy tak gadają...

– Wszyscy, to znaczy kto?

– Sześcioramieni *Renegados*, nazywani też R6. – Podciąga koszulę i pokazuje czarną sześcioramienią gwiazdę z dużą niebieską literą R na środku. – Wdepnąłeś w niezłe gówno, ese. Devlin jest świrnięty, a R6 nie podoba się, że przejmuje ich teren. R6 kontrolowali tu wszystko, zanim Devlin namieszał. Wojna wisi na włosku i Devlin szuka chłopaków, którzy nadają się do walki. Ma tylko bandę wykolejeńców, ulicznych dilerów, którzy sami

ćpają prawie tyle, ile sprzedają. Potrzebuje wojowników. Wystarczy na ciebie spojrzeć, Carlos, żeby wiedzieć, że jesteś wojownikiem, *Guerrero*.

– Powiedział, że chce ze mnie zrobić ulicznego dilerą.

– Nie wierz w to. Chce, żebyś robił dla niego wszystko, na każde zawołanie. Jak będzie miał dostawy z Meksyku, to chce mieć do tego Meksykanów. Wie, że nie ufamy *gringos*. Jeśli będzie potrzebował żołnierza do ulicznych walk, to wypchnie ciebie.

Keno obserwuje moją reakcję na te wiadomości. Rzecz w tym, że większość z tego wiedziałem, oprócz R6. Rewelacja, rekrutowali mnie do wojny narkotykowej, w której chodzi tylko i wyłącznie o szmal.

– Czemu mi to mówisz? – pytam. – Co z tego masz?

Keno pochyla się, zaciąga i wypuszcza dym długim strumieniem. Patrzy na mnie z powagą.

– Wynoszę się.

– Wynosisz się?

– *Sí*. Po prostu znikam, tak żeby mnie nikt nie znalazł. Mam już dość tej *mierda*, Carlos. Do diabła, może te bzdety z REACH mi wlażyły do głowy. Za każdym razem, jak Berger mówi, że sami kształtujemy swoją przyszłość, myślę sobie: pańciu, nie wiesz, o czym gadasz. A gdybym tak naprawdę miał wpływ na swoją przyszłość, Carlos? Gdybym wszystko zostawił i zaczął od nowa?

– I co byś robił?

Wybucham śmiechem.

– Co będę chciał, stary. Cholera, może znajdę pracę i któregoś dnia zdam egzamin końcowy i pójdę do college'u. Może się ożenię i będę miał dzieciaki, które nie będą wiedziały, że ich tata był w gangu. Zawsze chciałem być sędzią. Wiesz, zmieniać system na lepszy, żeby nastolatki nie kończyły w takim gównie jak ja. Zapisałem to na karcie celów w REACH. Pewnie myślisz, że to bez

sensu, bo jak można być sędzią, jak cię zapuszkowali za narkotyki...

– To nie jest głupie – przerywam mu. – Myślę, że to super.

– Naprawdę? – Odgania ręką dym i po raz pierwszy wyczuwam w nim niecierpliwe oczekiwanie zmieszane ze strachem. – Chcesz jechać ze mną? Spadam pod koniec miesiąca, na Halloween.

– To za trzy tygodnie. – Wyjazd z Kolorado oznaczałby uwolnienie się od Devlina, a mój brat i Westfordowie mogliby znowu normalnie żyć. Nie musieliby się ze mną męczyć i słuchać mojego pieprzenia. A Kiara mogłaby zrobić coś ze swoim życiem, tym bardziej że i tak będzie musiała je przeżyć beze mnie. Wkrótce uświadomi sobie tę prawdę – nie mam jej nic do zaoferowania. Nie zniósłbym patrzenia, jak umawia się na randki z innymi facetami. Jeśli skuma się znowu z Michaelem, to dostanę szau. Ale nie jestem taki naiwny, żeby myśleć, że

możemy ze sobą być na stałe.

Kiwam głową do Keno.

– Masz rację, muszę wyjechać. Ale najpierw muszę wrócić do Meksyku i upewnić się, że moja rodzina jest bezpieczna. Jak stąd wyjadę, tylko oni mi zostaną.

agnesa

46. Kiara

Kiedy powiedziałam mamie, że idę na bal absolwentów z Carlosem, wcale się nie zdziwiła. Powiedziała, że w piątek pojedziemy do centrum kupić sukienkę. Trochę mi to zabrało czasu, ale w końcu w sklepie z ciuchami vintage znalazłam długą czarną sukienkę z satyny, bez rękawów. Uwydatnia wszystkie wypukłości. To zupełnie nie w moim stylu wkładać na siebie coś tak obcisłego i w dodatku z długim rozporkiem po boku, ale kiedy się w nią ubrałam, poczułam się ładna i pewna siebie. Kojarzy mi się z Audrey Hepburn w filmie *Śniadanie u Tiffany'ego*.

Po powrocie do domu szybko przemknęłam do swojego pokoju i powiesiłam sukienkę w szafie. Chcę, żeby Carlos ją zobaczył, dopiero kiedy ubiorę się na tańce.

W sobotę rano cała rodzina, łącznie z Carlosem, wstaje wcześniej i idzie na mecz

futbolowy. Flatiron wygrywa dwadzieścia jeden do trzynastu, więc jesteśmy naładowani i podekscytowani. Po meczu Carlos mówi, że ma coś do załatwienia przed bale. Jadę z mamą kupić buty.

Wybiera czarne baleriny z małymi klamerkami po bokach.

– Może te? Wydają się wygodne.

Kręcę głową.

– Nie szukam wygodnych.

Chodzę po sklepie, mijając obojętnie pantofle, których obcasy Carlos uznałby za „babcine”. Mój wzrok pada na czarne satynowe czółenka z wąskimi obcasami na jakieś dziewięć centymetrów i ze staroświeckim zapięciem w kostce. Są idealne. Nie wiem, czy będę w stanie w nich ująć, ale na pewno świetnie pasują do sukienki.

– Może te? – pytam mamę.

Robi wielkie oczy.

– Na pewno? Będiesz w nich wyższa od taty.

Moja mama nie ma nawet szpilek na pięć centymetrów, a co tu mówić o dwa razy wyższych.

– Bardzo mi się podobają – zapewniam ją.

– No to przymierz. To twój wyjątkowy dzień.

Piętnaście minut później wychodzę ze sklepu ze szpilkami, podekscytowana, że znalazłam idealne pantofle do idealnej sukienki. Chcę być dzisiaj perfekcyjna. Mam nadzieję, że Carlos nie czuje się pod presją, chociaż trochę go zmusiłam, żeby mnie zaprosił. Chcę, żebyśmy się dobrze bawili i zapomnieli o wydarzeniach ostatniej niedzieli. Nie spodziewam się tanecznego szaleństwa, bo jeszcze jest obolały, ale to nic. Będę szczęśliwa, że tam z nim pójdę, obojętnie czy jesteśmy, czy nie jesteśmy prawdziwą parą.

– Musimy wybrać kwiat do butonierki – mówi mama, kiedy wsiadamy do samochodu.

– Już to załatwiłam rano.

– To dobrze. Przygotowałam aparat fotograficzny. A tata ładuje kamerę... Jesteśmy

przygotowani. W poniedziałek wyślemy zdjęcia matce Carlosa, żeby się nie martwiła, że coś ją ominęło.

Po powrocie do domu zaszywam się w swoim pokoju i ćwiczę chodzenie w nowych butach. Przy każdym kroku czuję się tak, jakbym miała polecieć na twarz. Dopiero po godzinie załapuję, jak się poruszać. Przychodzi Tuck i przynosi mi pudełko pełne prezentów na wieczór. Zaczynam się jeszcze bardziej denerwować.

– Otwórz – mówi.

Uchylam przykrywkę i zaglądam do środka. Wpada mi w oko czarna koronkowa podwiązka.

– Na bal absolwentów nie zakłada się podwiązki.

– To jest taka specjalna na tę okazję. Zobacz, ma tu przypięty taki mały amulet w postaci piłeczki futbolowej ze sztucznego złota.

Rzucam podwiązkę na łóżko i wydaję kolejny prezent. Różowy błyszczący do ust. Tuck wzrusza ramionami, kiedy go otwieram.

– Osobiście uważam, że to obleśne, ale podobno faceci hetero lubią, jak dziewczynom błyszczą usta. Włożyłem tam jeszcze konturówkę do powiek i tusz do rzęs. Pani w sklepie powiedziała, że to najlepsze produkty na rynku.

Wyciągam po kolei przedmioty z pudełka. W końcu nieruchomieję i patrzę na Tucka.

– Dlaczego mi to wszystko kupiłeś?

Wzrusza ramionami.

– Po prostu... bałem się, że sama zapomnisz. Wiem, że go lubisz, chociaż nie chcesz się do tego przyznać. Doprowadzam tego gościa do szafu, ale może ty w nim widzisz coś, czego inni nie dostrzegają.

Tuck jest po prostu niesamowitym przyjacielem.

– Jesteś słodki – mówię, wyjmując z pudełka paczkę odświeżających oddech miętówek i... dwie prezerwatywy. Podnoszę je do góry. – Tylko nie mów, że kupiłeś mi kondomy.

– Masz rację, nie kupiłem. Wziąłem je z gabinetu szkolnej pielęgniarki. Rozdają je za darmo. Można wziąć jeden albo... dwa. Lepiej go spytaj, czy nie jest uczulony na lateks. Jeśli tak, to masz pecha.

Na myśl o uprawianiu seksu z Carlosem zaczyna mnie palić twarz.

– Nie mam zamiaru uprawiać dzisiaj seksu.

Rzucam kwadratowe paczuszki na łóżko, ale Tuck je podnosi.

– I właśnie dlatego musisz mieć prezerwatywy, głuptasie. Jeśli tego nie planujesz, a mimo to się zdarzy, nie będziesz przygotowana i skończy się ciążą albo chorobą. Zrób to dla mnie i włóż je do torebki albo schowaj do stanika.

Otaczam Tucka ramionami i całuję w policzek.

– Kocham cię za to, że tak się o mnie troszczysz. Szkoda, że Jake nie chciał z tobą pójść na bal.

Tuck się śmieje.

– Jeszcze ci nie powiedziałem najważniejszego.

– To znaczy?

– Jake zadzwonił przed godziną. Nie chce iść na bal, ale chce ze mną... pokręcić.

– To świetnie. Ale myślałam, że jest hetero.

– Co jest z tobą? Przyjaźnisz się z homo, a nie masz radaru na gejów. Jake Somers jest takim samym gejem jak ja, bez pudła. Powiem uczciwie, Kiara. Mam nadzieję, że tego nie schrzanię, bo jestem podenerwowany, niespokojny i podniecony. Jake podoba mi się od jakiegoś czasu.

Tuck podchodzi do mojego biurka i wyjmuję z szuflady zeszyt z prawami przyciągania. Wyrywa zapisane kartki i drze je na kawałeczki.

– Co r-r-robisz?

– Niszczę te bzdety. Coś odkryłem.

– Co takiego?

Tuck wyrzuca skrawki papieru do kosza.

– Nie ma żadnego prawa przyciągania. Jake w niczym nie przypomina faceta, o jakim marzyłem. Ma inne zainteresowania, nie cierpi Najlepszych, w wolnym czasie czyta i analizuje poezję dla rozrywki. Powiedział, że chce ze mną kręcić. Co to może dokładnie znaczyć?

– Sama nie wiem. – Biorę prezerwatywę i rzucam Tuckowi. – Lepiej to weź, na wszelki wypadek.

agnieszka

47. Carlos

Wiedziałam, że kiedyś do mnie zadzwonisz – mówi Brittany, kiedy idziemy przez galerię handlową.

Zadzwoniłem do niej wczoraj i poprosiłem, żeby przyjechała po mnie po meczu. Potrzebuję jej pomocy, bo jest jedyną sztywniarą, jaką znam, a tylko taka może być ekspertem od balu absolwentów.

– Nie przechwalaj się – mówię. – Dziwię się, że Alex z tobą nie przyszedł. Jesteście jak papużki nierozłączki.

Koncentruje się na rzędach garniturów, wyjmując któryś co jakiś czas i przykładając do mnie.

– Nie mówmy o Aleksie.

– Dlaczego? Pokłóciliście się? – żartuję, bo nie wierzę ani sekundy, że mój brat mógłby się pokłócić ze swoją dziewczyną.

Brittany mruga kilka razy, jakby powstrzymywała łzy.

– Właściwie to wczoraj zerwaliśmy.

– Nie mówisz poważnie.

– Śmiertelnie poważnie. Nie chcę o tym rozmawiać. Idź przymierzyć te garnitury, bo zaraz zacznę ryczeć na środku sklepu. To nie będzie fajne. – Wpycha mi w ręce garnitury i przepędza mnie do przymierzalni. Odwracam się i widzę, że wyjmuje z torebki chusteczkę i przeciera oczy.

Co się dzieje, do diabła? Nic dziwnego, że brat od niedzieli nie chciał ze mną rozmawiać i nie świdrował mi dziury w brzuchu o Devlina. Jak mógł spieprzyć sprawę z Brittany, dziewczyną, która odmieniła jego życie?

Korzystając z koperty ze szmalem od Devlina, kupuję garnitur, w którym zdaniem Brittany wyglądam jak model z „GQ”. Potem odbieramy bukiet dla Kiary, korsarza, którego zamówiłem wczoraj, kiedy znalazłem kwaciarnię, która

przyjęła zlecenie na taki krótki termin. Wracamy do samochodu. Uznaję, że to dobry moment, żeby zapytać Brittany o rzekome zerwanie. Jeśli teraz się rozplacze, to nikt nie będzie widział strużek tuszu ciekących jej po twarzy.

Nie mogę już wytrzymać. Zżera mnie ciekawość.

– Jesteście taką idealną parą, że aż mdli, więc w czym problem?

– Zapytaj brata.

– Ale jestem z tobą, a nie z nim. Chyba że mam do niego zadzwonić... – Wyjmuję komórkę z kieszeni.

– Nie! – krzyczy. – Nie waż się do niego dzwonić. Nie chcę go widzieć, nie chcę z nim rozmawiać, nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Jasna cholera, sprawa jest poważna. Wcale się nie wygłupia, więc muszę szybko coś wymyślić.

– Zawieź mnie do warsztatu. Pożyczam dziś samochód od Aleksa.

– Możesz wziąć mój – mówi bez zmruczenia oka.

O, do diabła. Muszę szybko wymyślić, dlaczego wolę samochód Aleksa niż jej wypasione cabrio.

– Kiara lubi stare samochody. Będzie rozczarowana, jeśli przyjadę twoją beemką, a nie monte carlo. Nie jest normalna, rozumiesz. I łatwo wpada w zły nastrój. Nie chciałbym, żeby się popłakała i zaczęła jąkać w dniu balu.

– Nie wciskaj mi takich bzdetów. Chcesz tylko, żebym cię zawiozła do McConnella.

– Mniej więcej.

Na czerwonym świetle Brittany wzdycha i bierze głęboki oddech.

– No dobrze, zawiozę cię. Ale nie mam zamiaru wysiadać z auta i rozmawiać z Alekssem.

– Ale jeśli wezmę jego samochód, to trzeba go odwieźć do domu. Zrobisz to, bo muszę się przygotować do balu? – Mój brat i Brittany przyprawiają mnie o mdłości, ale sama myśl, że

nie są razem i czują się nieszczęśliwi jest... *no está bien*, nieznośna. Daję im popalić, a w głębi duszy zazdroszczę takiego związku. Świat mógłby się rozpaść na kawałki i nawet by nie zauważyli, dopóki mieliby siebie.

– Nie przeginaj, Carlos – mówi Brittany. – Podrzucę cię i znikam. Ale dam ci radę na dzisiejszy wieczór, a potem się zamknę. Przyhamuj swoje zachowanie i ego. Traktuj Kiarę tak, jakby była księżniczką. Niech się czuje wyjątkowa.

– Myślisz, że mam przerośnięte ego i problemy z zachowaniem? – pytam.

Wybuchła krótkim śmiechem.

– Nie myślę, Carlos. Ja to wiem. Niestety, to skaza Fuentesów.

– Ja bym to nazwał zaletą. Właśnie przez to nie sposób się oprzeć braciom Fuentes.

– Niech ci będzie – mówi. – To niszczy związek. Jeśli chcesz, żeby Kiara miała wspaniałe wspomnienia z tego wieczoru, to zapamiętaj

moje słowa i przyhamuj.

– Mówiłem ci kiedyś, że Alex tak bardzo cię kocha, że zrobił tatuaże na twoją cześć? Do diabła, ma je nawet na karku.

– To litery LK, Carlos. Inicjały Latynoskiej Krwi.

– Nie, nie, nie. Źle to interpretujesz. Chce, żeby wszyscy tak myśleli, ale naprawdę to znaczy LK, jarzysz?

– Miło, że tak mówisz, Carlos. Chociaż to nieprawda.

Zgodnie z obietnicą Brittany podrzuca mnie do warsztatu i szybko odjeżdża. Opony piszczą o nawierzchnię parkingu – musiał ją tego nauczyć mój brat. To kolejny dowód, że powinni być razem.

Zastaję brata w warsztacie z głową pod maską cadillaca. Ciekawe, czy zauważył, że miłość jego życia właśnie odjechała na pełnym gazie.

– Co tu robisz? – pyta Alex i wyciera rękę w szmatę. – Przecież byłeś ledwie żywy.

– Może się zdziwisz, Alex, ale ledwie żywy to jeszcze nie martwy. Prawdę mówiąc, czuję się podle, ale staram się jak cholera udawać, że nie.

– Mhm. – Widzę, że ma na głowie czarną bandanę, której nie widziałem od czasu, gdy należał do Latynoskiej Krwi. To zły znak. Wygląda na buntownika i za bardzo przypomina w tym mnie. Wiem, aż za dobrze, że od wyglądu buntownika do takiego zachowania jest krótka droga. – Mam kupę roboty, a ty idziesz na tańce, więc pozwolisz, że...

– Dlaczego zerwałeś z Brittany?

– Tak ci powiedziała? – mówi Alex, ściągając brwi z frustracji i złości. Rany, teraz jest naprawdę wkurzony. Wygląda na wyplutego, więc pewnie niewiele spał tej nocy.

– Trzymaj nerwy na wodzy, brat – mówię. – Nic nie mówiła. Powiedziała, że mam spytać o to ciebie.

– Zerwaliśmy. Miałeś rację, Carlos. Brit i ja za bardzo się różnimy. Pochodzimy z różnych

światów i nigdy by nam się nie udało.

Wsuwa głowę z powrotem pod maskę, ale go odciągam.

– *Usted es estúpido.*

– Uważasz, że jestem głupi? To nie ja w zeszłą niedzielę niechcący wstąpiłem do gangu. – Kręci głową. – I kto tu jest głupi?

– Coś ci powiem, Alex. Ty mi zdradzisz, dlaczego zerwałeś z królową piękności, a ja ci zdradzę wszystko, co wiem o Devlinie.

Alex wzdycha, ale jego złość trochę słabnie. Ponad wszystko chce chronić mnie i resztę rodziny. Wie, że w przyszłym tygodniu Devlin wezwie mnie do działania. Chce mi pomóc w wyplątaniu się z tego – wprost nie może się oprzeć tej pokusie.

– Za dwa tygodnie jej rodzice przyjeżdżają do miasta, bo chcą odwiedzić Shelley – mówi Alex. – Brittany chce im powiedzieć, że spotykamy się w tajemnicy od początku college'u i że to coś poważnego. Wiedzą, jak się wszystko skończyło

w Chicago. Potraktowałem ją jak dupek, a potem wyjechałem. – Z jękiem przyciska dłoń do oczu. – Spójrz na mnie, Carlos. Jestem wciąż tym samym facetem, z którym nie kazali jej się spotykać w Chicago. Uważają mnie za śmiecia i pewnie mają rację. Brittany chce, żebym poszedł z nimi na jakąś popieprzoną kolację. Tak jakby dzięki temu mieli zaakceptować fakt, że dziewczyna, którą wychowali na księżniczkę, skończyła z facetem, którego zawsze będą uważali z biednego, brudnego Meksykańca ze slumsów.

Nie mogę w to uwierzyć. Mój brat, ten sam, który tak odważnie przeciwstawił się własnemu gangowi i nie bał się zarobić za to kulkę, robi w gacie na samą myśl, że ma stanąć twarzą w twarz z rodzicami Brittany i bronić swojego związku z ich córką.

– Boisz się – mówię.

– Wcale nie. Po prostu kicham na takie bzdety. Akurat! Największym bzdetem jest to, że mój

brat jest przerażony. Boi się, że Brittany w końcu zgodzi się ze zdaniem rodziców i go rzuci. Alex nie jest w stanie znieść tego, że mogłaby go odtrącić, więc robi to pierwszy. Wiem, co mówię, bo to historia mojego życia.

– Brittany chce bronić waszego związku – mówię i zerkam na staroświeckie monte carlo Aleksa stojące w narożniku sklepu. – Dlaczego ty nie chcesz? Bo jesteś tchórzem. Uwierz trochę w swoją *novia*. Jeśli nie uwierzysz, to możesz ją stracić na dobre.

– Jej rodzice uważają, że nie jestem dla nie dość dobry. I to się nie zmieni. Zawsze będę się czuł jak *pendejo* z nizin społecznych, który wykorzystuje ich córkę.

Mam farta, że rodzice Kiary są zupełnie inni. Cieszą się, kiedy ich dzieci są szczęśliwe, bez względu na wszystko. Próbują na nas wpływać, ale nie osądzają. Z początku myślałem, że się zgrywają, że nikt nie mógłby mnie zaakceptować, szczególnie gdy staram się go

odepchnąć. Ale teraz myślę, że Westfordowie naprawdę akceptują ludzi takimi, jacy są, ze wszystkimi wadami.

– Jeśli uważasz, że jesteś *pendejo* z nizin społecznych, to nim jesteś. Problem w tym, że kiedy Brittany jest z tobą, nie myśli o różnicach społecznych i stanie twojego konta. To trochę chore, ale naprawdę cię kocha bez względu na wszystko. Może powinniście ze sobą zerwać, bo zasługuje na faceta, który za wszelką cenę będzie o nią walczył.

– Pierdol się – mówi Alex. – Nie masz pieprzonego pojęcia o związkach. Byłeś z kimś kiedyś?

– Teraz jestem.

– To na niby. Nawet Kiara tak powiedziała.

– I tak lepsze niż to, co sam masz, czyli nic. – Podchodzę do niebieskiego monte carlo. – Tak między nami, to miałem nadzieję, że pożyczysz mi na wieczór swój samochód. Nie ze względu na mnie, tylko na Kiarę. Wiem, że uważasz ją za

świetną dziewczynę, a nie mogę jej zabrać na bal jej własnym wozem.

– Miałem zamiar wpaść do Westfordów przed balem. Zaprośli mnie.

– Oszczędź sobie fatygi – mówię.

– Dobra. Ale oddaj go po balu, bo chcę jutro coś przy nim porobić. – Wrzucam garnitur i korsarza na tylne siedzenie. – Myślałem, że wkurza cię to, że jestem z Brittany.

– Po prostu muszę dać ci w kość, Alex. Od tego ma się młodszych braci, no nie? – Wzruszam ramionami. – To nie jest, co prawda, *chica Mexicana*, ale najlepsza, jaka mogła się trafić takiemu dupkowi jak ty. Równie dobrze mógłbyś już dziś ożenić się z nią i po sprawie.

– Niby jak? Jedyne, co mam, to niepełne wykształcenie i stare auto.

Wzruszam ramionami.

– Na pewno przyjmie tyle, ile masz. Do diabła, to o wiele więcej, niż mieli nasi rodzice, kiedy się pobierali. Nie do porównania, bo *mi'amá* w

dodatku była w ciąży i urodziła takiego brzydala jak ty.

– Skoro mowa o brzydalach, to oglądałeś się ostatnio w lustrze?

– Tak. Bardzo śmieszne, Alex. Nawet z opuchniętą wargą i podbitym okiem wyglądam o niebo lepiej od ciebie.

– Tak, jasne. Zaczekaj – mówi Alex. – Miałeś mi powiedzieć o Devlinie.

– A tam. – Odpalam silnik. – Powiem ci jutro. Może.

Kiedy docieram do Westfordów, Brandon siedzi z założonymi rękami na łóżku w moim pokoju. Dzieciak wysiła się, jak umie, żeby zrobić rozwścieczoną minę, ale mógłby tym przstraszyć co najwyżej jakiegoś dziesięciolatka.

– Co jest grane, *cachorro*?

– Jestem na ciebie wściekły.

Rany, dostaję dziś po głowie ze wszystkich stron.

– Weź numerek i ustaw się w kolejce, mały.

Prycha jak samochód z nawaloną rurą wydechową.

– Powiedziałeś, że jesteśmy współnikami przestępstwa. Że jeśli coś zrobię, to nie naskarżysz. A jak ty coś zrobisz, to ja nie naskarżę.

– I co?

– Jesteś skarżypytą. Teraz tata będzie mnie pilnował jak dziecko, kiedy będę grał na komputerze. To twoja wina.

– Sorry. Życie nie jest sprawiedliwe.

– Czemu?

Gdyby było, to mój ojciec nie zginąłby, gdy miałem cztery lata. Gdyby było, to nie musiałyby się przejmować takimi typami jak Devlin. Gdyby było, to naprawdę miałbym szansę chodzić z Kiarą. Życie jest do kitu.

– Nie wiem. Ale jak się dowiesz, *cachorro*, to

mi powiedz.

Oczekuję, że będzie się rzucał, ale jest spokojny. Zeskakuje z mojego łóżka i idzie do drzwi.

– I tak jestem na ciebie zły.

– Przejdzie ci. A teraz spadaj. Muszę wziąć prysznic i się uszykować. Robi się późno.

– Jak chcesz, żeby mi szybciej przeszło, to podkradnij mi coś słodkiego z szafki nad lodówką. To tajna skrytka mamy. – Pokazuje mi, żebym się schylił, i zdradza sekret: – Trzyma tam niezdrowe przekąski – mówi szeptem. – Wiesz, same dobre rzeczy. – Im więcej gada, tym bardziej się nakręca.

Niech to licho. Nie została mi nawet godzina, żeby się przygotować do balu, ale nie chcę zawieść dzieciaka.

– No dobra, Ścigaczu. Jesteś gotowy do tajnej wyprawy na poszukiwanie skarbu?

Brandon zaciera dłonie, wyraźnie zadowolony, że mnie tak wyrolował. Dzieciak

ma dar przekonywania, muszę mu to przyznać.

– Za mną. – Wystawiam głowę za drzwi i macham na niego. Powstrzymuję śmiech, gdy idzie do mnie na paluszkach. Czasami zachowuje się jak normalny sześciolatek, a innym razem wydaje się mieć więcej rozumu niż dorośli.

W milczeniu schodzimy na dół. Zanim udaje nam się dotrzeć do kuchni, ktoś wychodzi z gabinetu Westforda. To Kiara. Ma na sobie długą czarną sukienkę, która cudownie podkreśla jej kształty od biustu do ud. Włosy spływają jej na ramiona i piersi, a ich końce są starannie zakręcone. Z nieziemsko seksownego rozcięcia z boku sukni wychyla się długa, szczupła noga.

Staję jak wryty.

Odbiera mi mowę.

Przesuwam wzrok po jej sylwetce, ciesząc oczy tym widokiem. Wiem, że będę pamiętał tę chwilę do końca życia. Kiedy patrzę na jej seksowne szpilki z wyciętymi palcami, wyższe

niż mógłbym marzyć, serce szybciej mi bije. Boję się mrugać ze strachu, że okaże się tylko wytworem mojej wyobraźni i zniknie.

– I c-c-co? C-c-co myślisz?

Brandon mówi głośno „ciiii” i kładzie palec na ustach.

– Mamy tajną misję – mówi głośnym szeptem, nieświadomy, że jego siostra zamieniła się w boginię. – Nie mów mamie i tacie.

– Nie powiem – odpowiada szeptem. – Co to za misja?

– W poszukiwaniu słodczy. Tych niezdrowych. Chodźmy!

Patrzę na Kiarę i żałuję, że nie jesteśmy sami. Naprawdę dałbym wszystko, żebyśmy teraz byli sami.

– Brandon, idź sprawdzić teren. Musimy wiedzieć, czy twój tata się gdzieś nie kręci. Potrzebuję choć kilku minut sam na sam z jego siostrą.

– Okej – mówi i przemyka na zwiady. – Zaraz

wracam.

Mam niecałą minutę sam na sam z Kiarą. Wciskam ręce do kieszeni, aby ukryć ich nerwowe drżenie. Nagradza mnie półuśmiechem, po czym wbija oczy w podłogę.

Ja z kolei gapię się na sufit, jakbym szukał tam rady albo chociaż znaku od mojego ojca. Przenoszę wzrok na Kiarę. O rety. Wpatruje się we mnie i czeka, aż coś powiem. Zanim udaje mi się wymyślić jakąś sensowną albo przynajmniej zabawną uwagę, wraca Brandon.

– Jest w telewizyjnym. Bierzmy się do roboty, żeby nas nie przyłapał.

Z trudem przełykam. Muszę pozbyć się Brandona. Idziemy wszyscy do kuchni. Otwieram małą szafkę nad lodówką. I bez zaskoczenia patrzę na duży koszyk wypełniony kontrabandą.

Brandon ciągnie mnie za koszulkę.

– Pokaż mi, pokaż mi.

Stawiam koszyk na stole. Brandon wchodzi na

krzesło i ogląda łupy.

– Proszę – wciska mi w rękę tabliczkę czekolady. – Jest z orzechami, a ja nie lubię orzechów.

W końcu Brandon bierze mleczną czekoladę i dwa cukierki. Zadowolony ze zdobyczy, zeskakuje z krzesła.

Odstawiam koszyk do tajnej skrytki, o której wszyscy wiedzą. Kiedy się odwracam, Brandon wpycha już do ust odłamany kawałek czekolady.

– Kiara, czemu wyglądasz jak dziewczyna? – pyta z buzią wypełnioną czekoladą.

– Idę na randkę. Z Carlosem.

– Będziecie się całować po francusku?

Kiara gani go wzrokiem.

– Brandon! To bardzo niegrzecznie zadawać takie pytania. Kto ci o tym powiedział?

– Ci z czwartej. W autobusie.

– I co mówili?

Rzuca jej zdesperowane spojrzenie.

– Przecież wiesz...

– Powiedz mi – prosi. – Może nie wiem.

Mogę zaświadczyć, że Kiara dobrze wie, co to jest francuski pocałunek, ale nie zdradzam jej sekretu.

– Że trzeba polizać język drugiej osoby – szepcze.

Do licha, ten mały wie więcej niż ja w jego wieku. Po pierwsze, jest wirtualnym handlarzem narkotyków, a po drugie, zna się na francuskim pocałunku. Kiara patrzy na mnie, ale podnoszę dłonie. Niczego bardziej nie pragnę, niż całować ją po francusku, ale mogę trochę zaczekać.

– To nie mój brat.

– W ten sposób można dostać różne zarazki – rozpatruje konsekwencje francuskiego pocałunku, przeżuwając czekoladę.

– Zdecydowanie – zgadza się Kiara. – Prawda, Carlos?

– Jasne. Zarazki. Całe mnóstwo zarazków – nie dodaję, że niektóre dziewczyny są takie fantastyczne, że warto zaryzykować.

– Nigdy tego nie zrobię – oznajmia Brandon.

– Nikt nie będzie chciał tego z tobą robić, *cachorro*, jeśli nie nauczysz się wycierać buzi po zjedzeniu czekolady. Jesteś obrzydliwy – mówię.

Kiara sięga po papierową serwetkę i wyciera Brandonowi buzię. Mały patrzy na nią z zaciekawieniem.

– Nie odpowiedziałś na moje pytanie. Będziesz się całować z Carlosem po francusku?

agnieszka

48. Kiara

Brandon, przestań nudzić, bo powiem mamie, że zjadłeś czekoladę bez pytania – pochylam się i całuję go w czysty policzek. – Ale i tak cię kocham.

– Wstręciucha – mówi Brandon, ale wiem, że wcale nie jest mu przykro, bo wypada z kuchni jak wystrzelony z procy.

W końcu zostajemy sami. Carlos podchodzi od tyłu i delikatnie przesuwam na bok moje włosy, odsłaniając szyję.

– *Eres hermosa* – szepcze mi do ucha. Na sam dźwięk hiszpańskich słów trzęsę się w środku jak galaretka.

Odwracam się twarzą do niego.

– Dzięki. Tego było mi trzeba.

– Powinienem wziąć prysznic i się przebrać, ale nie chcę odrywać od ciebie wzroku.

Odpycham go, chociaż kręci mi się w głowie z

oszołomienia, kiedy to mówi.

– Idź. Nie chcę się spóźnić na mój pierwszy szkolny bal.

Po czterdziestu pięciu minutach nadal stoję w szpilkach. Boję się usiąść, żeby nie pognieść sukienki. Mama uparła się, żeby pomalować mi paznokcie różowym lakierem i nie mogę ich obgryzać, więc kręcę się tylko nerwowo. Jesteśmy na dworze, a mama i tata robią mi zdjęcia: przed domem, obok kwiatu w donicy, obok mojego samochodu, z Brandonem, i z płotem, i...

Carlos otwiera rozsuwane szklane drzwi i wychodzi na patio. Zamiast codziennej koszulki i dżinsów z dziurami ma na sobie czarny garnitur i białą koszulę zapinaną na guziki. Gdy uświadamiam sobie, że ubrał się tak dla mnie, serce bije mi szybciej, a język robi się gruby i ciężki. Zwłaszcza że Carlos trzyma w ręku bukietek.

– Och, ale przystojnie wyglądasz. To takie

słodkie, że zaprosiłeś Kiarę na bal absolwentów – mówi mama. – Zawsze chciała pójść.

– To nic takiego – mówi Carlos.

Nie wyprowadzam mamy z błędu. Nie chcę jej teraz tłumaczyć, że to rezultat umowy. Jestem pewna, że gdyby nie ona, to nie stalibyśmy tutaj wystrojeni w najlepsze ciuchy.

– Proszę. – Carlos podaje mi bukietik fioletowych i białych kwiatków z żółtymi środkami.

– Załóż jej na rękę, Carlos – mówi mama, podekscytowana, i podnosi aparat.

Tata prosi ją, żeby nie robiła zdjęć.

– Colleen, chodźmy do domu. Dajmy im kilka minut sam na sam.

Rodzice odchodzą, a Carlos wsuwa mi bukietik na nadgarstek.

– Wiem, że nie pasuje do twojej sukni – mówi nieśmiało. – I pewnie spodziewałaś się róż. To są meksykańskie astry. Chciałem, żeby ci o mnie przypominały za każdym razem, gdy na nie

spojrzysz.

– Są id-d-dealne – mówię i podnoszę biało-fioletowy bukiet do nosa, żeby poczuć słodki zapach.

Na stole leży kwiat do butonierki, który dla niego kupiłam. Prosta biała róża otoczona zielonymi listkami. Biorę ją i pokazuję Carlosowi.

– Mam ci to p-p-rzypiąć do klapy.

Podchodzi bliżej. Ręce mi drżą, kiedy biorę dużą szpilkę i próbuję przypiąć kwiat.

– Ja to zrobię – mówi, patrząc, jak nieudolnie próbuję przebić szpilką zieloną taśmę u dołu róży. Nasze palce się stykają i brakuje mi tchu.

Znowu musimy odcierpieć kilka zdjęć z rodzicami. Niebo zaciąga się chmurami.

– Wieczorem ma padać – mówi mama i każe mi wziąć brązowoszary płaszcz przeciwdeszczowy, który zupełnie nie pasuje do sukienki, ale może się przydać. Carlos jest podekscytowany, że zabiera mnie samochodem

Aleksa. Wiedział, że mi się spodoba, bo jest w stylu mojego auta.

Po dziesięciu minutach wjeżdżamy na szkolny parking, wypełniony już autami. Gdy idziemy do drzwi, nagle wyskakuje przed nami Nick Glass i dwóch dużych chłopaków. To oczywiste, że nie przyszli tutaj potańczyć... tylko narobić komuś kłopotów.

Chwytam Carlosa za ramię, bo się boję, że znowu wda się w bójkę.

– W porządku – uspokaja mnie cicho. – Zaufaj mi, *chica*.

– To mój teren – mówi Nick i robi krok w naszą stronę. – Nie wpuszczam tu nikogo.

– Wcale tego nie chcę – mówi do niego Carlos.

– W czym problem? – mówi Ram, który podchodzi do nas z nieznaną mi dziewczyną. Ram i Carlos są przyjaciółmi i dobrze wiedzieć, że ktoś ma ochotę nadstawić karku za Carlosa, nawet w dniu balu.

– Wszystko gra, tak, Nick? – pyta Carlos.

Nick przenosi wzrok z Carlosa na Rama i z powrotem. Jego koledzy nie są z liceum Flatiron. Aż się rwą do bójki, ale Nick w końcu cofa się i pozwala nam przejść.

Carlos bierze mnie za rękę i mijają ich bez strachu.

– Jeśli będziesz mnie potrzebował, Carlos, możesz na mnie liczyć – mówi Ram, gdy docieramy do frontowych drzwi szkoły.

– Ty na mnie też – odpowiada Carlos i ściska mnie za rękę. – Jeśli chcesz iść gdzieś indziej, Kiara, to nie ma sprawy.

Kręcę głową.

– Umowa to umowa. Chcę, żeby fotograf zrobił nam zdjęcie. Przypnę je do tablicy korkowej nad biurkiem i będę miała pamiątkę z pierwszej szkolnej zabawy. Tylko obiecaj, żadnych bójek.

– Okej, *chica*. Ale jak już zrobimy zdjęcie, powiedz mi, jeśli będziesz chciała iść w inne miejsce.

– Na przykład jakie? – pytam.

Patrzy na plakaty i serpentyny, na tańczących uczniów, którzy przekrzykują głośną muzykę. Przyciąga mnie do siebie.

– Ciche, gdzie będziemy sami. Nie mam dziś ochoty dzielić się tobą.

Rzecz w tym, że ja też nie mam ochoty dzielić się z nikim Carlosem.

Fotograf każe nam się ustawić do zdjęcia, zanim wejdziemy do auli. A właściwie sam nas przedstawia jak manekiny w sklepie.

– Chcesz się czegoś napić? – pyta Carlos, otaczając mnie ręką w tali i przyciągając do siebie, żeby przekrzyknąć głośną, dudniącą muzykę.

Kręcę głową i omiatam wzrokiem salę. Większość dziewczyn ma bardzo krótkie sukienki z rozkloszowanymi spódniczkami, które unoszą się przy tanecznych obrotach. Wyglądam nie na miejscu w długiej, czarnej i obcisłej sukience.

– Zjesz coś? – pyta. – Jest pizza.

– Może później.

Obserwuję, jak inni uczniowie tańczą. Większość wygina się w grupkach. Nie ma wśród nich Madison. Nie ma też Lacey. Odprężam się, wiedząc, że nie stanę się obiektem ich aroganckich docinek.

Carlos chwyta mnie za rękę i prowadzi w odległy narożnik auli.

– Zatańczmy.

– Przecież jeszcze nie jesteś w stuprocentowej formie. Poczekajmy na wolniejszy taniec. Nie chcę, żebyś sobie zrobił krzywdę.

Carlos mnie nie słucha, tylko zaczyna tańczyć. Nie widać, żeby coś go bolało. Przeciwnie, sprawia wrażenie, jakby od urodzenia ćwiczył uliczny taniec. Ogłuszająca muzyka jest bardzo szybka. Większość facetów, których znam, nie ma poczucia rytmu, ale nie Carlos. Jest zdumiewający. Mam ochotę stanąć z boku i przyglądać się, jak rytmicznie porusza ciałem.

– Pokaż, co potrafisz – mówi nagle z

łobuzerskim błyskiem w oku. Unosi zadziornie
brew. – Wyzywam cię, *chica*.

agnesa

49. Carlos

Kiara tańczy jak zawodowa tancerka. Rany, wystarczy, żeby poczuła wyzwanie, a już porusza się do muzyki, jakby nic innego nie robiła przez całe życie. Porywam ją, a nasze ciała od razu łapią wspólny rytm. Tańczymy bez chwili przerwy, nie opuszczając żadnej piosenki. Dzięki Kiarze przestaję myśleć o Devlinie i toczącym się dramacie z udziałem Brittany i Aleksa.

Nagle, w połowie szybkiego kawałka, didżej miksuje utwory. W auli rozlega się boleśnie wolna piosenka o miłości i stracie. Kiara patrzy na mnie niepewnie, nie wiedząc, jak to tańczyć.

Kładę jej ręce na swojej szyi. Do licha, wspaniale pachnie... jak świeże maliny. Można by wdychać ten zapach bez końca. Przyciągam ją do siebie, aż jej ciało przywiera do mojego. Jedyne, czego teraz pragnę, to porwać ją stąd i zatrzymać. Próbuję udawać, że Devlin nie

istnieje, że nie wyjeżdżam na dobre pod koniec miesiąca. Chcę się cieszyć tą chwilą, bo moja przyszłość to jeden wielki bajzel.

– O czym myślisz? – pyta Kiara.

– O tym, żeby stąd uciec – mówię zgodnie z prawdą. Nie wie, że mam na myśli opuszczenie Kolorado, ale to nic. Gdyby знаła moje plany, prawdopodobnie zadzwoniłaby do Aleksa i swoich rodziców, żeby coś z tym zrobili. Do diabła, pewnie poprosiłaby też Tucka.

Podnosi na mnie wzrok, nie odrywając rąk od mojej szyi. Pochylam się i całuję ją delikatnie w miękkie, błyszczące usta. Mam gdzieś, że nauczyciele na nas patrzą. Wcześniej palnęli nam kazanie, że za publiczne okazywanie uczuć możemy wylecieć z balu.

– Nie w-w-wolno się całować – mówi Kiara i odsuwa się ode mnie.

– To chodźmy tam, gdzie wolno.

Zsuwam dłonie w dół jej pleców i zatrzymuję się na wgłębieniu nad pupą.

– Hej, Carlos! – woła Ram i podchodzi do nas ze swoją partnerką. Zdążyliśmy się już wytańczyć i najeść, więc jesteśmy gotowi stąd spadać. – Urywamy się do domu moich rodziców nad jeziorem. Chcecie jechać z nami?

Patrzę na Kiarę. Kiwa głową.

– Na pewno? – pytam.

– Tak.

Pada, więc idziemy szybkim krokiem do auta. Wyjeżdżam z parkingu za Ramem i kilkoma innymi osobami. Pół godziny później zjeżdżamy z głównej drogi i kierujemy się długim podjazdem do niedużego domu nad prywatnym jeziorem.

– Jesteś pewna, że chcesz tu być? – pytam Kiarę. Nie odzywała się wiele od wyjazdu ze szkoły.

– Tak. Chcę, żeby t-t-ta noc jeszcze t-t-trwała.

Ja też tego chcę. Potem dopadnie mnie twarda rzeczywistość. Razem z trzema innymi parami biegniemy do domu, bo leje. Dom nie jest duży,

ale ogromne okna wychodzą na jezioro. Gdyby było jasno, na pewno byłoby widać wodę. Teraz widzimy tylko krople deszczu uderzające w szyby.

Lodówka jest napchana puszkami piwa.

– Wszystko nasze – mówi Ram i podaje każdemu po puszcze. – A w garażu jest jeszcze więcej, jeśli ktoś będzie chciał.

Kiara trzyma zamkniętą puszkę.

– Będziesz pił? – pyta mnie.

– Może.

Wyciąga rękę.

– To daj mi kluczyki. Nie chcę, żebyś prowadził po alkoholu – mówi cicho, żeby nikt nie usłyszał.

– À propos – woła Ram. – Każdy, kto wypije, musi tu zostać na noc. Takie zasady.

Rozglądam się. Nikt nie jest tym zaskoczony.

– Zaczekaj – mówię do Kiary i biegnę do samochodu po komórkę, którą tam zostawiłem. Po pięciu minutach jestem z powrotem. Pomimo

nieśmiałości, o której ciągle mówi, Kiara dobrze sobie radzi. Ram wciągnął ją w rozmowę o zaletach diesla i kusi mnie, żeby powiedzieć: – Moja dziewczyna.

Ale wiem, że jest nią tylko tej nocy. I wkrótce się to skończy.

Odciągam Kiarę na bok.

– Zostajemy tu na noc. Zadzwońłem do twoich rodziców. Zgodzili się.

– Jak ich do tego przekonałeś?

– Powiedziałem im, że wypiliśmy. Wolą, żebyśmy tu zostali, niż prowadzili po pijanemu.

– Ale ja nie miałam zamiaru pić.

Posyłam jej łobuzerski uśmiech.

– Nie muszą wszystkiego wiedzieć, *chica*.

Inne pary szukają sobie w domu miejsca do spania. Biorę kilka koców, które Ram wyjął z szafy, i wyprowadzam Kiarę na dwór.

– Dokąd idziemy? – pyta.

– Kawalek dalej jest przystań. Wiem, że jest zimno i pada, ale... tam przynajmniej nikogo nie

ma. – Zdejmuję marynarkę i jej podaję. – Proszę.

Wsuwa ręce w rękawy i otula się marynarką. Podoba mi się w moim ubraniu. Czuję się, jakby należała tylko i wyłącznie do mnie.

– Zaczekaj! – mówi Kiara i chwytła mnie za nadgarstek. – Daj mi kluczyki.

O, do diabła. A jednak. Teraz mi powie, że wcale nie jest moja – że wciąż kocha Michaela i chce jechać do domu. Albo że chciała tylko, żebym ją wziął na bal, a resztę sam sobie dośpiewałem. Wypiłem tylko jedno piwo i jestem boleśnie trzeźwy, ale nie chcę jej odwozić do domu. Chcę, żeby ta noc trwała jak najdłużej.

– Muszę wziąć torebkę – tłumaczy. – Zostawiłam ją w samochodzie.

Och. A więc chodzi tylko o torebkę. Stoję na deszczu i patrzę jak głupi na Kiarę. Jedyne, czego pragnę, to przytulić ją i nie wypuszczać z rąk, jakby była moim ulubionym misiem z dzieciństwa. Te uczucia przerażają mnie jak diabli. Bierze z auta torebkę i trzyma ją

kurczowo, gdy idziemy przez trawnik.

– Obcasy mi się zapadają – mówi.

Podaję Kiarze koce i biorę ją na rękę.

– Tylko mnie nie upuść – mówi, przytrzymując koce na kolanach, a drugą ręką trzymając mnie kurczowo za szyję, jakby bała się o życie.

– Zaufaj mi. – Mówię to dzisiaj już drugi raz. A prawda jest taka, że nie powinna mi ufać, bo mamy tylko tę noc, a potem wszystko się spieprzy. Ale nie chcę myśleć o jutrze. Ta noc musi trwać wieki. Ten nocy... może mi zaufać, tak jak ja jej ufam.

Stawiam ją na deskach przystani. Jest ciemno. Czarne chmury nie przepuszczają światła księżyca. Koc na wierzchu zupełnie przemókł, ale na szczęście wziąłem ich kilka. Rozkładałam suche koce na drewnianej podłodze przystani, przygotowując miejsce do spania.

Nie wiem tylko, czy będziemy się zajmować wyłącznie spaniem.

- Kiara? – mówię.
- T-t-tak? – odpowiada, a to jedno słowo
dźwięczy w ciemności.
- Prześpij się ze mną.

agnesa

50. Kiara

Serce mi trzepocze i czuję przyływ podniecenia.

– C-c-ciemno tu. Nic nie widzę.

– Kieruj się moim głosem, *chica*. Nie pozwolę ci upaść.

Po omacku wyciągam przed siebie rękę, jakbym była niewidoma. Cała się trzęsę z nerwów albo od zimnego deszczu. Nie wiem, od czego bardziej. Gdy nasze ręce spotykają się w ciemności, prowadzi mnie na posłanie, które przygotował. Kładę obok torebkę z prezerwatywą, podciągam niezręcznie sukienkę i siadam naprzeciw Carlosa.

Obejmuje mnie silnymi, muskularnymi ramionami.

– Cała drżysz – mówi i przytula mnie do piersi.

– N-n-nie mogę tego opanować.

– Zimno ci? Znajdę jeszcze jakieś koce, jeśli...

– Nie, nie odchodź. Z-z-zostań ze mną. –
Przekręcam się i obejmuję go w pasie. Wtulam się w jego ciepłe ciało i nie pozwalam mu się ruszyć. – Po prostu się denerwuję.

Głodzi mnie po włosach, mokrych od deszczu.

– Ja też.

– Carlos?

– Tak?

Nie widzę jego twarzy, więc wyciągam rękę i dotykam świeżo ogolonej twarzy.

– Opowiedz mi coś z dzieciństwa. Coś d-d-dobrego.

Milczy długą chwilę. Nie pamięta żadnych szczęśliwych momentów z czasów, gdy mieszkał w Chicago?

– Alex i ja zawsze po szkole pakowaliśmy się w kłopoty. Mama była wtedy w pracy. Alex miał nas pilnować, ale przecież odrabianie lekcji zaraz po szkole to ostatnia rzecz, jaką ma w głowie trzynastolatek. Urządzaliśmy zawody, które nazywaliśmy Olimpiadą Fuentesów.

Wymyślaliśmy najgłupsze dyscypliny.

– Na przykład jakie?

– Alex wpadł na głupi pomysł, żeby odciąć górę od mamy rajstop i włożyć w nogawki tenisowe piłeczki. Nazywał to rzutem dyskiem w rajstopach. Machaliśmy nimi dookoła, a potem rzucaliśmy z całej siły. Czasami wygrywał ten, kto rzucił najdalej, a czasem ten, najwyżej. – Śmieje się. – Byliśmy skończonymi idiotami, bo wsadziliśmy te rajstopy z powrotem do mamy szuflady i myśleliśmy, że się nie domyśli, kto je pociął.

– Dała wam popalić?

– Powiem tylko, że jeszcze mnie boli tyłek, a to było siedem lat temu.

– Auuu.

– Wtedy spędzałem z Alekssem dużo czasu. Kiedyś chciałem zostać piratem. Wziąłem biżuterię z kasetki w mamy pokoju i zakopałem ją w lesie koło naszego domu. To była w większości sztuczna biżuteria i jakieś głupie

wsuwki, które nosiła do pracy. Jak wróciłem do domu, narysowałem mapę i zaznaczyłem na niej dużym iksem miejsce ukrycia skarbu. Potem powiedziałem Aleksowi, żeby go poszukał.

– I znalazł?

– Nie. – Wybuchła krótkim śmiechem. – Ja też nie.

– Twoja mama dostała szau?

– To mało powiedziane, *chica*. Codziennie po szkole przekopywałem las, ale nie odnalazłem biżuterii. Najgorsze, że w pudełku była jej ślubna obrączka... Nie nosiła jej po śmierci *mi papá*, żeby jej nie zgubić.

– O, mój Boże. To okropne.

– Tak. Nie było mi wtedy do śmiechu, o nie. Kiedyś znajdę to pudełko, o ile już go ktoś nie wykopał. No dobra, twoja kolej. Czym najbardziej wkurzyłaś wszechmogącego profesora i królową matkę organicznej herbaty?

– Kiedyś schowałam tacie kluczyki od auta, żeby nie pojechał do pracy.

– Cienkie, cienkie. Musisz się bardziej wysilić.
– Udawałam, że jestem chora, żeby nie iść do szkoły.

– Błagam, byłem w tym mistrzem. Nie zrobiłaś nic naprawdę złego? Przez całe życie byłaś aniołkiem?

– Jak byłam zła na rodziców, to doprawiałam im pastę do zębów sosem tabasco.

– No teraz jestem w domu. To mi się podoba.

– Ale rodzice nigdy mnie nie bili. Nie wierzą w takie metody. Jak miałam dwanaście lat i przeżywałam okres buntu, to często dostawała karę odosobnienia.

Śmieje się.

– Ja ciągle przeżywam okres buntu. – Jego palce muskają moje kolano i powoli suną wyżej. Gdy docierają do podwiązki, dotyka koronki.

– Co to jest?

– Podwiązka. Masz ją zdjąć i zachować na pamiątkę. C-c-coś w rodzaju trofeum, jeśli posuniesz się daleko z dziewczyną. To w sumie

głupie. I p-p-ponizające, jak się z-z-zastanowić.

– Wiem, co to jest – mówi z rozbawieniem. – Tylko chciałem usłyszeć, co powiesz. – Zsuwa powoli podwiązkę, a jego usta przesuwiają się w ślad za nią. – Podoba mi się to – mówi, kiedy ściąga mi pantofle, a potem podwiązkę.

– Czy teraz czujesz się buntownikiem? – pytam go.

– SÍ. I to bardzo.

– Pamiętasz, jak powiedziałeś, że któregoś dnia wpakujemy się w kłopoty?

– Tak.

– Myślę, że to właśnie ten dzień. – Drżącą ręką zaczynam odpinać Carlosowi koszulę. Otwieram ją i powoli przesuwam się pocałunkami w dół jego mocnej, nagiej piersi. Z każdym kolejnym guzikiem jestem coraz niżej. – Chcesz wpakować się ze mną w kłopoty, Carlos?

51. Carlos

Wpakować się z nią w kłopoty? Do diabła, już dawno się w nie wpakowałem. Od pierwszej chwili gdy ją zobaczyłem w liceum Flatiron. A teraz zupełnie zapominam o rozsądku, czując jej delikatne, ciepłe wargi na skórze. Pozwalam jej przejść kontrolę. Wstrzymuję się, chociaż moje ciało domaga się więcej. Brittany powiedziała, żebym przyhamował swoje zachowanie i ego. Problem w tym, że w tej chwili nie jestem w stanie myśleć ani o jednym, ani o drugim.

Kiara wyciąga język i muska mój sutek.

– Czy to jest ok-k-kej? – pyta.

Żadna dziewczyna jeszcze tego nie zrobiła. Do diabła, nie wiem, czy jakiejś innej bym na to pozwolił. Ale to nie jest pierwsza z brzegu dziewczyna, tylko Kiara. Mam wrażenie, że zaakceptowałbym wszystko, co by jej przyszło do głowy.

– Tak. Cholernie dobrze, *chica*. Nie mogę się doczekać, kiedy się odwdzięczę.

Mam urywany oddech i staram się zmusić resztę ciała, żeby się uspokoiła, kiedy jej usta przesuwają się na drugą stronę mojej klaty.

Chcę ją poczuć przy sobie. Nigdy nie twierdziłem, że mam cierpliwość.

– Hej – mówię i unoszę jej podbródek. Całuję ją delikatnie i niczego bardziej nie pragnę, niż żeby się koło mnie położyła. – Kolej na mnie.

Ściągam z jej ramion swoją marynarkę i odrzucam ją na bok. Przesuwam palce po zamku sukienki, aż docieram do górnego końca. Odpinam suwak, odsłaniając skórę. Chciałbym ją widzieć, ale mogę sobie tylko wyobrażać. Kiara odpina mi spodnie, wsuwa rękę do środka i kładzie na bokserkach.

– Co robisz? – pytam.

– Przepraszam – mówi szybko i cofa dłoń. – M-m-musiałam coś z-z-zrobić z rękoma i chciałam sprawdzić, czy cię p-p-podniecami.

Śmieję się. I szukała odpowiedzi w moich gatkach.

– Przekonałaś się namacalnie? – pytam rozbawiony.

– Tak – szepcze. – Jesteś napalony.

– Na wypadek gdybyś nie była pewna... – Biorę jej rękę i kładę w tym samym miejscu. – Na samą myśl o tobie jestem twardy.

Czuję, że się uśmiecha, chociaż nic nie widzę. Wyobrażam sobie rzęsy okalające zielone oczy, które teraz przybrały pewnie szary odcień.

Zsuwam sukienkę z jej ramion i ściągam w dół, aż Kiara zostaje w bieliźnie.

– Kolej na ciebie – szepcze i odsuwa się, gdy chcę jej dotknąć.

Wyskakuję z ciuchów i zostaję w samych majtkach, a potem wciągam ją pod koc.

– Zimno ci? – pytam, czując lekkie drżenie jej dłoni, gdy przesuwa palce po mojej twarzy, jakby chciała ją zapamiętać.

– Nie.

Pochylam się i ją całuję.

– Daj mi swoje zarazki – żartuję z Brandona i jego definicji francuskiego pocałunku.

– Pod warunkiem że ty dasz mi swoje – mówi w moje usta. Rozchyła wargi i nasze języki się splatają – robię się od tego jeszcze twardszy, jeśli to w ogóle możliwe.

Nasze ciała ocierają się o siebie rytmicznymi ruchami przez całą wieczność. Sięgam do jej majtek, żeby ją poczuć, a w tej samej chwili jej ręce mnie otaczają.

– Mam prezerwatywę – mówię, kiedy ściągam jej majtki. Oboje jesteśmy rozgrzani i spoceni i nie mogę już dłużej czekać.

– Ja też mam – szepcze w moją szyję. – Ale nie wiadomo, czy będziemy mogli jej użyć.

– Dlaczego nie?

Boję się, że zaraz mi powie, że to pomyłka, że wcale nie chciała, żebym się napalił, że nie zasługuję na to, żeby jej zabrać dziewictwo, ale bała mi się to powiedzieć.

Kiara chrząka.

– Bo to zależy od tego, czy nie jesteś uczulony na lateks.

Lateks? Nikt mnie o to nie pytał. Może dlatego, że inne dziewczyny oczekiwały, że to ja pomyślę o zabezpieczeniu albo się tym wcale nie przejmowałam.

– *Chica*, nie mam na nic alergii.

– To dobrze – mówi i wyjmuję z torebki prezerwatywę. – Mam ci ją nałożyć?

Nie widzi, że unoszę kącik ust. To nie ja jestem dziewczyną, a jednak tej nocy tyle rzeczy dzieje się po raz pierwszy.

– A potrafisz?

Słyszę, że otwiera opakowanie.

– To wyzwanie? – szepcze, pochyla się i mówi prosto w moje usta. – Och, Carlos. Wiesz, że uwielbiam wyzwania.

52. Kiara

Obudź się, *chica*.

Poruszam się na dźwięk głosu Carlosa. Czuję na nagim ramieniu delikatny dotyk palców. Nasze nogi są splecione, a głowę opieram w zagłębieniu jego ramienia. Na wspomnienie tego, co robiliśmy kilka godzin temu, przyplływają słodko-gorzkie wspomnienia.

Otwieram oczy. Wciąż jest ciemno i leżymy oboje zupełnie nadszy pod kocami.

– Cześć – mówię zaspanym i zmęczonym głosem.

– Cześć. Musimy się zbierać.

– Dlaczego? Nie możemy tu jeszcze zostać?

Chrząka i odsuwa się na drugą stronę, a pod koc wpływa chłodne nocne powietrze.

– Zapomniałem, że muszę oddać Aleksowi samochód.

– Okej – mówię tępo. – Okej.

Wiem, że się boi i żałuje tego, co zrobiliśmy. Wyczuwam to. Nie wiem, dlaczego poczuł to właśnie teraz, ale wiem, że tak jest.

– Ubierz się – mówi bez emocji.

Kiedy jesteśmy ubrani, podaje mi marynarkę, ale jej nie chcę.

– Mam płaszcz przeciwdeszczowy.

– Zostawiłaś go w samochodzie, Kiara. Włóż marynarkę. Ochroni cię przed deszczem.

– Nie potrzebuję jej – mówię i wychodzę prosto na deszcz w samej sukience i z bosymi stopami. Potrzebuję jego miłości. I szczerości. Poza tym marynarka to tylko pozorna ochrona. Jest przemoczona do suchej nitki.

Pakuje koce do bagażnika samochodu i bąka coś, że musi je zanieść do pralni. Jedziemy pustymi, ciemnymi ulicami w całkowitym milczeniu. Słyszeć tylko deszcz uderzający o szybę. Szkoda, że tak bardzo przypomina mi łąy.

– Jesteś na mnie zły? – pytam, wciągając płaszcz przeciwdeszczowy, żeby nie widział, jak

mi drżą ramiona.

– Nie.

– To przestań się zachowywać, jakbyś był. Dla mnie ta noc była idealna. Nie psuj mi tego.

Wjeżdża na podjazd i parkuje koło mojego samochodu. Deszcz leje jeszcze mocniej.

– Poczekaj kilka minut, aż trochę przejdzie – mówi, gdy biorę buty i torebkę.

– Jak wrócisz do domu, kiedy odstawisz samochód?

– Przenocuję u brata.

Patrzę na krople deszczu spływające po przedniej szybie. Nie mogę tu dłużej siedzieć, bo zbiera mi się na płacz.

– Nie żałuję tej nocy. Ani trochę. Chciałam, żebyś wiedział.

Patrzy prosto na mnie. Światło latarni pada na jego piękną, silną twarz.

– Posłuchaj, muszę dojść z tym do ład. Wszystko jest takie...

– Skomplikowane – kończę za niego. – Pozwól,

że ci t-t-to ułatwię. Nie jestem taka głupia, żeby myśleć, że c-c-coś się zmieniło, bo uprawialiśmy seks. Od p-p-początku mówiłeś jasno, że nie szukasz dziewczyny. Widzisz? Już nie jest skomplikowane. Jesteś wolny jak ptak.

– Kiara...

Pomimo deklaracji, że ta noc nie musi nic znaczyć, nie zniosę wysłuchiwania, że była błędem. Wsiadam z samochodu, ale zamiast przebiec do domu w strugach deszczu, idę prosto do swojego auta. To jedyne miejsce, gdzie mogę spokojnie pomyśleć i wypłakać się bez świadków. Moje sanktuarium. Gdyby tylko Carlos odjechał, to mogłabym płakać w spokoju.

Otwiera okno i pokazuje mi, żebym też opuściła szybę. Gdy to robię, próbuje coś powiedzieć, ale ulewny deszcz zagłusza jego głos.

Wychylam się przez okno.

– Co?

Carlos też się wychyla. Spotykamy się w pół

drogi. Oboje jesteśmy przemoczeni do suchej nitki, ale nic nas to nie obchodzi.

– Nie uciekaj ode mnie, kiedy chcę ci powiedzieć coś ważnego.

– Co? – Mam nadzieję, że w strugach deszczu nie zauważy łez, które płyną mi po twarzy.

– Dla mnie ta noc... też była idealna. Przewróciłaś mój świat do góry nogami. Zakochałem się w tobie, *chica*. I przeraża mnie to jak wszyscy diabli. Całą noc się trząsałem jak galareta, bo to zrozumiałem. Próbowałem zaprzeczać, chciałem, żebyś myślała, że jesteś mi potrzebna jako dziewczyna na niby, ale to wszystko nieprawda. Kocham cię, Kiara – mówi, a potem nasze usta spotykają się w połowie drogi.

53. Carlos

Co ty tu robisz? – pyta mnie Alex, kiedy przyjeżdżam do niego o piątej rano.

– Wprowadzam się z powrotem – mówię i przeciskam się obok niego. Będę tu tylko do końca miesiąca, bo potem znikam razem z Keno.

– Miałeś być u Westfordów.

– Nie mogę tam zostać – odpowiadam.

– Dlaczego?

– Miałem nadzieję, że nie zapytasz.

Brat się krzywi i drąży temat:

– Zrobiłeś coś niedozwolonego?

Wzruszam ramionami.

– Może w niektórych stanach. Zrozum, Alex, nie mam dokąd pójść. Zawsze mogę iść na ulicę, jak inne dzieciaki, których bracia wykopnęli...

– Nie wciskaj mi tej gadki, Carlos. Wiesz, że nie możesz tu zostać. Nakaz sądu.

Nakaz nakazem, ale nie mogę wykorzystywać

Westforda. Myślałem, że tacy dobrzy faceci jak on istnieją tylko w filmach.

– Przeleciałem córkę profesora – wybucham. – To mogę zostać czy nie?

– Powiedz, że żartujesz.

– Nie mogę. To był bal absolwentów, Alex. Zanim palniesz mi kazanie, przypomnij sobie, że przeleciałeś Brittany pierwszy raz, bo się założyłeś. To było na podłodze w warsztacie twojego kuzyna, w Halloween.

Alex pociera skronie palcami.

– Nic nie wiesz o tamtej nocy, Carlos, więc nie gadaj tak. – Siada na łóżku i podpira głowę rękoma. – Przepraszam, że o to pytam, ale muszę wiedzieć... czy użyłeś prezerwatywy?

– Nie jestem idiotą.

Alex zadziera głowę i unosi brwi.

– No dobra – mówię. – Jestem idiotą. Ale użyłem prezerwatywy.

– Dobrze, że chociaż coś zrobiłeś, jak należy. Możesz zostać na noc – mówi Alex i rzuca mi

poduszkę i koc z szafy.

Oddał już dmuchany materac, więc muszę spać na podłodze. Dziesięć minut później gapię się przy zgaszonym świetle na cienie na suficie.

– Kiedy zakochałeś się w Brittany? – pytam. – Wiedziałaś o tym przez cały czas, czy wydarzyło się coś nadzwyczajnego?

Nie odpowiada od razu i myślę, że zasnął. Ale po chwili ciszę przerywa głębokie westchnienie.

– To było na lekcji chemii u Peterson... kiedy powiedziała, że mnie nienawidzi. Przestań już gadać i śpij.

Odwracam się na bok i odtwarzam w głowie całą noc, poczynawszy od chwili, gdy zobaczyłem Kiarę w czarnej sukience. Zabrakło mi tchu na jej widok.

– Alex?

– No co? – pyta poirytowany.

– Powiedziałem jej, że ją kocham.

– Mówiłeś poważnie?

A niby jak? Przecież nie żartowałem.

Naprawdę przewróciła mój świat do góry nogami. Czy jest druga taka dziewczyna, która dzień w dzień nosi rozwlekłe T-shirty, ma najlepszego przyjaciela geja, jąka się, gdy ją nerwy ponoszą, przyczepia do lustra w łazience harmonogram korzystania z prysznic, robi głupie ciasteczka z magnesami, żeby mnie wkurzyć, naprawia samochody jak facet i podnieca się takim wyzwaniem jak włożenie chłopakowi prezerwatywy? Ta dziewczyna jest po prostu świrnięta.

– Jestem po uszy w gównie, Alex, bo jedyne, czego chcę, to budzić się z nią co rano.

– Masz rację, Carlos. Jesteś po uszy w gównie.

– Jak mam się wyplątać z tej sprawy z Devlinem?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, tak jak ty, ale wiem, kto mógłby nam ewentualnie pomóc.

– Kto?

– Powiem ci rano. A teraz już się zamknij i daj mi spać.

Dźwięk esemesa w mojej komórce rozdziera ciszę w małym mieszkanku.

– Kto, do diabła, dzwoni o tej godzinie? – dopytuje się Alex. – To Devlin?

Czytam tekst i wybucham śmiechem.

– Nie. Dostałem esemesa od twojej eks.

Alex wyskakuje z łóżka jak oparzony i wrywa mi telefon.

– Co pisze? I dlaczego esemesuje z tobą?

– Spokojnie, stary. Spytała mnie, jak się udała randka, i odpisałem jej, zanim do ciebie przyjechałem. Nie wiedziałem, że jeszcze coś napisze.

– Chce wiedzieć, czy jestem taki nieszczęśliwy jak ona – mówi Alex, czytając wiadomość od Brittany.

Ekran telefonu rzuca na jego twarz blask, który wszystko zdradza. Wciąż jest beznadziejnie i obrzydliwie zakochany w Brittany. Normalnie bym go wyśmiał, ale teraz myślę, że wyglądałem tak samo, kiedy

obudziłem się przy nagiej Kiarze, przytulonej do mnie, i uświadomiłem sobie, że wolałbym umrzeć, niż przeżyć bez niej chociaż jeden dzień. Znam ją dość krótko, ale wystarczy, że na nią spojrzę, a już mi dobrze. Kiedy z nią jestem, czuję się jak... w domu. Może to bez sensu, ale nie dla mnie.

– No dalej, Alex, napisz jej, że jesteś w prozku i że zrobisz wszystko, żeby ją odzyskać... pójdziesz nawet na kolację z jej głupimi rodzicami i będziesz ją całował w ten biały jak śnieg tyłek przez następnych siedemdziesiąt lat czy coś koło tego.

– Co ty wiesz o związkach i o białych jak śnieg tyłkach? Zapomnij. Nie chcę znać odpowiedzi na to pytanie.

Idzie z moją komórką do łazienki i zamyka drzwi.

Postanawiam wskoczyć do jego łóżka. Chwilę posiedzi w tej łazience, wysyłając esemesy do byłej dziewczyny, aż znowu będzie aktualną

dziewczyną. Co mi szkodziło wysłać jej wiadomość. Zrobiłem to, bo wiedziałem, że prawdopodobnie nie może spać, nieszczęśliwa tak samo jak mój brat.

Kiedy Kiara zasnęła w moich ramionach na przystani i głaskałem ją po długich włosach, ogarnął mnie paralizujący strach. Uświadomiłem sobie, że to, co mnie łączyło z Destiny, jest niczym w porównaniu z tym, co czuję do Kiary. To mnie tak przeraziło, że spanikowałem. Musiałem uciec, żeby wszystko przetrwać, bo będąc przy niej, miałem tylko ochotę snuć fantazje na temat wspólnej przyszłości, zamiast skupić się na realnych sprawach – czyli na tym, że pod koniec miesiąca wyjeżdżam z Kolorado. Jak powiedział Keno, naprawdę nie ma innego wyjścia.

Alex szarpie mnie za ramię.

– Wstawaj – rozkazuje.

– Muszę pospać jeszcze kilka godzin.
– Nie możesz. Już prawie południe. I dostałeś wiadomość.

Znowu Brittany. Lepiej, żeby się zeszli, to przynajmniej tym nie musiałbym się martwić.

– Powiedziałem ci, żebyś wysłał jej wiadomość, że zrobisz wszystko, żeby ją odzyskać.

– To nie była wiadomość od Brit.

Otwieram oko.

– Od Kiary?

Wzrusza ramionami.

– Miałeś jedną wiadomość od Kiary.

Wyskakuję jak z procy, aż krew napływa mi gwałtownie do głowy.

– Co napisała?

– Chciała wiedzieć, czy wszystko w porządku. Odpisałem jej, że zostałeś tu na noc i że jeszcze śpisz. Ale masz też wiadomość głosową od Devlina. Chce się z tobą spotkać dziś wieczorem.

Rozcieram kark, który tężeje z nagłego

napięcia.

– No to sprawa jasna. Nie zapomniał o mnie. Poświęcił dużo energii, żeby mnie zwerbować. Jestem w czarnej dziurze, Alex.

– Zawsze jest jakieś wyjście. – Rzuca mi ręcznik. – Weź prysznic i ubierz się. Możesz włożyć moje ciuchy. Pośpiesz się. Nie mamy za wiele czasu.

Alex zawozi mnie do kampusu w Boulder. Wchodzę z nim do jednego z budynków, ale spinam się na widok drzwi z tabliczką: „Richard Westford, profesor psychologii”.

– Dlaczego tu przyszliśmy? – pytam brata.

– Dlatego, że on może nam pomóc.

Alex puka do drzwi profesora.

– Wejdźcie – mówi Westford. Podnosi wzrok, gdy wchodzimy do gabinetu. – Cześć, chłopcy. Zdaje się, że dobrze się bawiliście na balu. Kiedy wychodziłem z domu, Colleen powiedziała mi, że Kiara jeszcze śpi, więc nie miałem okazji jej spytać.

– Dobra zabawa – mamroczę. – Kiara jest...
– Czasami trudna, wiem. Bierze nas do galopu.
– Chciałem powiedzieć, że jest niesamowita –
mówię. – Pańska córka jest niesamowita.

– To nie tylko moja zasługa. Colleen świetnie
sobie radzi z wychowywaniem dzieci. Kiara
musiała tylko wychylić się ze swojej skorupki.
To miło z twojej strony, że ją zaprosiłeś. Wiem,
że się ucieszyła. Ale do rzeczy. Alex nie umówił
się ze mną na czcze pogaduszki. Co was
sprowadza?

– Powiedz mu to, co mi opowiedziałeś –
rozkazuje Alex.

– Dlaczego?

– Bo to twardy zawodnik.

Rzucam okiem na łysiejącego Westforda.
Twardy zawodnik, gówno prawda. Może kiedyś,
ale nie teraz. W tej chwili jest psychologiem, a
nie żołnierzem.

– Zrób to – ponagla mnie Alex
zniecierpliwiony.

Nie mam wyboru, więc równie dobrze mogę mu powiedzieć. Może Westford wymyśli coś, co nie przyszło mi do głowy. Mało prawdopodobne, ale co mi szkodzi spróbować.

– Kiedy zostałem pobity, powiedziałem panu, że napadli na mnie przy centrum handlowym, prawda?

Kiwa głową.

– Skłamałem. Prawda jest taka... – Patrzę na Aleksa, który mnie zachęca. – Zostałem zwerbowany przez jednego gościa. Nazywa się Devlin.

– Wiem, kim jest Devlin – mówi profesor. – Nie znam go, ale o nim słyszałem. Zajmuje się przemytem narkotyków. – Patrzy zwężonymi oczami i wyczuwam w nim odrobinę tego twardziela. – Lepiej nie handluj narkotykami dla Devlina.

– W tym właśnie problem – mówię. – Albo będę handlował, albo mnie zabije. Z dwojga złego już wolę handlować, niż umrzeć.

– Nie stanie się ani jedno, ani drugie – mówi Westford.

– Devlin jest człowiekiem interesu. Dla niego ważne jest tylko saldo końcowe.

– Saldo końcowe, mówisz?

Westford odchyła się w krześle, a trybiki w jego mózgu pracują na przyśpieszonych obrotach. Krzesło przechyla się tak mocno, że profesor chwytą się biurka, żeby utrzymać równowagę. No dobra, niezły z niego twardziel. Od czubka głowy aż do szykownych mokasynów.

– Jakież propozycje? – pyta Alex. – Bo my nie mamy pomysłów.

Westford podnosi palec.

– Może będę mógł pomóc. Kiedy masz się z nim spotkać?

– Dziś wieczorem.

– Idę z tobą – mówi Westford.

– Ja też – wtrąca Alex.

– Och, świetnie. Założymy własny gang

renegados. – Wybucham krótkim śmiechem. – Nie możemy tak sobie pójść do Devlina.

– Uwierz mi – mówi Westford. – Wydostaniemy cię, bez względu na środki.

Czy ten facet sobie żartuje? Nie łączą nas więzy krwi. Powinien mnie traktować jak ciężar i zobowiązanie, a nie kogoś, o kogo warto walczyć.

– Dlaczego pan to robi? – pytam.

– Bo mojej rodzinie na tobie zależy. Myślę Carlos, że to dobry moment, żebym ci opowiedział o swojej przeszłości. Musisz wiedzieć, skąd pochodzę.

Nie mam wyjścia, muszę go wysłuchać.

Odchylam się w krześle i przygotowuję na rozwlekłą i łzawą historię o tym, że miał podłych rodziców, bo nie kupili mu na szóste urodziny takiej zabawki, o jakiej marzył. Albo o tym, że w liceum ktoś go pobił i zabrał pieniądze na lunch. Może miał doła, bo rodzice kupili mu na szesnaste urodziny używany samochód zamiast

nowego. Czy profesor naprawdę sądzi, że będę mu współczuć? W rywalizacji na łzawe historie wygrywam, bez dwóch zdań.

Westford kręci się na krześle, wyraźnie zakłopotany, po czym bierze głęboki oddech.

– Moi rodzice i brat zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałem jedenaście lat. – Rany. Tego się nie spodziewałem. – Wracaliśmy w nocy do domu, padał śnieg i tata stracił panowanie nad pojazdem.

Zaraz.

– Pan też jechał samochodem?

Potwierdza skinieniem.

– Gwałtownie skręcił, samochód się obrócił. – Przerywa z wahaniem. – Pamiętam, że uderzyła w nas ciężarówka. Wciąż mam w uszach krzyk mamy, kiedy zobaczyła pędzące prosto na nią światła tego kolosa. I pamiętam spojrzenie brata, który błagał mnie wzrokiem o pomoc.

Chrząka i przęłyka, a moja arogancka pewność, że wygrałbym rywalizację o to, czyje

dzieciństwo było gorsze, szybko się ulatnia.

– Gdy po zderzeniu moje ciało przestało podskakiwać jak szmaciana lalka, otworzyłem oczy. Wszędzie było pełno krwi. Nie wiedziałem, czy mojej, czy rodziców... czy brata. – Jego oczy robią się szkliste, ale powstrzymuje łzy. – Wyglądał, jakby był w kawałkach, Carlos. Chociaż każdy ruch sprawiał mi ból i myślałem, że zaraz umrę, musiałem go ratować. Musiałem ich wszystkich ratować. Brat miał rozwalony bok. Przyciskałem ręce do rany tak długo, jak mogłem, a ciepła, świeża krew wypływała mi między palcami. Ratownicy musieli odrywać mnie siłą, bo nie chciałem go puścić. Nie mogłem pozwolić mu umrzeć. Miał tylko siedem lat, rok więcej niż Brandon.

– Tylko pan przeżył wypadek?

Kiwa głową.

– Nie miałem krewnych, którzy mogliby mnie wziąć, więc przez następne siedem lat tułałem się po rodzinach zastępczych. – Patrzy mi prosto

w oczy. – Prawdę mówiąc, z większości mnie wykopnęli.

– Za co?

– To, co zwykle. Bójki, narkotyki, uciezki... ale nie tylko. Potrzebowałem zrozumienia i kogoś, kto by mnie poprowadził, ale nikt nie miał chęci ani czasu, żeby mnie naprostować. Skończyłem osiemnaście lat i wyrzucili mnie na ulicę. Trafiłem do Boulder, gdzie było mnóstwo takich dzieciaków jak ja. Życie na ulicach oznaczało brud, samotność i brak pieniędzy. Pewnego dnia błagałem jednego faceta o pieniądze, a on się zachnął i powiedział: „Czy twoja matka wie, gdzie jesteś i co robisz ze swoim życiem?” W tym momencie przyszło zastanowienie. Gdyby moja matka patrzyła na mnie z nieba, to byłaby maksymalnie wkurzona, że nie próbuję czegoś ze sobą zrobić.

Uświadomiłem sobie, że bójki nie przywrócą mi rodziny. Że żadna ilość narkotyków nie wymaże z mojej pamięci spojrzenia brata

blagającego o pomoc. I że nigdy nie uda mi się uciec przed tym obrazem, bo uciekanie tylko pogarsza sprawę. Spożytkowałem energię w wojsku.

– Nie chcę, żeby ryzykował pan dla mnie życie, profesorze. Wystarczy już to, że chcę chodzić z pana córką.

– O tym porozmawiamy innym razem. A teraz skupmy się na najpilniejszej sprawie. Kiedy masz się spotkać z Devlinem? – pyta Westford, a determinacja wprost z niego emanuje.

Postanawiamy spotkać się o siódmej i wprowadzić w życie jakiś plan. Ale na razie, nie wiem, jaki. Mam nadzieję, że do siódmej wieczorem Westford coś wymyśli. Prawdę mówiąc, czuję ulgę, że w końcu powierzyłem swoje sprawy komuś, komu ufam.

54. Kiara

W poniedziałek rano mama robi naleśniki na śniadanie.

– Dlaczego jeszcze jesteś w domu? – pytam.

– Kazałam pracownikom otworzyć sklep. – Posyła mi ten ciepły, słodki uśmiech, który sprawia, że zawsze czułam się lepiej, gdy jako mała dziewczynka leżałam chora w łóżku. – Cieszę się, że mogę dla odmiany wyprawić ciebie i Brandona do szkoły.

– Czy rozmawiałaś z Carlosem? Albo tata? – pytam po raz nie wiadomo który.

Odkąd mój tata wrócił wczoraj z pracy, oboje zachowują się dziwnie. Kilka godzin przesiedzieli zamknięci w gabinecie. Wydają się mocno podenerwowani, a ja nie wiem, dlaczego.

Carlos powiedział mi, że jedzie do mieszkania Aleksa, jeszcze zanim mi wyznał, że mnie kocha. Szkoda, że go tu nie ma. Potrzebuję

zapewnienia, że sprawy między nami się ułożą, ale wiem, że musiał zostać sam i poukładać sobie wszystko w głowie.

Czuję, że zawiodłam, bo ani razu nie uspokoiliam jego największego lęku. Nie zapewniłam go, że nie mam zamiaru nagle odejść i nigdy z nas nie zrezygnuję. Szkoda, że nie mogłam porozmawiać z nim dziś rano. Odwiózł mnie do domu w niedzielę o świcie i od tamtej pory się nie pokazał.

Patrzę na mamę. Energicznie miesza w misce ciasto na naleśniki.

– Nie jestem pewna.

– Co to ma znaczyć?

– Że nie chcę o tym rozmawiać.

Podchodzę do mamy i kładę jej rękę na ramieniu. Przerywa mieszanie.

– Co się dzieje, mamo? Musisz mi powiedzieć.

– Przelykam z trudem. Nie będę stała z boku. Nie pozwolę, żeby chłopak, którego kocham, był nieszczęśliwy. To nie jest tego warte.

Zostawiłabym go w spokoju, gdybym wiedziała, że taki jest warunek jego szczęścia. – Muszę wiedzieć.

Patrzy na mnie, a jej oczy robią się szkliste. Coś się dzieje.

– Twój ojciec powiedział, że się tym zajmie. Ufam mu od dwudziestu lat. I nic tego nie zmieni.

– Czy to ma związek z Carlosem? I z tym, że został pobity? Czy Carlosowi coś grozi?

Mama kładzie dłoń na moim policzku.

– Kiara, skarbie, idź do szkoły. Przepraszam, ale jestem dziś trochę podenerwowana. Wkrótce będzie po wszystkim.

– Ale po czym, mamo? – pytam w panice. – P-powiedz mi, proszę.

Cofa się, niezadowolona, że o mały włos zdradziłaby tajemnicę.

– Ojciec powiedział, że da sobie z tym radę. Wczoraj długo rozmawiał z Tomem i Davidem, swoimi kolegami z wojska, którzy pracują w

biurze DEA.

– Niedobrze mi – mówię.

– Wszystko będzie w porządku, Kiara. Przygotuj się do szkoły i nie mów nikomu ani słowa na ten temat.

– Jest już śniadanie? – pyta mój brat, wchodząc do kuchni.

Mama wraca do mieszania ciasta.

– Prawie. Dzisiaj są naleśniki pełnoziarniste.

Brandon robi swoją słynną nadąsaną minę, której nikt w tym domu nie potrafi się oprzeć. Zastanawiam się, czy zostanie mu tak na zawsze. Znając Brandona, to będzie stosował ten sposób, nawet gdy skończy pięćdziesiąt lat.

– A dołożysz do nich czekoladowe chipsy? Prooooooszę.

Mama wzdycha i całuje go w policzki.

– No dobrze, ale włóż buty, bo spóźnisz się na autobus.

Rozprowadza ciasto na gorącej patelni, a ja idę do gabinetu ojca. Wiem, że to okropne i totalnie

niewłaściwe, ale siadam przed komputerem taty i sprawdzam historię połączeń. Najpierw w internecie, a potem w każdym z folderów. Może dzięki temu dowiem się, co się dzieje. Bo muszę wiedzieć. A ponieważ nikt mi nie powie, nie mam innego wyboru, jak trochę powęszyć na własną rękę.

Niestety dla taty, ale na szczęście dla mnie, nie usunął historii połączeń. Wydobywam wszystko, nad czym pracował w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Patrzą na list do szefa na temat wprowadzenia nowego curriculum, na zarys testu, który przygotowuje dla swoich studentów, i na arkusz kalkulacyjny z różnymi liczbami.

Sz szczególnie interesujący wydaje mi się ten ostatni plik. To zestawienie finansowe... pokazujące szczegóły jednego z kont bankowych. Ostatnie wejście było dzisiaj – wypłata pięćdziesięciu tysięcy dolarów – i moim rodzicom zostało tylko pięć tysięcy. W opisie

dyspozycji jest jedno słowo: „Gotówka”.

Mój tata pobierze dziś z konta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Te pieniądze mają jakiś związek z faktem, że Carlos został pobity. Po prostu to wiem.

– Kiara, naleśniki gotowe! – woła mama z kuchni.

To oczywiste, że nie powie mi, dlaczego tata ma zamiar wyciągnąć pięćdziesiąt tysięcy dolarów z ich konta w banku. Udaję niewiniątko i zajadam naleśniki z przyklepionym beztróskim uśmiechem.

Zaraz po śniadaniu mama odprowadza Brandona do autobusu. Szybko zakradam się do komputera taty, bo przyszło mi do głowy coś jeszcze: sprawdzam mapy internetowe, których zwykle używa, i klikam ostatnie wejścia.

Oczywiście, dwa ostatnie adresy zupełnie nic mi nie mówią. Jeden jest w Eldorado Springs, a drugi w Brush, mieście oddalonym od naszego domu o jakieś półtorej godziny jazdy. Wiem, że

to rejon wyjątkowo narażony na problemy z narkotykami i serce podchodzi mi do gardła. Co się dzieje? Szybko zapisuję adresy, wyłączam komputer i staram się wyglądać niewinnie, kiedy mama wraca do domu.

Gdy w szkole otwieram szafkę, znajduję dwie róże leżące na książkach: czerwoną i żółtą. Są przewiązane czarnym różańcem i karteczką. Nie mam wątpliwości, że zostawił je Carlos.

Klękam przed szafką i czytam liścik, napisany na kawałku papieru wydartym z zeszytu.

K.

Pani w kwiaciarni powiedziała, że żółty oznacza przyjaźń, a czerwony miłość. Różaniec to jedyna rzecz, która coś dla mnie znaczy. Jest twój. Ja też jestem twój.

– Czy to Kiara Westford? – Podchodzi do mnie Tuck. – Ta dziewczyna, która nie oddzwania?

Przyciskam kurczowo do piersi kwiaty, różaniec i liścik.

– Cześć. Przepraszam, ale dużo się działo.

Unosi brwi.

– Co tam trzymasz?

– Różne rzeczy.

– Od meksykańskiego ogiera?

Patrzę na piękne kwiaty.

– On ma k-k-kłopoty, Tuck. Jest z nim mój ojciec, a mama zachowuje się dziwnie. Muszę im jakoś pomóc. Nie mogę błądzić po omacku, kiedy wszyscy są w n-n-niebezpieczeństwie. Czuję się taka beużyteczna. Ale po prostu... nie wiem, co r-r-robić.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że bezwiednie przesuwam paciorki różańca.

Tuck wciąga mnie do pustej klasy.

– O jakich kłopotach mówisz? Przestań drzeć. Przerażasz mnie.

– N-n-nie mogę. Myślę, że to ma związek z Carlosem i handlarzami narkotyków. Umieram ze strachu, bo mój tata uważa się za jakiegoś Rambo i myśli, że to załatwi. Chyba DEA jest w to

wmieszana. Czuję, że wplątał się w to po same uszy, Tuck. Nie wiem nawet, co to za handlarz. Wiem tylko, że Carlos nazwał go diabłem po hiszpańsku – *El Diablo*.

– *El Diablo*? – Tuck kręci głową. – To mi nic nie mówi. Ale jest ktoś, z kim powinnaś porozmawiać.

– Kto? – pytam.

– Ram Garcia. Jego mama pracuje w biurze DEA. Jakiś czas temu była w szkole i opowiadała o swojej pracy.

Całuję Tucka w policzek.

– Jesteś genialny, Tuck!

Pędzę szukać Rama.

Pół godziny później siedzę naprzeciwko pani Garcia, mamy Rama. Ma na sobie ciemnogranatowe spodnie i żakiet oraz nienaganną białą bluzkę. Wygląda na agentkę DEA. Kiedy Ram dał mi jej numer, wymknęłam się do auta i do niej zadzwoniłam. Powiedziałam jej wszystko, co wiem. Nie urywałam się do tej

pory ze szkoły, ale też nigdy wcześniej nie martwiłam się tak bardzo o tatę i Carlosa.

Pani Garcia kończy rozmowę z moją mamą.

– Już jedzie – mówi do mnie. – Ale będziesz musiała tu zostać przez kilka godzin. Nie mogę pozwolić, żebyś wyszła z tego budynku.

– Nic nie rozumiem. Dlaczego?

– Ponieważ znasz adres w Brush. A to mogłoby stworzyć zagrożenie dla wielu ludzi. – Pani Garcia wzdycha, pochyla się nad biurkiem zawalonym stertą papierowych teczek. – Powiem bez ogródek, Kiara. Twój tata, Carlos i Alex wdepnęli w coś, nad czym pracujemy od miesięcy.

– Niech mi pani powie, że nic im nie grozi – błagam, a serce wali mi coraz szybciej.

– Przekazaliśmy wiadomość naszym agentom specjalnym pracującym w gangu pod przykryciem, że mają chronić twojego ojca i braci Fuentes. Są na tyle bezpieczni, na ile to możliwe w trakcie akcji DEA, a twój ojciec na

pewno podejmie konieczne środki ostrożności.

– Skąd pani to wie?

– Współpracuje z nami od czasu do czasu przy określaniu profilu psychologicznego przestępców i przy innych tajnych operacjach – wyjaśnia. – Nie ujawnia szczegółów tej operacji Carlosowi i Aleksowi dla ich bezpieczeństwa. Im mniej wiedzą, tym lepiej.

Co takiego? Mój ojciec współpracuje z DEA? Od kiedy? Nigdy o tym nie wspominał. Zawsze widzę w nim tylko swojego tatę. Nie miałam pojęcia, że pracuje pod przykryciem dla Agencji Zwalczania Narkotyków. Wiedziałałam tylko, że ma przyjaciół z wojska, z którymi od czasu do czasu utrzymuje kontakt.

Pani Garcia musi widzieć, że jestem zupełnie skołowana, bo przechodzi na drugą stronę biurka i kuca przy mnie.

– Twój tata brał udział w bardzo trudnych operacjach zbrojnych z naszymi agentami. Cieszy się ich szacunkiem i wie, co robi. – Patrzy

na zegarek. – Mogę ci tylko powiedzieć, że mamy ich pod ciągłą obserwacją, a agenci pracujący w gangu są świetnie wyszkoleni.

– Co mnie to obchodzi, że są świetnie wyszkoleni? – Łzy napływają mi do oczu. Myślę o tym wszystkim, co chcę powiedzieć Carlosowi, a przed czym się wcześniej powstrzymywałam. I o tym, że powinnam była powiedzieć tacie, jak bardzo go cenię. – Chcę stuprocentowej gwarancji, że nic im się nie stanie – mówię do pani Garcia.

Klepie mnie po kolanie.

– Niestety, w życiu nie ma takich gwarancji.

55. Carlos

Spoglądałam na brata. Zaciska ręce na kierownicy tak mocno, że aż mu kłykcie zbieleły. Profesor przez cały dzień analizował różne scenariusze, na wypadek gdyby Devlin albo któryś z jego ludzi nie dotrzymał słowa i zaczął strzelać.

Wczoraj w nocy profesor przyjechał do mieszkania Aleksa ubrany w czarny golf i czarne spodnie, jak jakiś Zorro. Chyba brakuje biedakowi tajnych operacji wojskowych, w których kiedyś uczestniczył, bo nie potrafił nawet ukryć szczerego entuzjazmu.

Nie mam pojęcia, jak Westford wpadł na pomysł, żeby ubić interes z Devlinem. Klóciłem się z profesorem przez godzinę. Tłumaczyłem mu, że nie zgodzę się za żadne skarby świata, żeby poświęcił dziesiątki tysięcy dolarów z prywatnej kasy na wyciągnięcie mnie z kłopotów. Powiedział, że będzie negocjował z

Devlinem, obojętnie, czy się na to zgodzę, czy nie.

Zanim dobił z nim targu, odbyliśmy długą rozmowę. Był gotowy wykupić mnie z rąk Devlina za taką kwotę, jaka będzie konieczna, ale... pod jednym warunkiem.

Wstąpię do wojska albo pójdę do college'u.

I w tym sedno. Profesor miał zamiar wyjąć kupę pieniędzy ze swojego konta, żeby wyrwać mnie z gangu Devlina, ale narzucił warunki.

– To jest niewolnictwo – powiedziałem mu dziś po południu, kiedy omawialiśmy szczegóły planu.

– Nie pieprz bzdur, Carlos. Umowa stoi? – zapytał.

Podaliśmy sobie ręce, ale ku mojemu zaskoczeniu zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku i powiedział, że jest ze mnie dumny. To bardzo dziwne, że facet, który zna całą prawdę, nadal przejmuje się przyszłością takiego koleśia jak ja.

Devlin dał profesorowi dwadzieścia cztery godziny na zgromadzenie pięćdziesięciu tysięcy dolarów, żeby mnie wykupić, ale postawił warunek, że muszę się zjawić w jakimś tajnym miejscu w Brush i udowodnić wobec sprzymierzeńców z *Guerreros*, że stoję po tej samej stronie co Rodriguez. Podejrzewam, że kroi się jakiś wielki interes, ale meksykańscy dostawcy nie mają zaufania do Devlina. Ciekawe, czy uliczna wojna z R6 już się rozpoczęła.

Jedziemy samochodem na spotkanie z Devlinem i Rodriguezem w Brush. Westford trzyma kasę w płóciennym worku między nogami. Siedzę z tyłu i wpatruję się w tych dwóch facetów, którzy są moją obstawą. Serce wali mi jak dzwon na myśl, że jadę tam z moim bratem i profesorem. Miałem sobie poradzić sam i nie wciągać nikogo w te rozgrywki. Devlin to mój problem, a tymczasem oni też wpakowali się w kłopoty.

Przypominam sobie, jak Kiara przesunęła palcami po jednym z moich tatuaży. *La rebelde*. Co ze mnie za buntownik, skoro potrzebuję pomocy starszego faceta i brata. I chociaż denerwuję się, że jadą tam ze mną, to muszę przyznać, że nie wiem, co bym bez nich zrobił.

– Jeszcze możecie się wycofać. Mogę iść tam sam.

– Nie ma mowy – mówi Alex. – Idę z tobą, bezwarunkowo.

Westford klepie worek z pieniędzmi.

– Jestem gotowy.

– To diabelnie dużo pieniędzy, profesorze. Na pewno chce się pan w to mieszać? Może pan umyć ręce i zachować kasę. Nie miałbym do pana żalu.

Kręci głową.

– Nie wycofam się teraz.

– Jeśli któryś z nas poczuje, że coś jest nie tak, to spadamy – mówię do nich. – Devlin ma zawsze przewagę w ludziach.

Alex jedzie wolno przez Brush. Ulice są podobne jak w Fairfield, mieście, w którym mieszkaliśmy w Illinois. Nasza dzielnica nie należała do bogatych. Niektórzy woleli się nie zapuszczać do południowej części ze strachu, że ukradną im samochód, ale dla nas to był dom.

Na rogu stoi zgraja facetów. Patrzą podejrzliwie na nieznany samochód Aleksa. Wystarczy wyglądać na kogoś, kto wie, co robi i dokąd jedzie, a nic się nie stanie. Ale jeśli się domyślą, że nie mamy pojęcia, gdzie się znaleźliśmy i jak dotrzeć do celu, to jesteśmy ugotowani.

Alex jedzie spokojnie krętą ulicą i zbliża się do budynku, który wygląda na opuszczony magazyn. Ciarki przechodzą mi po plecach. Dlaczego Devlin nalegał, żebyśmy się spotkali właśnie tutaj?

– Jesteś gotowy to zrobić? – mówi mój brat, gdy parkuje auto.

– Nie – odpowiadam. – Westford i Alex

odwracają się do mnie jednocześnie. – Chciałem tylko powiedzieć „dziękuję” – bąkam pod nosem. – Myślicie, że Devlin weźmie pieniądze i ucieknie czy raczej nas zastrzeli, kiedy dostanie kasę?

Westford otwiera drzwi.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Gramolimy się z auta, a nasza uwaga jest napięta do granic możliwości. Nabijałem się w duchu z Westforda, że znowu ubrał się na czarno, ale trzeba przyznać, że w tym stroju wygląda jak kawał twardziela. Co prawda, stary i łysiejący, ale jednak.

– Na dachu jest jeden, dwóch następnych na drugą i na dziesiątą – mówi Westford.

Jaką miał ksywę w wojsku? Sokole Oko?

W drzwiach czeka na nas jeden z ludzi Devlina. Ma na oko dwadzieścia kilka lat, ale włosy tak mocno rozjaśnione, że prawie białe.

– Czekamy na was – mamrocze pod nosem.

– Dobra – mówię i pierwszy wchodzę do

środka. Jeśli ktoś zacznie strzelać, trafi we mnie, a Alex i Westford będą mogli uciec. Białowłosy obmacuje nas w poszukiwaniu broni. Westford ściska kurczowo worek z pieniędzmi, jakby żał mu było się z nimi rozstać. Biedny profesor. To nie jego liga.

– Wie pan, że wcale tego nie chcę, no nie? – pytam.

– Nie kłóć się – mówi. – To na nic. Szkoda czasu.

Białowłosy prowadzi nas do małego biura.

– Poczekajcie – rozkazuje.

Czekamy więc: dwaj bracia Fuentes i ekszołnierz ściskający kurczowo worek wypełniony pięćdziesięcioma tysiącami dolarów za moją wolność.

Do pokoju wchodzi Rodriguez i siada na biurku.

– Co dla nas masz, Carlos?

– Szmal. Dla Devlina – mówię. Podejrzewam, że Wielki Szef jeszcze się nie zjawił.

– Słyszałem, że masz sponsora, który chce cię wykupić. Znasz ludzi na stołkach, co? – mówi, zerkając na profesora.

– Tak jakby.

Wyciąga rękę.

– Daj mi to.

Westford jeszcze mocniej zaciska rękę na worku.

– Nie. Zawarłem umowę z Devlinem i załatwię to z nim.

Rodriguez wygląda na wkurzonego.

– Wyjaśnijmy sobie jedno, dziadku. Tutaj nic nie możesz. Całuj mnie w dupę albo za chwilę będziesz tu leżał z dziurą we własnym tyłku.

– Czyżby? Myślę, że jednak coś mogę – mówi Westford. – Moja żona ma list i zanieś go na policję, jeśli nie wrócimy cali i zdrowi do domu. Śmierć szanowanego profesora nie ujdzie wam na sucho. Będą ścigać ciebie i Devlina do upadłego.

Mówi to, nie wypuszczając torby z mocnego

uścisku.

Rodriguez, niezłe wkurzony, zostawia nas samych. Obawiam się, że następnym razem może nas po prostu zastrzelić i zabrać sobie pieniądze.

– Myśli pan, że Devlin da panu rachunek? – pytam profesora. – Nie dostanie pan ulgi podatkowej za wykupienie mnie z gangu.

Kręci głową.

– Nawet w takiej chwili musisz się mądrzyć. To ci nigdy nie przechodzi?

– Taki mój urok.

– Skąd pan wie, że Devlin w ogóle tu jest? – pyta Alex.

– Jeden facet jest na dachu, a dwóch monitoruje, kto wchodzi i wychodzi. To znaczy, że szef jest na miejscu. Zaufajcie mi – mówię bez mrugnięcia okiem.

Po pół godzinie bez pośpiechu wchodzi Devlin we własnej osobie. Najwyraźniej celowo kazał nam czekać, żeby pokazać, kto tu rządzi. Zerka

na worek.

– Ile tam masz? – pyta.

– Tyle, ile uzgodniliśmy... pięćdziesiąt tysięcy.

Devlin przechadza się po pokoju, patrząc na nas sceptycznie.

– Sprawdziłem pana, profesorze Westford.

Przez ułamek sekundy Westford wygląda na zdenerwowanego. Ale szybko to maskuje. Nie wiem, czy mój brat i Devlin w ogóle to zauważyli.

– I czego się pan dowiedział? – pyta Westford.

– Niewiele, ale jest w tym coś dziwnego – mówi Devlin. – Myślę sobie, że ma pan powiązania z wywiadem. Może chce mnie pan wystawić.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. Profesor i powiązania z wywiadem... Może w dniach chwały wziął udział w kilku tajnych operacjach wojskowych, ale teraz jest tylko tatą Kiary i Brandona. Ten facet ekscytuje się Rodzinnym Wieczorem Rozrywek, na miłość boską.

– Mam powiązania tylko z wydziałem psychologii na uniwersytecie.

– Świetnie, bo jeśli się dowiem, że działa pan z glinami, to wszyscy pożałujecie, że tu przyszliście. Rodriguez powiedział, że dał pan żonie list dla gliniarzy jako ubezpieczenie. Nie lubię pogroźek, profesorze. Otwieraj worek.

Westford otwiera torbę i wyjmuje pieniądze. Devlin upewnia się, że jest tyle, ile miało być, i że banknoty nie są znakowane. Każe mi je pozierać.

– No to załatwiliśmy część interesu – mówi i wskazuje na mnie. – Pojedziesz z Rodriguezem na spotkanie z bardzo ważnymi przyjaciółmi. Do Meksyku.

Co? Nie ma mowy.

– Tego nie było w umowie – mówi Westford.

– No to ją zmieniam – odpowiada Devlin. – Mam pieniądze i broń, i władzę. A wy nic.

Po tych słowach podłoga zaczyna drżeć, jakby zaczynało się trzęsienie ziemi.

– To nalot! – krzyczy ktoś od drzwi.

Ludzie Devlina rozbiegają się, żeby bronić szefa i własnych tyłków.

Do magazynu wpadają agenci DEA w granatowych kurtkach. Mierzą z broni. Rozkazują wszystkim paść na ziemię.

Devlin miota oszalałym wzrokiem, wyciąga czterdziestkępiątkę zza paska i celuje w profesora.

– Nie! – krzyczę i nurkuję do przodu, żeby wytrącić mu pistolet z ręki. Nie pozwolę nikomu zabić Westforda, nawet jeśli sam skończę w kostnicy. Słyszę huk wystrzału, gorący ból przeszywa moje udo. Krew cieknie mi po nodze i kapie na cementową podłogę. To nie może dziać się naprawdę. Boję się spojrzeć na nogę. Nie wiem, czy rana jest poważna, ale boli tak, jakby tysiąc pszczoł wbijało mi w udo żądła. Alex pędzi do Devlina, ale ten jest szybszy. Celuje w mojego brata. Ogarnia mnie paniczny strach. Kuśtykam w stronę Devlina. Chcę go powstrzymać, ale

Westford mnie przytrzymuje. W tym momencie do pokoju wpada białowłosey z pistoletem.

– Policja! Rzucić broń! – krzyczy.

Co, do...

W ułamku sekundy Devlin kieruje broń w policjanta. Następuje wymiana ognia. Wstrzymuję oddech i patrzę z ulgą, jak *El Diablo* pada na ziemię, trzymając się za pierś. Ma otwarte oczy, a na podłodze pod nim zbiera się krew. Na myśl, że mogłem utracić brata albo Westforda, czuję dojmujący ból. Zaciskam oczy.

Gdy je otwieram, kącikiem oka dostrzegam Rodrigueza. Mierzy z broni do białowłosego agenta pod przykryciem. Próbuje ostrzec policjanta, ale ku mojemu zdumieniu Westford chwytą broń Devlina i strzela do Rodrigueza celnie jak snajper.

Profesor wykrzykuje rozkazy do jednego z agentów DEA, po czym obaj z Aleksem wynoszą mnie z magazynu.

– Jest pan agentem DEA? – pytam Westforda

przez zaciśnięte zęby, bo moja przeklęta noga boli jak cholera.

– Niezupełnie. Powiedzmy, że mam wciąż przyjaciół na wysokim szczeblu.

– To znaczy, że uratuje pan pięćdziesiąt kawałków?

– Tak. I że nasza umowa nie obowiązuje. Nie musisz iść do college’u ani do wojska.

Ratownicy pogotowia biegną z wózkiem. Przypinają mnie, ale chwytam jeszcze profesora za rękę.

– I tak się zaciągnę. Żeby pan wiedział.

– Jestem z ciebie dumny. Ale dlaczego?

Jęcę z bólu, ale zdobywam się na krzywy uśmiech.

– Jako chłopak Kiary chcę mieć do zaoferowania coś więcej niż napalone ciało i twarz, której zazdrozczą anioły.

– Czy ty nigdy nie tracisz pewności siebie? – pyta Westford.

– Tylko czasem.

Kiedy jego córka mnie całuje, pewność siebie
ucieka przez okno.

agnesa

56. Kiara

Czekamy na opinię lekarza na temat stanu nogi Carlosa. Gładzę go po ramieniu i pozwalam trzymać się za rękę. Alex, choć wydaje się mieć stoicki spokój, nie odstępuje Carlosa na krok, odkąd przyjechaliśmy do szpitala. Jest przerażony i chyba obwinia siebie o to, że nie uchronił brata przed kulą. Ale, na szczęście, już po wszystkim.

Mój tata dowiedział się, że grożono mamie i młodszemu bratu Carlosa, więc za ich zgodą załatwia przeprowadzkę do Kolorado. Pomaga im również znaleźć tymczasowe lokum. To wielka sprawa.

– Mój tata mówi, że będziesz żył – oznajmiam Carlosowi i całuję go w czoło.

– Cieszysz się?

Okej, Kiara, czas na wyznania, mówię do siebie, teraz albo nigdy. Pochyliłam się nad nim,

żeby nikt inny mnie nie słyszał.

– Myślę... myślę, że cię potrzebuję, Carlos. Tak na zawsze.

Podnoszę wzrok. Carlos nie odrywa spojrzenia od moich oczu. Chcę tego, chcę jego. Więcej, naprawdę go potrzebuję. Potrzebujemy siebie nawzajem. Im bliżej go poznaję, tym bardziej potrzebuję energii i siły, które z niego promieniują.

Widzę, że chce coś powiedzieć, zagłuszyć milczenie swoim zwykłym gadulstwem, ale się powstrzymuje. Cały czas krzyżujemy spojrzenia i nie odwracam wzroku. Nie tym razem.

Powoli podnoszę drżącą rękę i kładę ją na piersi Carlosa, jakbym chciała przejąć jego ból. Oddycha teraz ciężiej i czuję pod dłonią mocne bicie jego serca.

Kładzie rękę na moim policzku, a kciukiem delikatnie pieści skórę. Zamykam oczy i tulę się do jego ciepłej ręki, zapominając o całym świecie.

- Jesteś niebezpieczna.
- Dlaczego?
- Bo każesz mi wierzyć w to, co niemożliwe.

Po operacji Carlosa cała moja rodzina gromadzi się przy szpitalnym łóżku. Rozlega się pukanie do drzwi. Do pokoju nieśmiało wchodzi Brittany.

– Dzięki, że do mnie zadzwoniłaś, Kiara – mówi.

To Carlos poprosił mnie tuż przed operacją, żebym do niej zadzwoniła, a potem opowiedział o zerwaniu Aleksa i Brittany.

– Drobiazg. Cieszę się, że przyszłaś.

– Ja też – mówi Carlos. – Ale jestem teraz na morfinie, więc lepiej weź to na piśmie. – Alex kieruje się do drzwi, ale Carlos wybucha: – Zaczekaj.

Alex chrząka.

– Co jest?

– Wiem, że będę tego żałował, ale uważam, że ty i Brittany nie możecie zrywać.

– Już to zrobiliśmy – mówi Alex i patrzy na Brittany. – Prawda, Brit?

– Jak sobie życzysz, Alex – odpowiada zrezygnowana.

– O nie. – Podchodzi do niej. – To ty chciałaś zerwać. *Mamacita*, nie zwałaj na mnie winy.

– To ty nie chcesz, żebym powiedziała rodzicom, że jesteśmy razem. Bo ja chciałabym wykrzyczeć to całemu światu.

– On się boi, Brittany – mówi Carlos.

– Ale czego?

Alex wyciąga rękę i zakłada jej kosmyk włosów za ucho.

– Że twoi rodzice będą cię przekonywać, że zasługujesz na kogoś lepszego.

– Alex, dzięki tobie jestem szczęśliwa i mam ochotę ciężko pracować. Porywają mnie twoje marzenia o przyszłości i chcę być ich częścią. Czy tego chcesz, czy nie, jesteś częścią mnie. Nikt

tego nie zmieni. – Podnosi na niego oczy, a po jej twarzy płyną łzy. – Zaufaj mi.

Alex kładzie dłoń na jej policzku i wyciera łzy. Nic nie mówi ze wzruszenia, tylko mocno przytula ją do siebie.

Godzinę później Alex, Brittany i moi rodzice wymykają się do szpitalnej kawiarenki. Wchodzi Tuck z dużym wazonem pełnym jaskraworóżowych goździków i przyczepionym do niego balonem, na którym napisał: „Połowa lekarzy kończy studia poniżej średniej – mam nadzieję, że operacja się udała!”

– Hej, *amigo!* – mówi.

– O, do diabła. – Carlos prychnął, udając poirytowanie. Całe szczęście, że po tym, co się dzisiaj stało, nie stracił ducha walki. – Kto cię tu prosił?

Tuck stawia wazon na parapecie i się uśmiecha.

– No daj spokój. Nie bądź gburem. Przyszedłem cię rozweselić.

– I po to przyniosłeś różowe kwiatki? – mówi Carlos, pokazując na wazon.

– Kwiaty są właściwie dla Kiary. Za to, że musi cię znosić. – Przywiązuje balon do ramy szpitalnego łóżka. – A ja jestem twoją słodką niespodzianką...

Carlos kręci głową.

– Kiara, chyba się przesłyszałem, co?

– Bądź miły – mówię. – Tuck zadał sobie tyle trudu. Troszczy się o ciebie.

– Powiedzmy, że się do ciebie przekonałem – przyznaje Tuck i odgarnia z twarzy długie włosy.

– Komu bym dokuczał, gdyby nie ty? Moje życie byłoby smutne. Spójrz prawdzie w oczy, *amigo*... jesteś moją drugą połową.

– Ty *loco*.

– Jesteś homofobem, ale może Kiara z moją pomocą zrobi z ciebie przyzwoitego i tolerancyjnego człowieka. – Zaczyna dzwonić komórka Tucka. Wyjmuje ją z kieszeni i oznajmia: – To Jake. Zaraz wrócę.

Znika na korytarzu, a ja zostaję sam na sam z Carlosem. No, może nie całkiem, bo na krześle w narożniku pokoju siedzi Brandon pochłonięty jakąś grą.

Carlos chwyta mnie za nadgarstek i przyciąga do siebie na łóżko.

– Jeszcze wczoraj planowałem, że wyjadę z Kolorado. Nie chciałem być ciężarem dla twoich rodziców i Aleksa.

– A teraz? – pytam nerwowo. Muszę się upewnić, że chce tu zostać na dobre.

– Nie mogę wyjechać. Tata ci mówił, że moja mama i Luis mają tu przyjechać?

– Tak.

– Ale nie tylko dlatego zostaję, *chica*. Nie mogę cię opuścić, tak samo jak nie mógłbym stąd wyjść z nogą na wyciągu. Zastanawiałem się tylko... czy lepiej powiedzieć twoim rodzicom teraz czy później?

– Ale o czym? – Robię wielkie oczy.

Całuje mnie delikatnie, a potem mówi z

dumą:

– Że to poważny, monogamiczny i odpowiedzialny związek.

– A taki jest?

– *Sí*. A jak stąd wyjdę, mam zamiar naprawić drzwi w twoim samochodzie.

– Chyba że ja pierwsza je naprawię – podpuszczam go.

Przygryza wargę i patrzy na mnie lekko napalony.

– Wyzywasz mnie, *chica*?

Biorę go za rękę i splatam palce z jego palcami.

– Tak.

Przytula mnie do siebie.

– Nie tylko ty jedna lubisz wyzwania. I powiem ci na przyszłość, że czekoladowe ciastka muszą być na ciepło i miękkie w środku... i bez przyklejonych magnesów. Tylko takie lubię.

– Ja też. Jak postanowisz je dla mnie upiec, daj mi znać.

Śmieje się i przysuwa się bliżej.

– Będziecie się całować po francusku? – rzuca znienacka Brandon.

– Taaa. Zamknij oczy – mówi Carlos i naciąga koc, żeby nam zapewnić chociaż trochę prywatności. – Nigdy więcej cię nie zostawię – szepcze w moje usta.

– To dobrze. Bo nie pozwolę ci na to. – Odchylam się trochę w tył. – Ja też cię nigdy nie zostawię. Pamiętaj o tym, okej?

– Okej.

– To znaczy, że będziesz chodził ze mną po górach?

– Zrobię, co zechcesz, Kiara. Nie czytałaś liściku, który włożyłem do szafki? Jestem twój.

– A ja twoja. Na zawsze i jeden dzień dłużej.

Epilog

Dwadzieścia sześć lat później.

Carlos Fuentes patrzy, jak jego żona – a jest nią od dwudziestu lat – podlicza dzienny utarg. Interesy w warsztacie McConnell, który kupili, kiedy skończył służbę, idą całkiem dobrze. Nawet w gorszych latach powodziło im się zupełnie nieźle. Jego żona zawsze ceniła proste życie, mimo że było ich stać na więcej. Do licha, największą przyjemność sprawiało jej wspinanie się na Kopułę – i dlatego stało się to ich cotygodniowym rytuałem.

Lubiła też narty i snowboard. Carlos zabierał Kiarę i dzieciaki do zimowych kurortów, ale przyglądał się tylko z daleka, jak żona uczy ich trzy córki zjeżdżać na nartach, a potem na snowboardzie. Bardzo lubiły, kiedy dołączał do nich stryj Luis. Jako jedyny z braci Fuentesów

był na tyle szalony, żeby śmigać z dziewczynami po stromych górskich stokach.

Carlos wyciera ręce w szmatę. Wymienił właśnie olej w samochodzie swojego starego przyjaciela Rama.

– Kiara, musimy porozmawiać o tym chłopaku, którego twój ojciec wcisnął nam pod opiekę.

– To dobry dzieciak. – Kiara podnosi wzrok na męża i posyła mu krzepiący uśmiech. – Potrzebuje kogoś, kto nim pokieruje. I domu. Trochę mi przypomina ciebie.

– Nie żartuj sobie. Widziałaś, ile ten delikwent ma kolczyków? Wolę nie wiedzieć, w jakich miejscach.

Jak na zawołanie pod warsztat podjeżdża ich najstarsza córka Cecilia. Obok niej siedzi wspomniany delikwent.

– Ma za długie włosy. Wygląda jak *chica* z brodą – dodaje Carlos.

– Ciii, bądź miły – strofuje go żona.

– Gdzie byliście? – pyta Carlos oskarżycielskim tonem, gdy dwoje nastolatków – trzecia klasa liceum – wysiada jednocześnie z auta Cecylii.

Oboje milczą.

– Dylan, chodź ze mną. Pora na męską rozmowę.

Małolat przewraca oczami, ale idzie z Carlosem na zaplecze, gdzie znajduje się biuro. Carlos zamyka drzwi i siada w fotelu za biurkiem. Wskazuje Dylanowi, żeby usiadł po drugiej stronie.

– Mieszkaś z nami od tygodnia, ale miałem tyle pracy w warsztacie, że nie zdążyłem ci powiedzieć o obowiązujących w domu zasadach – zaczyna Carlos.

– Posłuchaj, staruszkule – odpowiada leniwie małolat, po czym rozpięra się w fotelu i kładzie brudne buty na biurku Carlosa. – Mam gdzieś zasady.

Staruszkule? Mam gdzieś zasady? Cholera, tym dzieciakiem trzeba solidnie potrząsnąć. Prawdę

mówiąc, Carlos też dostrzegł w nim cząstkę swojej dawnej, buntowniczej natury. Kiedy przyjechał do Kolorado, nie mógłby sobie nawet wymarzyć lepszego zastępczego ojca niż Dick. Do diabła, mówił do niego „tato”, zanim jeszcze ożenił się z Kiarą. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby nie pokierował nim wtedy ojciec przyszłej żony.

Spycha z biurka nogi Dylana, a potem wspomina ten dzień, gdy tata Kiary wygłosił przemowę podobną do tej, jaką teraz sam ma palnąć małodlatowi.

– *Uno*, zakaz narkotyków i alkoholu. *Dos*, bez wulgarnego słownictwa. Mam trzy córki i żonę, więc się wyrażaj. *Tres*, w tygodniu wolno siedzieć do dziesiątej trzydzieści; w weekend do północy. *Cuatro*, masz po sobie sprzątać i pomagać w domu, kiedy ktoś cię o to prosi, tak jak nasze córki. *Cinco*, telewizja dopiero po odrobieniu lekcji. *Seis*... – Nie mógł sobie przypomnieć, jaka była szósta zasada jego teścia,

ale to nie miało znaczenia. Carlos wymyślił własną i chciał, by zabrzmiało to głośno i dobitnie. – Randki z Cecilią nie wchodzą w grę. Nawet o tym nie myśl. Masz pytania?

– Taaa, jedno. – Małolat wychyla się do przodu i patrzy Carlosowi prosto w oczy ze złośliwym uśmiechem. – Co będzie, jak złamię którąś z tych pieprzonych zasad?

agnieszka

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby bez Emily Easton, mojej redaktorki, która razem ze mną przedzierała się przez kolejne wersje historii Carlosa. Powinnaś za to zostać świętą.

Składam specjalne podziękowania doktor Olympii González, która pomogła mi okraszyć powieść hiszpańskim językiem i meksykańskim kolorytem. Za wszelkie błędy, które popełniłam, ponoszę pełną odpowiedzialność, ale mam nadzieję, że jest pani ze mnie dumna.

Jestem szczęściarą, że mam do pomocy takie przyjaciółki i współpracowniczki jak Ruth Kaufman i Karen Harris. Obie pomagałyście mi od początku do końca. Nie wiem, jak się wam odwdzięczę za to, że wspierałyście mnie w najtrudniejszych chwilach.

Chcę podziękować Aleksowi Strongowi, że stał się inspiracją dla postaci Tucka. Mam nadzieję,

że jest choć w części tak zabawny i błyskotliwy jak ty, Alex.

Pragnę również wyrazić podziękowanie swojej agentce, Kristin Nelson, za jej niekończące się wsparcie podczas pisania książki. Mieć przy sobie taką entuzjastkę, która podnosi człowieka na duchu, to wiele znaczy. Poświęciłaś się tak bardzo, że wybrałaś się nawet ze mną na spływ kajakowy po wzburzonej rzece, kiedy pojechałam do Kolorado zbierać materiał do powieści. Prawdziwa agentka do zadań specjalnych!

Inne osoby, które pomogły mi w pracy nad książką albo wspierały mnie duchowo (przyjaciele i rodzina!) to: Nanci Martinez, Dayna Plusker, Marilyn Brant, Erika Danou-Hasan, Meko Miller, Randi Sak, Michelle Movitz, Amy Kahn, Joshua Kahn, Liane Freed, Jonathan Freed, Debbie Feiger, Nickey Sejzer, Marianne To, Melissa Hermann, Michelle Salisbury i Sarah Gordon. Spotkanie z Jeremym, Mayą, Sarah, Kobym, Victorem i Savi pomogło mi zrozumieć,

jak wygląda życie nastolatków w Kolorado. Dziękuję też gorąco Robowi Adelmanowi ze jego wielką mądrość.

Chciałabym podziękować także moim fanom. Dzięki nim naprawdę lubię pisać powieści i nigdy nie męczę mnie czytanie listów i mejli od nich.

Na koniec, ale równie gorąco, chcę podziękować Samancie, Brett, Moshe i Fran. Są dla mnie natchnieniem, a ich cudowne i cierpliwe podejście pomaga mi podczas pisania.

Uwielbiam kontakt z czytelnikami. Pamiętajcie, by odwiedzić moją stronę w internecie: www.simoneelkeles.net!

Przypisy

[1] *Dick* (ang) – wulg. kutas, chuj (przyp. tłum.).

agnesa